

**ROBERT
LUDLUM**

**TOŻSAMOŚĆ
BOURNE'A**

PRZEKŁAD: ZDZISŁAW NOWICKI

WSTĘP	4
CZEŚĆ I	6
1	7
2	16
3	23
4	31
5	41
6	54
7	63
8	74
9	82
CZEŚĆ II	92
10	93
11	106
12	117
14	142
15	154
16	161
17	170
18	182
19	191
20	202
21	210
CZEŚĆ III	222
23	223
24	229
25	236
26	246
27	252
28	261
29	270
30	277
31	288
32	295
33	307
34	318
35	331
EPILOG	351

*Glynis
pełnej blasku, który
wszyscy podziwiamy, z miłością
i głębokim szacunkiem.*

WSTĘP

The New York Times
Piątek, 11 lipca 1975 roku
Strona tytułowa

DYPLOMACI A SPRAWA ZBIEGŁEGO TERRORYSTY CARLOSA

Paryż, 10 lipca - Francja wydziła trzech wysokiej rangi dyplomatów kubańskich w związku z zakrojonym na szeroką skalę pościgiem za człowiekiem znanym jako Carlos, który jest jakoby ważnym ogniwem międzynarodowej siatki terrorystycznej.

Podjeźzanego - jego prawdziwe nazwisko brzmi najprawdopodobniej Iljicz Ramirez Sanchez - poszukuje się w związku z zabójstwem dwóch agentów francuskiego kontrwywiadu i libańskiego informatora; zabójstw tych dokonano w jednym z mieszkań w Dzielnicy Łacińskiej 27 czerwca.

Potrójne morderstwo naprowadziło policję amerykańską i angielską na ślad międzynarodowej siatki terrorystycznej. W czasie poszukiwań funkcjonariusze odkryli wielkie składy broni, co potwierdzałoby według nich fakt, że Carlos jest zamieszany w głośne zamachy terrorystyczne w Niemczech Zachodnich, oraz że między licznymi aktami terroryzmu w Europie istnieje związek.

PODEJRZANY W LONDYNIE

Od czasu ostatnich wydarzeń, Carlosa widziano jakoby w Londynie i w Bejrucie...

Associated Press
Poniedziałek, 7 lipca 1975 roku
Depesza agencyjna

PĘTLA ZACISKA SIĘ

Londyn (AP) - Broń i kobiety, granaty i eleganckie ubrania, wypchany portfel, bilety lotnicze na egzotyczne trasy i luksusowe apartamenty w kilkunastu stolicach świata - oto portret terrorysty ery samolotów odrzutowych, którego ścigają obecnie tysiące policjantów na całym świecie.

Polowanie rozpoczęło się, kiedy człowiek ten otworzył drzwi swego paryskiego mieszkania i zastrzelił dwóch francuskich agentów wywiadu i libańskiego informatora. Jak dotąd jedynym rezultatem pościgu jest aresztowanie czterech kobiet w Londynie i Paryżu, które oskarża się o umożliwienie mu ucieczki. Sam morderca zbiegł - być może do Libanu, jak sądzi policja francuska.

W Londynie znający poszukiwanego opisywali go dziennikarzom jako mężczyznę przystojnego, uprzejmego, wykształconego, zamożnego i noszącego się modnie.

Natomiast wspólnicy ściganego to mężczyźni i kobiety, których określa się mianem najgroźniejszych przestępców w świecie. Podejrzany utrzymuje podobno kontakty z japońską Armią Czerwoną, z Organizacją Arabskiej Walki Zbrojnej, z zachodnioniemiecką grupą Baader-Meinhof, z Frontem Wyzwolenia Quebecu, z tureckim Ludowym Frontem Wyzwolenia, z separatystami we Francji i Hiszpanii, z tymczasowym skrzydłem Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

Ilekcio terrorysta podróżował - do Paryża, do Hagi, do Berlina Zachodniego - wybuchaly tam bomby, slychac bylo strzaly, dokonywano porwan.

Punktem zwrotnym staly sie zeznania libańskiego terrorysty w Paryżu. Terrorysta załamał się w czasie przesłuchania i 27 czerwca zaprowadził dwóch wywiadowców do mieszkania ściganego. Ten zastrzelił wszystkich trzech i zbiegł. Policja znalazła jego broń i notatki zawierające „listy śmierci” wybitnych osobistości.

Wczoraj londyński „Observer” doniósł, że w związku ze sprawą potrójnej zbrodni angielska policja poszukuje syna obywatela Wenezueli - komunisty i prawnika. Scotland Yard stwierdził: „Nie zaprzeczamy temu”, lecz dodał, że nie wnosi się przeciwko niemu oskarżenia, i że jest on poszukiwany jedynie w celu złożenia wyjaśnień.

„Observer” podaje, że ścigany terrorysta nazywa się Iljicz Ramirez Sanchez, i że pochodzi z Caracas. Według „Observera”, na takie właśnie nazwisko natknięto się w jednym z czterech paszportów znalezionych w paryskim mieszkaniu zbiega, gdzie miało miejsce morderstwo.

„Observer” twierdzi, że imię Iljicz pochodzi od nazwiska Włodzimierza Iljicza Lenina, twórcy Kraju Rad, że terrorysta zdobył wykształcenie w Moskwie, i że mówi biegle po rosyjsku.

W Caracas rzecznik Wenezuelskiej Partii Komunistycznej potwierdził, że Iljicz jest synem siedemdziesięcioletniego prawnika-marksisty mieszkającego 700 kilometrów na zachód od Caracas, lecz zapewnił, iż „ani syn, ani ojciec nie są członkami naszej partii”.

Siedemdziesięcioletni prawnik powiedział dziennikarzom, że nie wie gdzie obecnie przebywa jego syn.

CZEŚĆ I

1

Trawler zapadał się w otchłań czarnego, szalejącego morza niczym niezdarne zwierzę, które rozpaczliwie stara się wyrwać z niezgłębionego bagna. Fale wspinały się do gigantycznych wysokości, po czym zwały nań swój druzgocący ciężar; w szalejącym wietrze biaława piana wyrzucona w nocne niebo zacinała kaskadami o pokład. Wokół słychać było jęk martwego bólu, jęk, jaki wydaje drewno trące o drewno, liny poskręcane i napięte do granic wytrzymałości. Zwierzę umierało.

Przez ryk morza i wiatru, przez nieożywione cierpienie statku przedarł się odgłos dwóch nagłych wystrzałów. Padły w nikle oświetlonej kabinie, która wznosiła się i opadała w rytm ruchów kadłuba. Z jej drzwi wybiegł chwiejnie mężczyzna. Jedną ręką chwycił się relingu, drugą przyciskał do brzucha.

Szedł za nim inny mężczyzna. Szedł ostrożnie, z jawnie wrogimi zamiarami. Stał w drzwiach kabiny, zaparł się o futrynę, uniósł rewolwer i strzelił po raz trzeci, i czwarty.

Mężczyzna przy relingu wyrzucił gwałtownie ręce do góry, objął nimi głowę, a gdy uderzył weń czwarty pocisk, jego ciało naprężyło się niczym łuk. Dziób trawlera zapadł się naraz w dolinę między dwiema olbrzymimi falami. Ranny stracił równowagę, pochylił się w lewo, lecz nie mógł oderwać rąk od twarzy. Zaraz po tym statek wyprysnął nagle w niebo tak wysoko, że dziób i środkowa część kadłuba znalazły się nad powierzchnią wody i wówczas człowiek z rewolwerem strzelił po raz piąty. Chybił, bo silne tąpnięcie kadłuba rzuciło nim w głąb kabiny. Ranny krzyknął przeraźliwie, wymachując bezładnie ramionami, próbując znaleźć coś, co dałoby mu jakiegokolwiek oparcie. Ale jego oczy zalane krwią i nieustającymi potokami spienionej wody nie widziały nic. Niczego też nie mógł się chwycić, chwycił więc tylko pustkę. Nogi ugięły się pod nim, załamały, pchnęło go w przód. Statek przechylił się ostro na zawietrzną i człowiek ze strzaskaną czaszką runął za burtę w oszalałe, czarne odmęty.

Czuł, że pogrąża się szybko w zimnej wodzie. Woda wchłaniała go, wsysała, obracała dookoła, by w końcu wypluć na powierzchnię. Zdołał nabrać w płuca jeden jedyny haust powietrza. Potem zanurzył się znowu.

Czuł też gorąco, dziwne, wilgotne gorąco w okolicach skroni. Tętniło w wodzie, która go otaczała, biło ogniem tam, gdzie żaden ogień płonąć nie powinien. Czuł i lodowate zimno. Pulsowało w jego brzuchu, nogach, w piersi i rozmywało się osobliwie w chłodzie morza. Rejestrował wrażenia i ulegał panice w miarę jak napływały. Postrzegał własne ciało. Wiedział, że obraca się i skręca, wiedział, że jego ręce i stopy tłuką wściekle wodę, zmagając się z wirującą otchłanią. Był w stanie czuć, myśleć, widzieć, rozpoznawać symptomy paniki, oceniać efekty walki z żywiołem. Co niezwykle, czynił to z wewnętrznym spokojem, z opanowaniem obserwatora, bezstronnego obserwatora, który stojąc poza wydarzeniami, doświadcza ich, lecz w nic się nie angażuje.

A później napłynęła fala innej paniki. Napłynęła i zagłuszyła odczucia gorąca, zimna i niezaangażowanego postrzegania. Nie mógł ulec, nie mógł poddać się obojętności! Jeszcze nie teraz! Zaraz, za sekundę coś się wydarzy! Nie był pewien co, ale wiedział, że wydarzy się na pewno! I nie mogło go tam zabraknąć!

Palilo go w piersi, ale młócił wodę nogami, rozszarpywał ją rękami, wgryzając się w ścianę morza ponad nim. W końcu wypłynął na powierzchnię i zaczął walczyć z prądem, żeby utrzymać się na szczycie czarnej fali. W górę! W górę! Jeszcze!

Naraz monstualna góra wody jakby złagodniała; znalazł się na jej grzbiecie, otoczony plamami piany i mroku. Nie działa się nic. Zakręć! Tam! Tam!

A jednak! Wybuch był potężny. Usłyszał go poprzez ryk morza i wichury, i to, co zobaczył, co usłyszał, otworzyło mu przedśrodek spokoju. Niebo rozbłysło ognistym

diademem, a z centrum świetlistej korony trysnęły strzępy przedmiotów wszystkich rozmiarów i kształtów; ciśnięte eksplozją, szybowały poprzez jasność i rozmywały się na granicy cienia.

Wygrał. Cokolwiek się tam zdarzyło, wygrał.

Nagle znów runął w dół, w otchłań. Poczuł, jak wodne masy miażdżą mu kark, jak chłodem rozpalone do białości skronie, ogrzewają zlodowaciałe rany na brzuchu, na nogach i...

Jego pierś! Ogarnął ją paroksyzm bólu! Ktoś go uderzył! Cios był potworny, raptowny i niespodziewany; wstrząs nie do wytrzymania, i znów to wrażenie - zaraz coś się wydarzy! Zaraz! Nie! Zostawcie mnie. Dajcie mi spokój.

I znowu!

Uległ raz jeszcze. Znów zaczął młócić nogami wodę, znów szarpał ją rękami, aż trafił na gruby, pokryty smarem przedmiot kołyszący się na wodzie w rytm ruchów morza. Nie umiał powiedzieć, co to jest, lecz to coś istniało, mógł tego dotknąć, mógł się tego chwycić.

Trzymaj się! Trzymaj się tego, a dopłyniesz, gdzie spokój. Tam, gdzie cisza gęstego mroku... i spokój.

Promienie wczesnego słońca przebiły się przez delikatną mgłę na wschodnim niebie i zabłyśły w spokojnych wodach Morza Śródziemnego. Szyper małej łodzi rybackiej siedział na rufie i ćmił *gauloise*'a; oczy miał nabiegłe krwią, ręce w ranach od lin, dziękował Bogu za widok gładkiego morza. Spojrzał w stronę otwartej kabiny; jego brat zwiększył obroty silnika, by nadgonić czas, kilkanaście metrów dalej jedyny członek załogi, jakiego zatrudniali, sprawdzał sieć. Śmiali się z czegoś. To dobrze. Zeszłej nocy nikomu nie było do śmiechu. Skąd ten sztorm? Prognozy z Marsylii nie zapowiadały sztormu, bo gdyby zapowiadały, szukaliby schronienia gdzieś na wybrzeżu. Chciał dotrzeć do łowisk o świcie, osiemdziesiąt kilometrów na południe od La-Seyne-sur-Mer, ale nie kosztem drogich napraw, a jakie naprawy nie są dzisiaj drogie? Również nie kosztem własnego życia, a zdarzało się ubiegłej nocy, że takie niebezpieczeństwo poważnie brał pod uwagę.

- *Tu es fatigué, mon frère?* - zawołał jego brat, szczerząc w uśmiechu zęby. - *Vas te coucher! Je suis très capable!*

- Jasne - odpowiedział, wyrzucając papierosa za burtę. Zsunął się na pokład przy końcu sieci. - Krótka drzemka nigdy nie zaszkodzi.

Dobrze mieć brata za sterem. Sternikiem łodzi należącej do rodziny winien być zawsze ktoś z rodziny. Choćby nawet taki złotousty braciszek, który gada jak literat w przeciwieństwie do niego, prostaka. Wariat! Ledwie rok na uniwersytecie, a już chciał zakładać *compagnie*! Z jedną jedyną łodzią, której młodość minęła lata temu! Wariat, i co mu przyszło z tych książek zeszłej nocy? Mało brakowało, a cała jego *compagnie* wykopyrtnęłaby się do góry dnem!

Zamknął oczy i zanurzył dłonie w wodzie omywającej pokład. Morska sól dobrze robi na rany; poharatał ręce, kiedy bezskutecznie próbował mocować ekwipunek w czasie sztormu.

- Patrzcie! Tam! - zawołał jego brat; najwidoczniej nie dane mu spać, a wszystko przez dziedzicznie dobry wzrok członków rodziny.

- Co znowu? - krzyknął.

- Na trawersie, na lewo od dziobu! Człowiek za burtą! Trzyma się czegoś! Chyba jakiejś deski albo czegoś takiego!

Szyper ujął koło sterowe, skręcił i wyłączywszy silnik, żeby zmniejszyć falę dziobową, podprowadził łódź z prawej strony rozbitka. Człowiek w wodzie wyglądał tak, jak gdyby najdelikatniejszy ruch mógł zepchnąć go z kawałka drewna, którego się trzymał. Jego dłonie były białe, zaciśnięte na krawędzi deski niczym zakrzywione szpony, lecz ciało miał bezwładne - tak bezwładne jak ciało topielca, co to pożegnał się już z tym światem.

- Zróbcie pętle na linach! - krzyknął szyper. - Opuśćcie mu je na nogi. Wolno, teraz

wolniu... Przesuńcie pętle na brzuch. Dobra. Ciągniemy. Ostrożnie...

- Nie chce puścić deski!

- Nachył się do niego! Rozewrzyj mu palce! Może to pośmiertny skurcz.

- Nie, on żyje... Ledwo, ledwo, ale chyba żyje. Usta mu się poruszyły, tylko nie słysząc, co mówi. I oczy też, ale wątpię, czy nas widzi.

- Puścił ręce!

- Dobra. Podnosimy go. Weź go za ramiona i wciągnij przez burtę. Ostrożnie!

- Święta Panienko! Spójrzcie na jego głowę! - krzyknął rybak. - Rozłupana na pół!

- Musiał roztrzaskać ją o tę deskę podczas sztormu - odezwał się brat szypra.

- Nie - zaprzeczył szyper, oglądając ranę. - To wygląda jak cięcie, ostre, czyste...

Postrzał. Ktoś do niego strzelał.

- Pewien jesteś?

- Trafił nie tylko w głowę - odrzekł kapitan łodzi, omiatając wzrokiem ciało nieprzytomnego. - Płyniemy do Île de Port Noir, to najbliższa wyspa. Jest tam doktor w porcie.

- Ten Anglik?

- Tak, ciągle jeszcze przyjmuje.

- Kiedy może - dodał brat szypra - kiedy wińsko mu pozwala. Lepiej mu idzie ze zwierzątkami pacjentów niż z samymi pacjentami.

- Nie ma znaczenia. Ten tutaj wykituje, zanim dotrzemy do Île de Port Noir. Jeśli jakimś cudem wyżyje, obciążę go kosztami paliwa, i zapłaci za stracony połów. Przynies apteczkę. Zabandażujemy mu głowę, choć nie na wiele to się zda.

- Patrzcie! - wykrzyknął rybak. - Spójrzcie na jego oczy!

- Oczy? Co z nimi? - zapytał brat szypra.

- Chwilę temu były szare, szare jak stalowe liny. A teraz są niebieskie.

- Słońce pojaśniało. - Szyper wzruszył ramionami. - Może robi jakieś sztuczki z twoimi oczami...? Co za różnica. W grobie wszystko jest czarne.

Urywane sygnały dźwiękowe kutrów rybackich mieszały się z nieustannym krzykiem mew; razem tworzyły typowe odgłosy portu. Późne popołudnie. Czerwona kula słońca stała na zachodzie, powietrze było nieruchome, buchające gorącem i wilgocią. Za pirsem, naprzeciwko portu, biegła brukowana uliczka upstrzona plamami białawych domków oddzielonych od siebie przerośniętą trawą, która strzelała w górę z zeschniętej ziemi i piachu. Z werand zostały jedynie połatane kraty i rozpadająca się sztukateria podtrzymywana naprędcie ustawionymi słupkami. Wszystkie domki miały lata świetności dawno za sobą; minęły już wtedy, kiedy ich właściciele nieopatrznie uwierzyli, że Île de Port Noir może stać się jeszcze jednym kurortem Morza Śródziemnego. Ale Île de Port Noir sławy kurortu nigdy nie zyskał.

Wszystkie domy miały ścieżki wiodące ku ulicy, lecz ścieżka domku zamykającego cały rząd była wyraźnie mocniej wydeptana od pozostałych. Dom należał do Anglika, który przybył do Port Noir osiem lat temu. Dlaczego tu przybył? Nikt tego nie rozumiał i nikogo to nie obchodziło. Był lekarzem, a wioska potrzebowała lekarza i tyle. W jego rękach haki, igły i noże okazały się narzędziami zarówno umożliwiającymi rybakom dalszą egzystencję, jak i środkiem iście zabójczym. Jeśli ktoś wybrał się do *le médecin* w dobrym dniu, szwy wyglądały nieźle. Ale gdy z domu bił wyraźny fetor taniego wina i whisky, do lekarza szło się na własne ryzyko.

Ainsi soit-il! Na bezrybiu i rak ryba.

Lecz nie dzisiaj. Dzisiaj nikt nie kroczył wydeptaną ścieżką. Była niedziela, a wszyscy wiedzieli, że w każdą sobotę doktor urzyna się w pień we wsi, by zakończyć wieczór z pierwszą lepszą dziwką. Rzecz jasna, uwagi miejscowych nie uszło też i to, że rutyna kilku

ostatnich sobót uległa zmianie i nikt jakoś doktora we wsi nie widział. Poza tym nie zmieniło się nic - butelki szkockiej wysyłano Anglikowi tak jak zawsze. Doktor po prostu nie wychodził z domu. Nie wychodził od czasu, gdy kuter rybacki z La Ciotat przywiózł tego obcego, tego trupa na przepustce.

Doktor Geoffrey Washburn obudził się nagle z podbródkiem wciśniętym w obojczyk. Odór własnego oddechu podrażnił mu nozdrza; nie było to przyjemne. Zamrugał oczami dochodząc do siebie, potem zerknął w stronę otwartych drzwi do sypialni. Czyżby znów wyrwał go z drzemki kolejny, niezrozumiały monolog pacjenta? Nie, wokół panowała cisza. Nawet mewy milczały litościwie, bo święty nastał dzień dla Île de Port Noir - żadne łodzie nie wchodziły do portu i ptaki nie narzekały na marne połowy.

Washburn spojrział na pustą szklankę i na w połowie pustą butelkę whisky na stoliku obok fotela. Widoczny postęp. Każdej innej niedzieli uśmierzałby jak zwykle kaca, więc o tej porze i butelka, i szklanka byłyby już osuszone do dna. Uśmiechnął się do siebie i raz jeszcze pobłogosławił siostrzyczkę z Coventry, która co miesiąc słała mu pieniądze i umożliwiała tym samym zakup trunków. Dobra dziewczyna z tej Bess, dobra, chociaż Bogiem a prawdą mogła mu wysłać znacznie więcej, niż wysyłała. Ale Washburn okazywał jej wdzięczność i za to, co dostawał. Kiedyś nadejdzie jednak dzień, kiedy skończy się i Bess, i pieniądze. Wtedy stan upojnego zapomnienia będzie musiał osiągać chlejąc najtańsze wino. Aż zatrze się wszelki ból. Na wieki.

Zaakceptował już taką ewentualność. Akceptował ją jeszcze trzy tygodnie i pięć dni temu, gdy jacyś obcy rybacy przywlekli pod jego drzwi na wpół martwego mężczyznę wyłowionego z morza. Rybacy kierowali się tylko litością; sam topielec mało ich obchodził. Bóg zrozumie i odpuści - rozbitek podziurawiony był kulami.

Rybacy nie wiedzieli jednak, że w ciało mężczyzny wtargnęło coś znacznie gorszego niż kule. W ciało i w umysł.

Zmęczony i wymizerowany doktor dźwignął się z fotela i podszedł chwiejnie do okna z widokiem na port. Podciągnął żaluzje, mrużąc przed słońcem oczy, a później zerknął w szczelinę i obserwował chwilę ruch na ulicy. Szukał źródła klekoczącego hałasu. To konny wóz, w nim rybacka rodzina na niedzielnej przejażdżce. Gdzież, u diabła, można jeszcze zobaczyć taki widok? Wówczas przypomniały mu się powozy i wspaniale obrządzone wałachy, które sunęły przez londyński Regent Park, ciesząc latem turystów. Roześmiał się głośno - co za porównanie! Śmiech trwał krótko i miejsce wesołości zajęło coś, co trzy tygodnie temu zdawało się nie do pomyślenia. Dawno już stracił nadzieję, że jeszcze ujrzy Anglię. Możliwe, że uda mu się straconą nadzieję odzyskać. Dzięki niedoszłemu topielcowi.

Jeżeli nie popełnił omyłki w diagnozie, sprawa rozstrzygnie się lada dzień, lada godzina, lada minuta. Rany na nogach, brzuchu i piersi były głębokie i groźne. Spowodowałyby śmierć, gdyby nie fakt, że pociski nadal tkwiły w ciele, wyjąłowione, oczyszczone morską wodą. Ich wydobycie okazało się zadaniem względnie łatwym, bo wysterylizowana tkanka była rozmięczona i w znakomitym stanie - nic tylko kroić. Za to rana czaszki stanowiła poważny problem. Nie dosyć, że została naruszona kość, to jeszcze lekkiemu wgnieceniu zdawały się ulec włókniste rejony wzgórza i hipokampa. Gdyby kula trafiła o milimetry w lewo lub prawo, położyłaby kres ich żywotnym funkcjom na zawsze. Ale nie trafiła i Washburn podjął decyzję. Rzucił wódkę na trzydzieści sześć godzin. Pił tyle wody i jadł tyle pokarmów bogatych w skrobię, ile tylko człowiek zdoła zjeść i wypić. Potem przeprowadził operację - najdelikatniejszą od czasu, kiedy wyrzucono go ze szpitala Macleans w Londynie. Milimetr po wlecącym się w nieskończoność milimetrze obmywał newralgiczny rejon włókien, później naciągnął i zaszył skórę wiedząc, że jeden błędny ruch pędzelka, igły czy kleszczy i pacjent umrze.

Washburn nie chciał, żeby pacjent umarł. Z wielu powodów. Z jednego w

szczegółności.

Kiedy skończył operację i stwierdził, że topielec wciąż daje oznaki życia, zajął się na powrót własnymi środkami oddziaływania chemicznego i psychicznego - butelką. Spił się i utrzymywał ten stan, lecz nie pozwolił, by urwał mu się film. Dokładnie wiedział, gdzie jest i co robi. Postęp, wyraźny postęp.

Lada dzień, lada godzina nieznajomy skupi na nim wzrok, lada dzień z jego ust popłyną zrozumiałe słowa. Lada chwila.

Najpierw padły słowa. Zabrzmiały w sypialni o brzasku, gdy od morza nadciągnęła chłodna bryza.

- Kto tu jest? Kto jest w tym pokoju?

Washburn wyprostował się, zsunął cicho nogi z łóżka i wolno wstał. Ważne, żeby nie uderzyć teraz w fałszywą nutę, nie hałasować, nie ruszyć się zbyt gwałtownie, bo pacjent mógł ulec psychicznej regresji. Przez kilka pierwszych minut należało zachowywać się ostrożnie i tak delikatnie, jak delikatna była operacja, którą przeprowadził; tkwiący w nim mimo wszystko lekarz oczekiwał tego momentu.

- Przyjaciel - odrzekł cicho.

- Przyjaciel?

- Mówi pan po angielsku. Tak sądziłem. Zakładałem, że jest pan Amerykaninem albo Kanadyjczykiem. Pana stomatolog w każdym razie nie może być Anglikiem. Ani Francuzem. Jak pan się czuje?

- Nie wiem...

- Taki stan utrzyma się jeszcze trochę. Czy chce pan oddać stolec?

- Czy... co?

- Kupę, stary, czy chcesz zrobić kupę? Po to jest ten basen obok łóżka. Biały, na lewo. Oczywiście, jeśli człowiek zdąży załatwić się na czas.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. To najzupełniej prawidłowa reakcja organizmu. Jestem lekarzem, twoim lekarzem. Nazywam się Geoffrey Washburn. A ty?

- Ja?

- Pytałem, jak ci na imię.

Nieznajomy poruszył głową i zapatrzył się w białą ścianę, gdzie rysowały się ostre cienie wczesnego poranka. Później zwrócił niebieskie oczy na Washburna i powiedział:

- Nie wiem.

- O mój Boże...

- Mówiłem ci tyle razy: czas, potrzeba czasu. Jeśli będziesz z sobą walczył, jeśli będziesz się zameczał, twój stan się pogorszy.

- Upiłeś się.

- Lekko. Ale to nie ma związku ze sprawą. Chcesz, spróbuję naprowadzić cię na właściwy trop. Tylko mnie dobrze słuchaj.

- Słuchałem już wiele razy.

- Nie, nie słuchałeś. Zamykasz się przede mną, tkwisz w jakimś szczelnym kokonie i osłaniasz nim swój umysł. Posłuchaj mnie jeszcze raz.

- Słucham.

- Kiedy byłeś w stanie śpiączki, długiej śpiączki, mówiłeś w trzech różnych językach: po angielsku, po francusku i w jakimś nosowym dialekcie, chyba orientalnym. Znaczy, że jesteś poliglotą i czujesz się znakomicie we wszystkich częściach świata. Myśl, pomyśl pod kątem geografii. W którym z tych języków czujesz się najlepiej?

- W angielskim, na pewno.

- Zgoda. W takim razie, który z nich wybitnie ci nie leży?

- Nie wiem.

- Twoje oczy są okrągłe, nie skośne. Powiedziałbym, że ten orientalny.

- Jasne.

- To dlaczego się nim posługujesz? Dobrze. Teraz myśl nad skojarzeniami. Spisałem sobie kilka słów. Słuchaj. Zanotowałem je fonetycznie: *ma-kwa, tam-kwam, kii-sah*. Jakie skojarzenia przychodzą ci do głowy?

- Żadne.

- Świetnie.

- Czego, do diabła, chcesz?

- Czegoś. Czegokolwiek.

- Spileś się.

- To już uzgodniliśmy. Tak, spilem się. Spilem się, ale też uratowałem twoje pieprzone życie. Pijany, nie pijany, jestem lekarzem. Kiedyś byłem nawet niezłym lekarzem.

- No i co się stało?

- A to co? Pacjent bada lekarza?

- Dlaczego nie?

Washburn umilkł na chwilę, patrząc w okno wychodzące na port.

- Upiłem się - odparł. - Powiedzieli, że zabiłem dwóch pacjentów na stole operacyjnym, bo byłem zalany. Z jednego trupa bym się może wywinął, z dwóch nie. Szybko dostrzegli związek, niech ich Bóg błogosławi. „Facetowi takiemu jak on nigdy nie dawajcie skalpela do łapy” - tak powiedzieli, tyle że ubrali to w ładne słówka.

- To było konieczne?

- Co było konieczne?

- Wódka.

- Tak, do cholery, tak - powiedział cicho Washburn, odwracając wzrok od okna. - Było i jest. A pacjentowi nie wolno oceniać postępowania lekarza.

- Przepraszam.

- Masz denerwujący nawyk przepraszania, takiego uroczystego przepraszania. Naturalnie to nie brzmi. Ani trochę nie wierzę, że jesteś typem faceta, który przeprasza.

- Więc wiesz o mnie coś, czego ja nie wiem.

- Tak. Dużo. I prawie nic z tego nie trzyma się kupy.

Mężczyzna pochylił się na krzesło. Pod rozpiętą koszulą rysowało się prężne ciało i bandaż na piersi i brzuchu. Splótł ręce; miał silnie umięśnione, smukłe ramiona żłobione grubymi pręgami żył.

- Masz na myśli coś, o czym jeszcze nie rozmawialiśmy? - spytał.

- Tak.

- Chodzi o to, co mówiłem, kiedy byłem nieprzytomny?

- Nie, nie, cały ten bełkot już omawialiśmy. Języki, twoja znajomość geografii - wspominałeś miasta, o których nigdy albo prawie nigdy nie słyszałem - twoja obsesja na punkcie unikania nazw, nazw, które chcesz wypowiedzieć, lecz ich nie wypowiadasz, skłonność do konfrontacji - atak, odwrót, ukrycie się, ucieczka - wszystko cholernie gwałtowne, wściekłe, powiedziałbym niepowstrzymane. Często musiałem cię wiązać, żeby chronić rany. Ale o tym mówiliśmy. Jest jeszcze coś.

- Co masz na myśli? O co ci chodzi? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- Bo dotyczy twojej fizys, twojej zewnętrznej skorupy, że tak powiem. Nie byłem pewien, jak to zniesiesz. Nawet teraz nie jestem tego pewien.

Człowiek bez imienia oparł się o krzesło. Jego czarne brwi tuż pod czupryną ciemnobrązowych włosów zeszyły się w oznace irytacji.

- Nie potrzebuję teraz opinii lekarza - powiedział. - Mów, jestem gotowy, słucham. O

co chodzi?

- Zaczniemy może od twojej głowy. Wygląda całkiem, całkiem, do przyjęcia. Zwłaszcza twarz.

- Twarz?

- Urodziłeś się z inną twarzą.

- Jak to?

- Chirurgia plastyczna. Silne szkło powiększające zawsze wykryje ślady. Zmienili cię, stary.

- Zmienili?

- Masz wydatny podbródek. Śmiem twierdzić, że kiedyś była na nim zmarszczka. Została usunięta. Kość policzkowa, na górze - policzki też masz wydatne; najpewniej wpływ krwi słowiańskiej sprzed pokoleń. Więc na policzku też są mikroskopijne ślady blizny chirurgicznej. Będę strzelał - tu usunięto ci jakieś znamię, pieprzyk. Nos masz angielski. Dawniej musiał być większy niż teraz; został delikatnie wymodelowany. Twoje rysy zostały złagodzone, wszystkie ostrości rozmyte. Rozumiesz, o czym mówię?

- Nie.

- Jesteś w miarę atrakcyjnym mężczyzną, ale twoja twarz wyróżnia się bardziej swoim rodzajem niż jakąś specyficzną cechą.

- Rodzajem...?

- Tak. Jesteś prototypem białego Anglosasa. Takiego, jakiego można codziennie zobaczyć na lepszych boiskach do krykieta, na kortach tenisowych, czy w barze „Mirabel”. Twarze tych ludzi są prawie nie do rozróżnienia, prawda? Wszystko na swoim miejscu, zęby proste, uszy przylegające płasko do głowy - nic nie zakłóca harmonii, każdy element współgra z innymi, a całość jest jak gdyby rozmiękczone.

- Jak to rozmiękczone?

- No, może „zepsuta” byłoby lepszym słowem. Twarz człowieka bardzo pewnego siebie, nawet aroganckiego, takiego, co to zawsze postawi na swoim.

- Chyba ciągle nie jestem pewien, co chcesz powiedzieć.

- Dobra, inaczej. Zmień kolor włosów, to zmienisz twarz. Zgoda, odnajdziesz ślady odbarwienia, poznasz coś niecoś po ich łamliwości, po rodzaju farby. Zaczniij nosić okulary i zapuść wąsy, to staniesz się innym człowiekiem. Dałbym ci trzydzieści pięć, trzydzieści dziewięć lat, ale równie dobrze możesz być pięć lat starszy albo młodszy. - Washburn urwał, obserwując reakcje pacjenta i jakby wahał się, czy kontynuować wyjaśnienia. - Mówiąc o okularach... Pamiętasz nasze testy sprzed tygodnia? Te ćwiczenia?

- Oczywiście.

- Masz absolutnie normalny wzrok. Nie potrzebujesz okularów.

- Przecież ich nie noszę.

- W takim razie skąd ślady długotrwałego używania szkieł kontaktowych na siatkówkach i powiekach?

- Nie wiem. To nie ma sensu.

- Mogę zasugerować wyjaśnienie do przyjęcia?

- Chętnie posłucham.

- A jak ci się nie spodoba? - Washburn wrócił do okna i spojrzał nieobecny wzrokiem na ulicę. - Niektóre rodzaje szkieł kontaktowych mają za zadanie zmieniać kolor oczu. Niektóre rodzaje oczu z kolei poddają się temu procesowi bardziej niż inne. Są to zwykle oczy szare albo z lekko niebieskawym odcieniem. Kolor twoich oczu to coś pośredniego między tymi barwami: raz są stalowoszare, w innym świetle niebieskie. Natura ci tutaj pomogła, bo zmiana nie była ani możliwa, ani konieczna.

- Konieczna do czego?

- Do zmiany wyglądu. Rzekłbym, do celów profesjonalnych. Wizy, paszporty, prawa

jazdy - możesz je zmieniać do woli. Włosy: brązowe, blond, kasztanowe. Oczy: - oczu nie sfalszujesz - zielone, szare, niebieskie? I wszystko mieści się w tym jednym charakterystycznym rodzaju, gdzie twarze wydają się zamazane dzięki swojej powtarzalności.

Pacjent Washburna oparł się o krzesło, naprężył ramiona i wstrzymując oddech, wstał.

- A może idziesz w domysłach za daleko? Może cię ponosi?

- Są ślady, znaki. To są dowody.

- Dowody interpretowane przez ciebie z dużą dawką cynizmu. A założmy, że miałem jakiś wypadek. Pocerowali mnie i sprawę zabiegów chirurgicznych mamy z głowy, tak?

- Nie, to inny typ operacji. Farbowanie włosów, usuwanie znamion i pieprzyków nie należy do procesu rekonwalescencji.

- Skąd możesz wiedzieć?! - odparował ze złością mężczyzna. - Są różne wypadki, różne sposoby leczenia. Nie było ciebie przy tym i niczego nie możesz stwierdzić ze stuprocentową pewnością.

- Dobrze! Wściekaj się na mnie! Powinieneś się na mnie wściekać po dwakroć częściej, i kiedy się wściekasz, myśl. Kim byłeś? Kim jesteś?

- Handlowcem... Biznesmenem zatrudnionym w jakiejś międzynarodowej firmie specjalizującej się w handlu z krajami Dalekiego Wschodu. Na przykład to. Albo nauczycielem... języków obcych na jakimś uniwersytecie. Też możliwe.

- Dobra. Więc wybieraj: to albo to. Już!

- Nie... Nie mogę! - Oczy mężczyzny bez nazwiska mówiły, że znalazł się na krawędzi bezsilności.

- Bo sam w to nie wierzysz. Pokręcił głową.

- Nie. A ty?

- Ja też nie - odparł Washburn. - Mam ku temu określony powód. Zawody, które wymieniałeś, charakteryzują się raczej siedzącym trybem życia, a ty masz ciało człowieka nawykłego do fizycznego wysiłku. Nie, nie, nie wytrenowanego sportowca, nic z tych rzeczy, nie jesteś, jak mówią, atletą. Ale mięśnie masz sprężyste, ręce i ramiona silne, wyrobione. W innych okolicznościach powiedziałbym, że z ciebie robotnik przywykły do noszenia dużych ciężarów albo rybak o ciele ukształtowanym całodzienną harówką przy sieciach. Jednak zakres twojej wiedzy, śmiej powiedzieć, intelekt, wyklucza to wszystko.

- Dlaczego wciąż mam wrażenie, że do czegoś zmierzasz? Do czegoś innego...

- Dlatego, że pracowaliśmy razem przez kilka tygodni, pracowaliśmy wspólnie i pod stresem. Odkrywasz zasady gry.

- Więc mam rację?

- Tak. Musiałem sprawdzić, jak przyjmiesz to, co ci przed chwilą powiedziałem. O operacjach plastycznych, o włosach, szklach kontaktowych.

- Zdałem egzamin?

- Z irytującym opanowaniem. Już pora. Nie ma sensu dłużej tego odkładać, i szczerze mówiąc, moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Chodź ze mną. - Washburn ruszył przodem do drzwi w tylnej ścianie pokoju, które wiodły do gabinetu zabiegowego. Wewnątrz poszedł w róg pokoju i zabrał stamtąd przestarzały rzutnik; oprawa grubego, okrągłego obiektywu była zardzewiała i popękana. - Przywieźli mi go wraz z dostawą z Marsylii - rzekł, ustawiając aparat na małym biurku; wetknął wtyczkę do gniazdka. - Trudno to nazwać sprzętem doskonałym, ale spełnia swoje zadanie. Zasłoń okna, dobrze?

Mężczyzna, który stracił pamięć, podszedł do okna i spuścił żaluzje; w gabinecie ściemniało. Washburn pstryknął przełącznikiem i na białej ścianie ukazał się jasny kwadrat. Potem wsunął za obiektyw małeńki skrawek celuloidowej taśmy.

Kwadrat na ścianie wypełnił się nagle powiększonymi literami.

BAHNHOFSTRASSE. ZURICH.
ZERO-SIEDEM-SIEDEMNAŚCIE-DWANAŚCIE-ZERO-
CZTERNAŚCIE-DWADZIEŚCIA SZEŚĆ-ZERO

- Co to jest? - zapytał pacjent.
- Przypatrz się temu. Przystuduj. M y ś l.
- Chyba numer jakiegoś rachunku bankowego.
- Właśnie. Firmowy nadruk na górze - nazwa i adres - to bank. Liczby napisane słownie to nazwisko, ale traktowane będzie jak nazwisko dopiero wówczas, gdy zostaną napisane własnoręcznie przez właściciela rachunku. Rutynowe postępowanie.
- Skąd to masz?
- Od ciebie. Z ciebie. To małe negatyw wielkości, powiedziałbym, połowy szerokości trzydziestopięciomilimetrowego filmu. Był wszczepiony - chirurgicznie - tuż pod skórę nad twoim prawym biodrem. Liczby napisane są twoim własnym charakterem pisma; to twój podpis. Możesz nim otworzyć skarbiec w Zurychu.

Wybrali imię Jean-Pierre. Imię, które nie mogło nikogo ani zaskoczyć, ani obrazić - było tak samo pospolite jak każde inne w Port Noir.

Nadeszły też książki z Marsylii, sześć książek różnej wielkości i różnej grubości; cztery po angielsku, dwie po francusku. Zawierały teksty medyczne dotyczące obrażeń głowy i urazów poniesionych przez umysł. Widniały tam przekroje mózgu z setkami terminów medycznych; należało je przyswoić i zrozumieć. Płat potyliczny i płat skroniowy, kora i włóknista tkanka ciała modzelowatego, układ limbiczny, a w szczególności hipokamp i ciała suteczkowate, które wraz ze sklepieniem były nieodzowne dla funkcjonowania pamięci i procesów przypominania. Uszkodzone, powodowały amnezję.

Były tam również psychologiczne analizy stresu prowadzącego do psychozy reaktywnej lub afazji psychogennej, które mogły też skończyć się częściową albo całkowitą utratą pamięci. Amnezja.

A m n e z j a .

- Nie ma żadnych reguł - powiedział ciemnowłosy mężczyzna, przecierając oczy; lampa na stoliku dawała kiepskie światło. - Jak w geometrycznej układance - wszystkie kombinacje są możliwe. Urazy fizyczne, urazy psychiczne albo trochę tego, trochę tamtego. Skutki trwałe lub czasowe, całościowe albo częściowe. Żadnych reguł.

- Tak jest - odezwał się Washburn z drugiego końca pokoju; siedział na krześle i sączył whisky. - Ale myślę, że powoli dochodzimy do tego, co się wydarzyło. To znaczy, do tego, co sądzę, że się wydarzyło.

- Mianowicie? - spytał uprzejmie pacjent.

- Przed chwilą sam wszystko wydedukowałeś: „trochę tego, trochę tamtego”. Zmieniłbym jednak słowo „trochę” na „dużo”, jeszcze lepiej na „silny”. Silny wstrząs.

- Silny wstrząs?

- Tak, silny wstrząs całego organizmu, wstrząs fizyczny i psychiczny. Ciało i dusza - dwa pasma życia, dwie splecione ze sobą nici bodźców.

- Ile ty dzisiaj wypiełeś?

- Mniej, niż myślisz. Nieważne. - Washburn wziął gruby plik ściśniętych kłamał notatek. - Oto historia twojego życia. Twojego nowego życia, pisana od dnia, kiedy się tutaj znalazłeś. Streśćmy ją. Rany fizyczne mówią, że sytuacja, w jakiej powstała, była silnie stresująca, psychicznie stresująca. Dalej. Spędziłeś przynajmniej dziewięć godzin w wodzie, co wywołało psychozę reaktywną, która z kolei utrwaliła urazy psychiczne. Ciemność, gwałtowny ruch, płuca chwytające minimum powietrza - to czynniki psychozogenne. Wszystko, co ją poprzedzało, co poprzedzało psychozę reaktywną, musiało zostać wymazane tak, żebyś mógł sobie jakoś poradzić z samym sobą, żebyś mógł przetrwać. Nadążasz za mną?

- Chyba tak. Moja głowa stawiała opór.

- Nie głowa - umysł. Zauważ różnicę; jest ważna. Wrócimy jeszcze do głowy, ale damy jej inną etykietkę: mózg.

- Dobrze: umysł, nie głowa, która tak naprawdę jest mózgiem.

- Otóż to. - Washburn przerzucił kciukiem spięte kartki notatek. - Spisałem kilkaset uwag. Mam tutaj i zapiski typowo medyczne - dawkowanie, czas, reakcje i temu podobne - ale głównie obserwacje dotyczą ciebie jako człowieka. Słów, jakich używasz, słów, na które reagujesz, zwrotów, które stosujesz świadomie i kiedy mówisz przez sen; są tu także fragmenty z twoich majaków, gdy byłeś nieprzytomny - o ile udało mi się zapisać je poprawnie. Jak mówisz, jak chodzisz, jak naprężasz mięśnie ciała, kiedy jesteś czymś zaskoczony lub gdy widzisz coś, co cię interesuje - to również tu mam. Wydajesz się nabitą sprzecznościami. Tuż pod powierzchnią twojego „ja” czai się przemoc. Prawie zawsze ją

kontrolujesz, ale ona tam jest i stale czyha. Jest też i zaduma, melancholia. Cierpisz z tego powodu, mimo to rzadko dajesz upust złości wywołanej bólem.

- Chyba zaraz dam - odezwał się Jean-Pierre. - Te słowa, zwroty, wyrażenia - ile razy to przerabialiśmy?

- I będziemy przerabiać dalej - przerwał mu lekarz - tak długo, jak długo twoje postępy będą widoczne.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że zrobiłem jakieś postępy.

- Nie w tym sensie, że udało ci się przypomnieć, jak się nazywałeś, czy jaki wykonywałeś zawód. Ale ciągle dowiadujemy się, w jakich sytuacjach czujesz się najlepiej, z czym sobie najlepiej radzisz, i to budzi lęk.

- Lęk?

- Pozwól, że dam ci przykład. - Washburn odłożył notatki i wstał. Podszedł do prymitywnie skleconego kredensu przy ścianie, otworzył szufladę i wyjął zeń duży automatyczny rewolwer. Człowiek, który nie wiedział, kim jest, znieruchomiał spięty. Washburn był na taką sytuację przygotowany. - Nigdy nim się nie posługiwałem - wyjaśnił - chyba nawet nie wiedziałbym, jak to się robi. Ale mieszkam ostatecznie w porcie. - Uśmiechnął się i nagle, bez ostrzeżenia, rzucił broń w stronę mężczyzny na krześle; ten chwycił ją w powietrzu chwytem pewnym, miękkim i płynnym. - Rozłóż go - rzekł Washburn. - Tak to się chyba mówi, prawda? - Co?

- Rozłóż go! No!

Pacjent doktora Washburna spojrział na rewolwer, i naraz, w ciszy, jego dłonie i palce zaczęły wprawnie manipulować bronią. Nie minęło trzydzieści sekund i rewolwer był rozebrany na części. Mężczyzna podniósł wzrok.

- Rozumiesz? - spytał doktor. - Wśród innych umiejętności posiadasz niezwykłą znajomość broni palnej.

- Wojsko? - Jean-Pierre stał się znów czujny i spięty.

- W najwyższym stopniu nieprawdopodobne - odrzekł Washburn. - Pamiętasz, kiedy odzyskałeś przytomność i rozmawialiśmy po raz pierwszy, mówiliśmy o zębach, o twoim dentyście. Otóż zapewniam cię, że twój dentysta nie jest wojskowym, i, rzecz jasna, zabiegi chirurgiczne, jakie przechodziłeś, całkowicie wykluczają wszelkie powiązania z wojskiem.

- W takim razie co?

- Zostawmy to na chwilę i wróćmy do tego, co się wydarzyło. Zajmowaliśmy się umysłem, przypominasz sobie? Stresem psychicznym, psychozą reaktywną. Nie mózgiem, lecz napięciami psychicznymi. Czy wyrażam się jasno?

- Mów dalej.

- Kiedy ustępuje wstrząs, ustępuje napięcie. Proces trwa tak długo, dopóki istnieje zasadnicza potrzeba, ochrony psyche. W trakcie owego procesu odzyskasz swe zdolności i umiejętności. Przypomnisz sobie pewne wzorce zachowań i być może przyswoisz je w sposób niewymuszony, bazując na instynktownych reakcjach fasadowych. Ale luka pozostanie i obserwacje upewniają mnie, że nie da się jej wypełnić. - Washburn urwał i podszedł do krzesła. Zmęczony, usiadł, wziął szklankę i upił łyk; zamknął oczy.

- Dalej, mów dalej - szepnął bezimienny pacjent. Doktor uniósł powieki i spojrział na swego rozmówcę.

- Wracamy teraz do głowy; tak nazwaliśmy mózg, mózg jako taki, mózg jako ciało fizycznie namacalne z tysiącami milionów komórek i części wzajemnie na siebie oddziaływujących. Czytałeś książki: sklepienie, układ limbiczny, włókna hipokampa i wzgórza, callosum, a w szczególności chirurgiczne techniki lobotomii. Minimalny uraz może spowodować dramatyczne zmiany. Tak stało się w twoim przypadku. Doznałeś urazu fizycznego. Jeżeli w jakiejś strukturze poprzestawia się części, struktura fizyczna całości ulega zmianie. - Washburn zamilkł po raz wtóry.

- I... - naciskał Jean-Pierre.
- Cofanie się napięć psychicznych spowoduje - już powoduje - że odzyskasz swoje umiejętności i zdolności. Lecz nie sądzę, byś kiedykolwiek był w stanie odnieść je do zdarzeń z przeszłości.
- Dlaczego? Dlaczego tak myślisz?
- Bo organiczne przewody uaktywniające i przekazujące wspomnienia zostały naruszone, fizycznie poprzestawiane do tego stopnia, że nie mogą funkcjonować tak jak kiedyś. Zostały zniszczone i nie odbudują ich żadne intencje ani starania.
- Ciemnowłosa mężczyzna tkwił na krześle w bezruchu.
- Więc odpowiedzi trzeba szukać w Zurychu - rzekł w ciszy.
- Jeszcze nie. Nie jesteś na to przygotowany, jesteś zbyt osłabiony.
- Ale przygotowuję się.
- Tak, na pewno.

Minęły tygodnie. Nadal trwały rozmowy i ćwiczenia, wciąż przybywało notatek; pacjent doktora Washburna wrócił do sił. Był słoneczny ranek dziewiętnastego tygodnia. Morze lśniło spokojną, gładką taflą. Tak jak zwykle o tej porze bezimienny mężczyzna skończył właśnie trening. Przez godzinę biegał wzdłuż nabrzeża i po okolicznych wzgórzach; stale zwiększał dystans, aż doszedł do prawie dwudziestu kilometrów dziennie przy coraz dłuższym kroku, coraz rzadszych odpoczynkach. Oddychając ciężko, siedział na krześle w sypialni, przy oknie; podkoszulek miał przesiąknięty potem. Wszedł tylnymi drzwiami i do sypialni dostał się z ciemnego korytarza, który omijał główny pokój domu Washburna. Tak było z pewnością, bo pokój ten służył jako poczekalnia, a doktor wciąż miał kilku pacjentów, którym łątał skaleczenia i głębsze rany. Siadywali tam w strachu zastanawiając się, w jakim stanie przyjmie ich rankiem *le médecin*. A *le médecin* trzymał się nawet nieźle. Co prawda wciąż chlał jak oszalały Kozak, ale z siodła nie pozwalał się wysadzić. Zachowywał się tak, jak gdyby w ciemnych zakamarkach niszczącego fatalizmu odnalazł iskierkę nadziei. Pacjent Washburna rozumiał wszystko - ta nadzieja wiązała się z bankiem na Bahnhofstrasse w Zurychu. Bahnhofstrasse... Dlaczego nazwa ulicy tak łatwo utkwiała mu w pamięci?...

Drzwi otworzyły się i do sypialni wpadł doktor. Uśmiechał się szeroko; na jego fartuchu czerwieniły się plamy krwi.

- Udało się! - zakrzyknął i więcej w tym było triumfu niż wyjaśnienia. - Powinienem otworzyć własne biuro werbunkowe i żyć z prowizji. Byłby przynajmniej stały dochód.

- O czym ty mówisz?

- Jak uzgodnił, załatwiłem to, czego ci trzeba: musisz zadziałać wśród ludzi, sam. A dwie minuty temu monsieur Jean-Pierre-Bezimienny został korzystnie zatrudniony! Przynajmniej na tydzień.

- Myślałem, że nic z tego nie wyjdzie. Jakżeś to załatwił?

- Ha, miałem właśnie załatać zainfekowaną nogę niejakiego Claude'a Lamouche'a. Dałem mu do zrozumienia, że mój zapas środków znieczulających jest bardzo, ale to bardzo niewielki. Ubiliśmy interes. Ty byłeś monetą przetargową.

- Na tydzień?

- Nadasz się, to zatrzyma cię na dłużej. - Washburn zamilkł. - Ale to chyba nie takie ważne, co?

- Nie jestem pewien, czy aby to ma jakikolwiek sens. To i wszystko inne. Teraz. Miesiąc temu - może. Ale nie dzisiaj. Już ci mówiłem. Jestem gotowy. Chyba tego chciałeś. Mam spotkanie w Zurychu.

- A ja pragnę, żebyś na tym spotkaniu wypadł jak najlepiej. Moje pragnienia są niezmiernie egoistyczne, dlatego nie pozwolę na opieszałość i zaniedbywanie obowiązków.

- Jestem gotowy.

- Zewnętrznie tak. Ale uwierz mi, szalenie ważne jest, byś spędził dużo czasu na wodzie, również nocą. Nie w warunkach kontrolowanych, nie jako pasażer. Musisz poddać się względnie surowym wymaganiom morza. Rzekłbym, im surowsze wymagania, tym lepiej.

- Jeszcze jeden egzamin?

- Musisz poddać się każdemu, jaki tylko zdołam obmyślić w prymitywie Port Noir. Gdybym umiał wyczarować dla ciebie sztorm i maleńką katastrofę morską, to bym wyczarował. Z drugiej strony, ten Lamouche ma w sobie coś ze sztormu; to trudny człowiek. Opuchlizna zejdzie mu z nogi wcześniej czy później. Wtedy zaczniesz się ciebie czepiać. Inni też, bo będziesz któregoś z nich zastępował.

- Wielkie dzięki.

- Drobnostka. W ten sposób połączymy dwa stresy: przynajmniej jedna, może dwie noce na morzu, jeśli Lamouche będzie trzymał się planu - to załatwi nam sprawę wrogiego środowiska, które przyczyniło się do wywołania psychozy reaktywnej - oraz stawianie czoła złości i podejrzeniom ze strony otaczających cię ludzi - to z kolei jest namiastką pierwotnej sytuacji stresotwórczej.

- Dzięki raz jeszcze. A jak zechcą wyrzucić mnie za burtę? Test idealny, co? Tylko nie wiem, czy by się na coś przydał, gdybym poszedł na dno.

- Nie, nie, nic takiego się nie zdarzy, nie - rzekł szyderczo Washburn.

- Cieszę się, że jesteś tak pewny siebie. Też bym chciał.

- Możesz. Chroni cię moja obecność w Port Noir. Nie jestem ani Christianem Barnardem, ani Michaeliem De Bakeyem, ale mieszkam w Port Noir i tubylcy oprócz mnie nie mają nikogo. Oni mnie potrzebują, nie zaryzykują utraty jedyne go lekarza.

- Ale ty przecież chcesz wyjechać, i ja jestem twoim paszportem.

- Niepojęte są wyroki losu, mój drogi pacjencie, niepojęte. No, do rzeczy. Lamouche chce, żebyś stawił się w basenie portowym; masz otrzaskać się ze sprzętem. Wyruszacie jutro o czwartej rano. Zważ, ile korzyści przyniesie tydzień na morzu, i potraktuj ten rejs jako przejażdżkę.

Przejażdżka. Nikt nigdy nie doświadczył takiej przejażdżki. Szyprem brudnej, śmierdzącej tłuszczem łodzi był ordynarny i cuchnący Lamouche, który - gdyby zastępował kapitana Bligha w roku 1789 - wyróżniłby zbuntowanych marynarzy „Bounty” w pień. Załogę stanowiła doborowa czwórka wyrzutków będących niechybnie jedynymi ludźmi w Port Noir, którzy znosili towarzystwo Lamouche’a. Piątym stałym członkiem załogi okazał się brat głównego sieciarza i nowy, imieniem Jean-Pierre, został o tym fakcie powiadomiony natychmiast, tuż po czwartej rano, gdy tylko wyszli z portu.

- Zabierasz chleb mojemu bratu! - syknął ze złością sieciarz, otaczając się kłębamii dymu buchającego gwałtownie z nieruchomego papierosa w kąciiku ust. - Wyzdierasz żarcie z brzuchów jego dzieci!

- Zostanę tylko tydzień - zaprotestował Jean-Pierre; prościej, o ileż prościej byłoby spłacić bezrobotnego brata z miesięcznego zasiłku Washburna, ale lekarz i pacjent zdecydowali, że taka ugoda nie wchodzi w grę.

- Mam nadzieję, że poradzisz sobie przy sieciach!

Nie poradził.

W czasie następnych siedemdziesięciu dwóch godzin zdarzały się chwile, kiedy człowiek imieniem Jean-Pierre sądził, iż mimo wszystko umowa z Lamouche’em gwarantuje też i finansowe uregulowanie sprawy. Nawet nocą udręce nie było końca, zwłaszcza nocą. Zdawało się, że oczy rybaków nieustannie za nim wodzą, czuwają, by zaskoczyć go na krawędzi snu, gdy leżał na materacu rojącym się od robactwa.

- Hej, ty tam! Przejmij wachtę! Kumpel źle się czuje. Zastąpisz go.

- Wstawaj! Philippe pisze pamiętnik. Nie można mu przeszkadzać.

- Rusz dupę! W południe zerwałeś sieć. Nie będziemy płacić za twoją głupotę. Tak się zgodziliśmy. Dalej, napraw ją!

Sięci.

Jeśli na jednym skrzydle potrzeba było dwóch ludzi, on ich zastępował. Jeżeli pracował obok któregoś z nich, zdarzało się, że włoka nagle naprężała się i poluzniała. Wtedy musiał utrzymywać ciężar całego zaciągu, a często - o włos od upadku za burtę - łądował na okrężnicy, potrącony ramieniem sąsiada.

I ten Lamouche. Utykający maniak, mierzył każdy kilometr morza ilością ryb, które stracił. Głos miał skrzeczący jak zepsuta tuba z elektronicznym wzmacniaczem. Zwracał się do rybaków, poprzedzając ich nazwiska wulgarnym epitetem, co budziło w nowym narastającą wściekłość. Ale Lamouche'owi nie chodziło o Jean-Pierre'a. On tylko przekazywał Washburnowi wiadomość: „Nigdy więcej mi tego nie rób. Trzymaj się z dala od mojej łodzi i moich ryb”.

Zgodnie z planem Lamouche'a trzeciego dnia o zachodzie słońca mieli wrócić do Port Noir i rozładować łódź. Załoga miała mieć wolne do godziny czwartej następnego ranka, żeby wyspać się trochę, trochę połajdaczyć, schlać się, a przy odrobinie szczęścia połączyć z sobą wszystkie trzy przyjemności naraz. Na horyzoncie ukazał się łąd. Wtedy się zaczęło.

Główny sieciarz i jego pierwszy pomocnik akurat wybierali i układali sieci na środku kutra. Wielce niepożądany członek załogi - przewalił go „Jean-Pierre-Pijawka” - szorował deski szczotką na długim kiju. Dwaj pozostali rybacy wylewali na pokład kubły morskiej wody; lali ją tuż przed szczotkę i, rzecz jasna, o wiele częściej zdarzało im się zmoczyć Jean-Pierre'a niż to, co zmoczenia wymagało.

Któreś z kolei wiadro chlusnęło zawartością zbyt wysoko i woda natychmiast oślepiła pacjenta doktora Washburna. Jean-Pierre stracił równowagę. Ciężka szczotka ze szczecina niczym stalowe pazury wypadła mu z rąk i obróciwszy się na sztorc, uderzyła w udo klęczącego sieciarza.

- *Sacre diable!*

- *Je regrette* - rzucił zdawkowo sprawca przestępstwa, wycierając oczy.

- Co jest, do diabła?! - wrzasnął sieciarz.

- Przepraszam, powiedziałem przepraszam - odparł Jean-Pierre. - Powiedz swoim przyjaciołom, żeby lali wodę na pokład, nie na mnie.

- Moi przyjaciele nie robią ze mnie ofiary własnej głupoty!

- Za to przed chwilą ze mnie taką ofiarę zrobili.

Sieciarz chwycił szczotkę za kij, wstał i wysunął ją w przód jak bagnet.

- Co? Chcesz się ze mną zabawić, Pijawko?

- Chętnie. Zaczynaj.

- Z przyjemnością, Pijawko. No to masz! - Sieciarz pchnął go szczotką. Ostra szczecina przebiła materiał koszuli i zadrapała pierś i brzuch Jean-Pierre'a.

Pacjent doktora Washburna nie wiedział, czy na jego reakcję wpłynęło podrażnienie blizn na zagojonych ranach, czy frustracja i złość rosnąca w nim od trzech dni ciągłych upokorzeń. Wiedział tylko, że musi na cios odpowiedzieć. A odpowiedź była bardziej zatrwazająca, niż mógł ją sobie wyobrazić.

Chwycił kij prawą ręką i dźgnął nim w brzuch sieciarza. Szarpnął szczotką w momencie uderzenia, wyrzucając jednocześnie lewą nogę w górę i wbijając stopę w gardło tamtego.

- *Tao!* - Gardłowy szepet wyrwał mu się z ust mimowolnie; nie wiedział, co oznacza.

Nim zdolał pomyśleć, wykonał obrót i tym razem jego prawa stopa rozcięła powietrze i jak taran uderzyła w lewa nerkę sieciarza.

- *Cze-sah!* - wyszeptał.

Sieciarz cofnął się, a później rzucił ku niemu z wściekłością spotęgowaną bólem,

rozczipierając szponiaste paluchy.

- Ty świńskie nasienie!

Jean-Pierre kucnął z wysuniętym do góry ramieniem. Przytrzymał lewą rękę tamtego, szarpnął nią do dołu, wyprostował się, pchnął ramię sieciarza od siebie, aż w końcu puścił je i wbił obcas buta w krzyż przeciwnika. Francuz runął na sieci i grzotnął głową o ścianę okrężnicy.

- *Mii-sah!* - i znów nie zrozumiał własnego okrzyku.

Któryś z rybaków chwycił go z tyłu za szyję. Podopieczny Washburna uderzył pięścią w okolice jego miednicy, potem zgiał się wpół, przycisnąwszy łokieć napastnika do lewej strony gardła. Nachylił się jeszcze mocniej i kiedy nogi rybaka straciły kontakt z podłożem, Jean-Pierre cisnął nim daleko, na drugą stronę łodzi. Jego przeciwnik zamachał w powietrzu nogami, po czym utkwiał szyją i twarzą między kołami pokładowego dźwigu.

Na Jean-Pierre'a runęło dwóch pozostałych ludzi Lamouche'a. Okładali go pięściami, kopali, a szyper kutra wyrzaskiwał bez przerwy:

- *Le médecin! Rappelons le médecin! Doucement!* Lekarza! Wezwijcie lekarza! Spokojnie!

Słowa ani trochę nie odpowiadały widokowi, który ujrzał. Pacjent Washburna zgiał w przegubie dłoń jednego z rybaków, wykręcając ją jednocześnie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Zrobił to błyskawicznie, gwałtownie, i jego przeciwnik ryknął z bólu - ręka była złamana.

Jean-Pierre zacisnął teraz palce dłoni, wyrzucił ramiona w górę niczym młot kowalski i trafił mężczyznę ze zmiażdżonym nadgarstkiem prosto w gardło. Rybak przeokołkował w powietrzu i zwałił się ciężko na pokład.

- *Kwa-sah!* - cichy okrzyk zabrzmiał w uszach Jean-Pierre'a jak dalekie echo.

Czwarty podopieczny Lamouche'a zrejterował, gapiąc się na szaleńca, który ledwo co na niego spojrział.

Było po wszystkim. Trzech ludzi z załogi kutra straciło przytomność, ponosząc surową karę za to, co zrobili. Wątpliwe, czy którykolwiek z nich stawi się w basenie portowym następnego dnia o czwartej rano.

W głosie Lamouche'a dało się odczytać zarówno zdumienie, jak i ciężką urazę.

- Nie wiem, skąd się tutaj wziąłeś, ale z mojej łodzi pójdziesz precz.

Człowiek bez przeszłości rozumiał nie zamierzoną ironię. On też nie wiedział, skąd się wziął.

- Teraz nie możesz tu zostać - powiedział Geoffrey Washburn, wchodząc do ciemnej sypialni. - Przysięgam, dawałem głowę, że będę w stanie zapobiec poważniejszemu atakowi na ciebie. Ale nie ochronię cię, kiedy już ich naraziłeś na szwank.

- Sprowokowali mnie.

- Do tego stopnia?! Ręka złamana w przegubie, rozległe rany darte na gardle i twarzy, rany wymagające szycia i rana czaszki u tego drugiego? Ciężki wstrząs mózgu i trudne do ustalenia uszkodzenie nerki? Nie wspominając już o kopnięciu w pachwinę, które spowodowało obrzęk jąder? Człowieku! Przesadziłeś jak diabli! Jeszcze trochę, a byś ich zabił!

- Oni zabiliby mnie, gdybym nie przesadził - Jean Pierre urwał, ale odezwał się ponownie, nim doktor mu przeszkodził. - Chyba musimy porozmawiać. Wydarzyło się sporo nowego, przypomniały mi się nowe słowa. Musimy porozmawiać.

- Musimy, ale nie możemy. Nie ma na to czasu. Trzeba, żebyś zaraz stąd wyjechał. Już poczyniłem pewne starania.

- Zaraz?

- Tak. Powiedziałem im, że jesteś we wsi, że się zapijasz. Ich rodziny będą cię szukać. Wszyscy, każdy braciszek osiłek, każdy co silniejszy kuzyn i krewniak. Wezmą noże, haki,

może nawet kilka rewolwerów. Nie znajdą cię i wrócą tutaj, i nie ustąpią, dopóki cię nie chwycą.

- Z powodu mordobicia, którego nie zacząłem?

- Z powodu trzech rannych ludzi. Ty ich zraniłeś i stracą teraz co najmniej miesięczne zarobki. Jest jeszcze coś, coś nieporównywalnie ważniejszego.

- To znaczył

- Obraza. Obcy, człowiek spoza wyspy, udowodnił, że jest czymś więcej niż godnym przeciwnikiem nie dla jednego, ale dla trzech szanowanych rybaków z Port Noir.

- Szanowanych?!

- W sensie fizycznym. Ludzie uważają, że załoga Lamouche'a to najgorsza banda na wybrzeżu.

- Śmieszne.

- Nie dla nich. W grę wchodzi honor. Teraz szybko. Spakuj swoje rzeczy. Jest tu łódź z Marsylii. Kapitan zgodził się przeszmuglować cię na pokład i wyrzucić na morzu pół mili od La Ciotat.

Jean-Pierre wstrzymał oddech.

- Więc nadesza pora... - rzekł spokojnie.

- Tak, pora - odparł Washburn. - Chyba wiem, co zaprzęta ci umysł. Poczucie bezradności, wrażenie, że zaczniesz dryfować i nie będzie już steru, który cię naprowadzi na kurs. Ja jestem twoim sterem i mnie zabraknie. Nic na to nie poradzimy. Ale wierz mi: nie jesteś bezradny, poradzisz sobie i odnajdziesz trop.

- W Zurychu - dodał Jean-Pierre.

- W Zurychu - zgodził się doktor. - Masz, trzymaj. Zapakowałem w ceratę trochę rzeczy. Przymocujesz to do pasa.

- Co to jest?

- Wszystkie pieniądze, jakimi dysponuję; coś około dwóch tysięcy franków. Niewiele, ale na początek jak znalazł, i mój paszport, chociaż wątpię, czy ci się przyda. Jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, a paszport był wystawiony osiem lat temu; ostatecznie ludzie się zmieniają. Nie pozwól, żeby ktoś go zbyt dokładnie oglądał. To tylko urzędowy papierek.

- Jak sobie bez niego poradzisz?

- Jeżeli się do mnie nie odezwiesz, nie będzie mi już nigdy potrzebny.

- Porządny z ciebie człowiek.

- Z ciebie chyba też, tak sędzę... O ile cię znam. Z drugiej strony nie znałem cię przedtem. Dlatego nie mogę za ciebie ręczyć. Chciałbym, ale nie mogę. W żaden sposób.

Oparty o reling, patrzył na oddalające się światła Île de Port Noir. Trawler zmierzał w aksamitny mrok. Prawie pięć miesięcy temu on także runął w czarną otchłań morza.

Teraz miał stawić czoło otchłani innej, nieznannej.

Nie widać było żadnych świateł i tylko zachodzący księżyc omywał nikłym blaskiem skaliste wybrzeże Francji. Znajdowali się niespełna dwieście metrów od brzegu. Trawler kołysał się łagodnie w zmiennych prądach zatoczki. Kapitan powiedział:

- Między tymi dwiema grupami skał jest mała plaża. - Wskazał kierunek ręką. - Krótka jest, ale trafisz, jeśli weźmiesz poprawkę na prawo. Możemy zdryfować najwyżej jeszcze dziesięć, piętnaście metrów i wysiadka. Za minutę, dwie...

- I tak zrobił pan więcej, niż oczekiwałem. Dziękuję.

- Nie trzeba, spłacam dług i tyle.

- Ten dług to ja?

- Ano, tak. Doktor z Port Noir połatał trzech ludzi z mojej załogi po tym piekle sprzed pięciu miesięcy. Nie ciebie jednego wtedy cerował.

- Po sztormie? Zna mnie pan?

- Leżałeś na stole blady jak śmierć, ale nie, nie znam cię i nie chcę cię znać. Akurat wtedy nie miałem pieniędzy; nic nie złowiliśmy. Doktor powiedział, że mogę zapłacić, kiedy nadejdą dla mnie lepsze czasy. Teraz płacę - tobą.

- Muszę zdobyć dokumenty - rzucił Jean-Pierre wyczuwając, że kapitan jest w stanie mu pomóc. - Muszę podrobić paszport.

- Nie ten adres, kolego - odparł szyper. - Obiecałem doktorowi, że wrzucę przesyłkę do morza na wysokości La Ciotat i na tym koniec.

- Nie obiecywałby pan tego, gdyby nie mógł pan załatwić i innych spraw, poważniejszych.

- Nie zabiorę cię do Marsylii. Nie będę ryzykował spotkania z łodziami patrolowymi. Oddziały Sûreté krążą po całym porcie, a ci od narkotyków to istni szaleńcy. Albo płacisz, albo bekasz dwadzieścia lat w ciupie.

- Co znaczy, że w Marsylii można zdobyć dokumenty, i że pan może mi pomóc.

- Tego nie powiedziałem.

- Powiedział pan. Muszę załatwić sobie papiery, a załatwić je można tam, dokąd nie chce mnie pan zabrać. Ale załatwić można. Sam pan to powiedział.

- Co powiedziałem?

- Że pogada pan ze mną w Marsylii, jeśli uda mi się tam dotrzeć bez pana. Niech mi pan tylko powie, gdzie mam się stawić.

Szyper trawlera wpatrywał się z uwagą w twarz swego pasażera; decyzja rodziła się z trudem, ale się rodziła.

- Na ulicy Sarrasin, w południowej części Starego Portu, jest taka kafejka, knajpa - „Le Bouc de Mer”. Będę tam dziś wieczorem między dziesiątą a jedenastą. Będzie trzeba płacić; część z góry.

- Ile?

- To sprawa między tobą i człowiekiem, z którym ją załatwisz.

- Ale mniej więcej. Muszę wiedzieć.

- Jeśli już masz jakieś papiery, wypadnie taniej. Bo jak nie, trzeba je ukraść.

- Mówiłem panu, mam. Szyper wzruszył ramionami.

- Tysiąc pięćset, dwa tysiące franków, i co? Tracimy czas?

Jean-Pierre myślał o pakieczku zawiniętym w ceratę i przytwierdzonym do pasa. Wkroczy do Marsylii jako bankrut, ale w kieszeni będzie miał sfałszowany paszport - paszport do Zurychu.

- Zgoda, jakoś sobie poradzę - odrzekł nie wiedząc, skąd wzięła się w jego głosie taka pewność siebie. - Zatem dzisiaj wieczorem.

Kapitan spojrział w stronę mgliście oświetlonej linii wybrzeża.

- Dobra, dalej nie możemy dryfować - powiedział. - Teraz musisz radzić sobie sam. I pamiętaj, jeśli nie spotkamy się w Marsylii, nigdy mnie nie widziałeś, a ja nigdy nie widziałem ciebie; ludzie z mojej załogi też cię nie znają.

- Spotkamy się. „Le Bouc de Mer”, rue Sarrasin, południowa część Starego Portu.

- Z Bogiem. - Szyper dał znak sternikowi; na dole zadudniły silniki. - Jeszcze jedno - dodał. - Klientela w „Le Bouc” nie przepada za paryskim akcentem. Na twoim miejscu trochę bym go popsuł.

- Dzięki za radę - odparł Jean-Pierre. Przerzucił nogi za burtę i opuścił się do wody. Swoją plecak trzymał wysoko i mocno pracował nogami, żeby utrzymać się na powierzchni. - Do zobaczenia wieczorem - dodał głośniej, spoglądając z dołu na czarny kadłub trawlera.

Ale przy relingu nie zobaczył już nikogo; kapitan odszedł. Jedynymi dźwiękami, jakie słyszał, był odgłos fal uderzających o drewno i stłumiony pomruk silników nabierających obrotów.

Teraz musisz radzić sobie sam...

Przeszył go dreszcz. Obrócił się w wodzie, kierując do brzegu. Nie zapomniał o poprawce na prawo i zmierzał ku grupie skał. Jeśli szyper wiedział, o czym mówi, prąd wody zanieśie go do niewidocznej plaży.

I zaniósł. Poczul nagle, jak silny strumień ciągnie go w dół. Dotknął bosymi stopami piasku i z najwyższym trudem pokonał ostatnie trzydzieści metrów. Lecz płócienny chlebak był względnie suchy; wciąż trzymał go wysoko nad łamiącymi się falami.

Kilka minut później siedział na kępie dzikiej trawy; wysokie badyle gięły się w podmuchach morskiej bryzy, brzask wkraczał na nocne niebo. Słońce wszędzie za godzinę, wtedy i on rozpocznie swoją wędrówkę.

Otworzył chlebak i wy dostał zeń buty, grube skarpety, zwinięte ciasno spodnie i ciepłą, drelichową koszulę. Gdzieś, kiedyś, w przeszłości nauczył się pakować, wykorzystując miejsce do maksimum; chlebak zawierał o wiele więcej rzeczy, niż można by sądzić. Ale gdzie? Dlaczego? Po co? Pytaniom nie było końca.

Wstał i zdjął angielskie szorty, które darował mu Washburn. Rozpostarł je na trawie, by wyschły - nie mógł sobie pozwolić na luksus wyzbywania się czegokolwiek. Z podkoszulkiem postąpił tak samo.

Stojąc nago na wydmie, doznał uczucia dziwnego rozradowania zlewającego się z głuchym bólem idącym jak gdyby ze środka brzucha. Ten ból to strach, wiedział o tym. Radość także była zrozumiała.

Zdał swój pierwszy egzamin. Zawierzył instynktowi - może nie miał wyboru? - wyczuł, co trzeba mówić, jak reagować. Jeszcze godzinę temu nie wiedział, dokąd iść, a Zurych wydawał się tylko mglistym celem za granicami, które należało pokonać i za szpalerami bacznym oczu, które należało przekonać. Paszport Washburna był tak ewidentnie paszportem Washburna, że nawet najgłupszy celnik nie dałby się nabrać, i gdyby nawet zdołał jakoś dotrzeć do Szwajcarii, musiałby stamtąd od razu uciekać, z każdym krokiem powiększając szansę wpadki. Nie mógł sobie na to pozwolić. Nie, nie teraz, kiedy wciąż nasuwa się tyle pytań. Odpowiedzi są w Zurychu, ale nie będzie się tam przekradał. Dlatego zagadnął szypra łodzi rybackiej, żeby mu pomógł.

Nie jesteś bezradny. Poradzisz sobie...

Nim skończy się dzień, nawiąże kontakt - jakiś fachman sfałszuje paszport Washburna i otworzy mu granice. Pierwsze konkretne posunięcie, lecz zanim ono nastąpi, trzeba rozważyć kwestię pieniędzy. Dwa tysiące franków od doktora nie wystarczy; może ich nie starczyć nawet na sam paszport. Bo co z tego, że będzie mógł swobodnie podróżować, skoro nie ma na to środków? Pieniądze. Musi zdobyć pieniądze. Musi obmyślić jakiś sposób.

Strzepnął ubranie, które wy dostał z plecaka, wciągnął je i włożył buty. Legł na piasku i zapatrzył się w niebo. Świtało. Rodził się nowy dzień. Rodził się nowy człowiek.

La Ciotat. Spacerował wąskimi uliczkami, zaglądając do sklepów wyłącznie po to, żeby porozmawiać ze sprzedawcami. Dziwne wrażenie być częścią tłumu; nie anonimowym topielcem wyłowionym z morza, lecz częścią tłumu. Pamiętał o radzie kapitana i gardłowo zniekształcał swoją francuszczyznę tak, by uchodzić za niegodnego uwagi przejeźdnego.

Pieniądze.

W La Ciotat znajdowała się dzielnica zamieszkała widocznie przez bogatszą klientelę, i sklepy były tu czystsze, i towary droższe, ryby świeższe, a mięso krajano o wiele grubiej niż w miejskim centrum handlowym. Tutaj nawet warzywa lśniły w słońcu - wiele z nich egzotycznego pochodzenia, z północnej Afryki i Bliskiego Wschodu. Dzielnica ta miała w sobie coś z Paryża albo Nicei, tkwiła w drobnomieszczańskiej rutynie typowej dla małej, nabrzeżnej społeczności. Nieco z boku, odseparowana od ciągu sklepów wypielegnowanym trawnikiem, stała mała restauracja, do której dochodziło się ścieżką wyłożoną płaskimi kamieniami.

Pieniądze.

Wstąpił do rzeźnika. Zauważył, że właściciel sklepu ocenił go krytycznie; jego spojrzenie nie było przyjazne. Obsługiwał właśnie małżeństwo w średnim wieku; sądząc po ich wymowie i sposobie bycia, musieli mieszkać gdzieś dalej, na przedmieściach. Wyrażali się dosadnie i szorstko, z wyraźną nutką pretensji w głosie.

- W zeszłym tygodniu cielęcina była ledwo znośna - stwierdziła kobieta. - Niech się pan stara, bo inaczej zmuszona będę zamawiać w Marsylii.

- A wczoraj wieczorem - dodał mężczyzna - markiz wspomniał, że kotlety z jagnięcia są o wiele, o wiele za cienkie. Powtarzam więc raz jeszcze: dokładnie cal i ćwiartka.

Rzeźnik westchnął, wruszył ramionami, wyrecytował uniżenie przeprosiny, zapewnił, że się poprawi. Kobieta zwróciła się do swego towarzysza, ale jej głos nie zabrzmiał wcale łagodniej.

- Czekaj teraz na pakunki i weź je do samochodu. Będę w spożywczym. Tam się spotkamy.

- Oczywiście, moja droga.

Żona wyszła - gołębica w pogoni za następnymi ziarenkami konfliktu. Moment po tym jak zamknęła za sobą drzwi, mąż spojrzął na rzeźnika i jego zachowanie uległo niezwyklej przemianie: zniknęła gdzieś arogancja, na twarzy wykwitł szeroki uśmiech.

- Dzień jak co dzień, no nie, Marcel? - spytał, sięgając do kieszeni po papierosy.

- Zdarzały się lepsze, zdarzały i gorsze. Te kotlety naprawdę były za cienkie?

- Skąd! Przecież on sam nigdy nic nie mówi, bo nie jest w stanie! Za to ona czuje się lepiej, kiedy narzeka, sam wiesz, jak jest.

- Gdzie on teraz jest, ten nasz markiz de Kupagie?

- Obok, pijany jak bela. Czekają na dziwkę z Tulonu. Wpadnę po niego wieczorem i przemycę go do stajni, żeby markiza nie zauważyła. O tej porze będzie już tak zalany, że nie siądzie za kierownicą. Korzysta z pokoju Jean-Pierre'a, wiesz, tego nad kuchnią.

- Tak, obilo mi się o uszy.

Usłyszawszy imię „Jean-Pierre”, pacjent doktora Washburna odwrócił się od gabloty z drobiem. Zdziałał podświadomy odruch, lecz to wystarczyło, żeby rzeźnik przypomniał sobie o jego obecności.

- O co chodzi? Czego pan tu chce?

Nadszedł czas, żeby wyzbyć się gardłowej francuszczyzny.

- Przyjaciele z Nicei polecili mi pański sklep - odezwał się z akcentem, który licował bardziej z Quai d'Orsay niż z „Le Bouc de Mer”.

- Ach tak? - Rzeźnik jeszcze raz dokonał błyskawicznej oceny klienta; wśród ludzi, których obsługiwał, zwłaszcza tych młodszych, zdarzali się i tacy, co to woleli ubierać się na przekór swemu statusowi, a ostatnio pospolite baskijskie koszule były nawet w modzie. - Szanowny pan u nas pierwszy raz?

- Reperują mi łódź. Dzisiaj już nie dotrzemy do Marsylii

- Czy mogę czymś państwu służyć?

Jean-Pierre roześmiał się.

- O tak, chyba tak - naszemu mistrzowi patelni; zjawi się tutaj później. Niezbyt ufam jego zdolnościom, ale, na szczęście, ja też mam tu coś do powiedzenia.

Rzeźnik i jego znajomy również wybuchnęli śmiechem.

- Oczywiście, szanowny panie, oczywiście - rzekł właściciel sklepu.

- Wezmę z tuzin kaczuszek i, powiedzmy, osiemnaście chateaubriandów.

- Tak jest, proszę pana.

- Dziękuję. Wyślę naszego króla garnków bezpośrednio do pana. - Zwrócił się do mężczyzny w średnim wieku. - Przepraszam, przypadkowo słyszałem, o kim panowie rozmawiali. Nie, nie, proszę się nie niepokoić. Czy markiz to nie ten bałwan d'Ambois? Ktoś mi wspominał, że tutaj mieszka.

- Ach nie, proszę pana - odparł służący. - Nie znam markiza d'Ambois. Rozmawialiśmy o markizie de Chamford. Prawdziwy z niego dżentelmen, ale ma kłopoty. Nieudane małżeństwo, proszę pana. Bardzo nieudane, wszyscy o tym wiedzą.

- Chamford...? Chamford? Chyba go znam. Taki niski jegomość, prawda?

- Nie, proszę pana, przeciwnie, bardzo wysoki. Powiedziałbym, że pana wzrostu.

- Och, naprawdę?

Jako nowy roznosiciel produktów firmy „Roquevaire”, jeszcze niezbyt pewny terenu, Jean-Pierre zapoznał się z rozkładem schodów oraz wyjść z piętrowego budynku restauracji nader szybko. Na piętro można się było dostać albo schodami z kuchni, albo z małego foyer tuż przy głównym wejściu; tych ostatnich używali stali klienci korzystający z rozłokowanych na górze toalet. Znalazł też okno, przez które można było obserwować każdego, kto szedł po tych właśnie schodach; Jean-Pierre dawał głowę, że jeśli cierpliwie zaczeka, zobaczy przez nie kobietę i mężczyznę. Bez wątpienia udadzą się na górę osobno i zamiast do toalety wejdą do sypialni nad kuchnią. Pacjent doktora Washburna zastanawiał się, który z drogich samochodów parkujących na cichej uliczce należy do markiza de Chamford. Którykolwiek by należał, służący Chamforda, ten od rzeźnika, nie miał powodów do obaw - jego pan z pewnością nie siądzie za kółkiem.

Pieniądze.

Kobieta zjawiła się kilka minut przed pierwszą. Była ogorzałą blondyną z wielkim biustem wypychającym jedwabną bluzkę, z długimi, opalonymi nogami poruszającymi się wdzięcznie w rytm stukotu butów na wysokim obcasie, z udami i biodrami obciśniętymi białą spódniczką. Może i Chamford miał kłopoty, ale miał też gust.

Dwadzieścia minut później dostrzegł przez okno białą spódniczkę - kobieta szła na górę. Po niespełna sześćdziesięciu sekundach za szybą ukazała się sylwetka jej klienta: ciemne spodnie, kurtka, blada twarz, oczy czujnie wpatrzone w szczyt schodów. Jean-Pierre liczył upływające minuty. Miał nadzieję, że markiz de Chamford nie zapomniał zegarka.

Chwyciwszy chlebak za pasek, niósł go - o ile to tylko było możliwe - w sposób jak najmniej rzucający się w oczy. Wykładaną płaskimi kamieniami ścieżką zmierzał do restauracji. W środku, w foyer, skręcił w lewo i przepaszając jakiegoś starszego mężczyznę, który mozolił się na schodach, minął go, dotarł na piętro i znów skręcił w lewo, w długi korytarz urywający się na końcu budynku bezpośrednio nad kuchnią. Przeszedł obok toalet i znieruchomiał, oparty plecami o ścianę; odwróciwszy głowę czekał, aż staruszek dojdzie do

ubikacji i pchnie drzwi, rozpinając jednocześnie rozporek.

Wtedy Jean-Pierre zadziałał prawie bez namysłu, instynktownie. Podniósł chlebak, umieścił go na środku drzwi, przytrzymał wyciągniętymi rękami, cofnął się i jednym płynnym ruchem uderzył ramieniem w płócienne zawiniątko. Błyskawicznie opuścił prawą rękę i gdy drzwi rozwarły się na oścież, chwycił za ich krawędź, by nie roztrzaskały się o ścianę. W restauracji na dole nikt nie usłyszał stłumionych odgłosów włamania.

- *Nom de Dieu!* - wrzasnęła kobieta. - *Qui est là!*

- *Silence!*

Markiz de Chamford sturlał się z nagiego ciała blondyny i zwałił jak długi z łóżka na podłogę. Mógłby występować w operze komicznej: wciąż miał na sobie wykrochmaloną koszulę, idealnie zawiązany krawat, a na nogach podkolanówki z czarnego jedwabiu - innych części garderoby na sobie nie miał. Kobieta okryła się kocem, robiąc co tylko możliwe, żeby rozładować niezręczną sytuację.

Jean-Pierre szybko wydawał rozkazy.

- Nie podnoście głosu. Nikomu nic się nie stanie, jeśli zrobicie to, co powiem.

- Moja żona ciebie wynajęła! - wybełkotał Chamford, nie będąc w stanie skupić rozbieganych oczu. - Ja dam ci więcej!

- Dobry początek - odrzekł pacjent doktora Washburna. - Proszę zdjąć koszulę i krawat. Skarpetki też. - Na rękę markiza zauważył złotą bransoletę. - I zegarek.

Kilka minut później był już przebrany. Ubranie markiza leżało nie całkiem idealnie, lecz nikt nie mógł kwestionować jakości materiału i niepowtarzalności kroju. Zdobył do tego zegarek - oryginalny Gérard Perrégaux - i portfel Chamforda z trzynastoma tysiącami franków; osadzone w czystym srebrze kluczyki od samochodu - z monogramem właściciela - także robiły wrażenie.

- Na miłość boską, daj mi choć swoje ubranie! - zażądał płaczliwie markiz; przez opary alkoholu zaczynała do niego docierać świadomość niewiarygodnie kłopotliwego położenia.

- Przykro mi, nie mogę - odparł Jean-Pierre, zbierając własne ubranie i szmatki blondyny.

- Nie możesz tego zrobić! To moje! - wrzasnęła.

- Uprzedzałem, proszę nie podnosić głosu.

- Dobrze już, dobrze - mówiła dalej - ale nie może pan przecież...

- Owszem, szanowna pani, mogę. - Rozejrzał się po sypialni; na stoliku przy oknie zobaczył telefon. Podszedł tam i wyrwał kabel z gniazdka. - Teraz nikt państwu nie przeszkodzi - dodał i wziął chlebak.

- Nie ujdzie ci to płazem! - warknął Chamford. - Złapią cię! Policja cię znajdzie!

- Policja? - spytał Jean-Pierre. - Naprawdę chce pan zawiadomić policję? Trzeba będzie spisać oficjalny protokół, podać okoliczności i tak dalej. Wcale nie jestem pewien, czy to taki dobry pomysł. Lepiej niech pan zaczeka na służącego; wpadnie tu przed wieczorem. Słyszałem, jak mówił, że przemyci pana do stajni i markiza o niczym się nie dowie. Biorąc pod uwagę wszystkie aspekty sprawy, szczerze radzę, żeby pan właśnie tak postąpił. Chyba stać pana na wymyślenie czegoś ciekawszego niż to, co zdarzyło się tutaj. Ja niczemu nie zaprzeczę.

Tajemniczy złodziej wyszedł i zamknął za sobą uszkodzone drzwi.

Nie jesteś bezradny. Poradzisz sobie.

Jak dotąd rzeczywiście dawał sobie radę i to napawało go niepokojem. Co powiedział Washburn...? *Umiejętności i zdolności wróć... lecz nie sądzę, byś kiedykolwiek był w stanie odnieść je do zdarzeń z własnej przeszłości.* Przeszłość. Jaka przeszłość wykształciła w nim umiejętności, które sprawdziły się w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin? Gdzie

nauczył się walczyć nogami i palcami rak uderzającymi z siłą młota? Gdzie nauczył się ranić i przyprawiać kogoś o kalectwo? Skąd tak dokładnie wiedział, gdzie kierować ciosy? Kto uczył go, jak wywierać wpływ na ludzi z przestępczego świata, żeby skutecznie przełamać ich opór i zmusić do udzielenia mu pomocy? Jakim sposobem wychwytywał ukryte podteksty, bezgranicznie wierząc, że instynkt go nie zawodzi? Jakim cudem w przypadkowo podsłuchanej rozmowie w sklepie mięsny natychmiast dostrzegł szansę zdobycia pieniędzy? Albo raczej - okazję do popełnienia zwykłego przestępstwa? Mój Boże, jakże mógł coś takiego zrobić?

Jeśli będziesz z sobą walczył, jeśli będziesz się zadreślał, twój stan się pogorszy.

Skoncentrował się na drodze i na wykładanej mahoniem desce rozdzielczej samochodu markiza de Chamford. Rozkład wskaźników i oprzyrządowania był mu obcy; w swej przeszłości nie miał zatem raczej do czynienia z takimi wozami. To coś nowego, tak przypuszczał.

Niespełna godzinę później przejechał most spinający szeroki kanał i już wiedział, że jest w Marsylii. Małe, pudełkowate domki z kamienia podobne skałom wystającym z wody, wąskie uliczki, murowane ściany - przedmieścia Starego Portu. Znał ten widok i jakby go nie znał. Daleko, na jednym ze wzgórz dostrzegł sylwetkę katedry z figurą Maryi Dziewicy rysującą się wyraźnie na szczycie strzelistej wieży. Notre-Dame-de-la-Garde. Więc znał tę nazwę, widok też znał, jednak go nie znał.

Chryste! Dość! Wystarczy!

Kilka minut później dotarł do pulsującego ruchem centrum i jechał zatłoczoną Cannebière wzdłuż rzędów drogowych sklepów, w promieniach wysokiego słońca odbijających się w bezbrzeżnych tafliach ciemnego szkła po obu stronach jezdni, wzdłuż nie kończącego się szpaleru ulicznych kawiarenek. Skręcił w lewo, w stronę portu, mijając składy, magazyny, małe fabryczki i odgródzone płotami parkingi z samochodami gotowymi do transportu towarów na północ do Saint-Etienne, Lyonu, Paryża czy na południe, do miast basenu Morza Śródziemnego.

Instynkt. Zawierz instynktowi. Nic nie mogło ująć jego uwagi. Każdy przedmiot należy wykorzystać; kamień ma wartość, o ile da się nim rzucić, samochód, jeśli ktoś go zechce kupić. Wybrał parking, gdzie stały pojazdy nowe i używane, ale drogie; zatrzymał jaguara przy krawężniku i wysiadł. Za płotem dojrzał mały warsztat, a w nim mechaników w kombinezonach, którzy snuli się ospale z narzędziami. Wszedł za ogrodzenie, trochę pokręcił się po terenie, aż zauważył mężczyznę, którego ubranie było wypłowiałe i upstrzone mnóstwem kieszonek na śruby, sztyfty i trzpienie. Instynkt kazał mu podejść do niego.

W niespełna dziesięć minut, przy minimum wyjaśnień, sprawa została załatwiona - po zeszlifowaniu numerów silnika jaguar miał przepaść gdzieś w północnej Afryce.

Kluczyki osadzone w srebrze, z monogramem, oddał za sześć tysięcy franków, co stanowiło jedną piątą ceny samochodu Chamforda. Potem złapał taksówkę i kazał się wieźć do lombardu, ale nie do renomowanego, gdzie zadawano by dużo pytań. Polecenie było jasne - to Marsylia. Trzydzieści minut później sprzedał złotego perrégauxa i za osiemset franków nabył seiko. Zegarek był odporny na wstrząsy - praktyczność określa wartość.

Następny przystanek: niewielki dom towarowy w południowej części Cannebière. Z półek i wieszaków wybrał ubranie, zapłacił, dopasował je w przymierzalni i wyrzucił źle leżącą bluzę wraz ze spodniami.

Z wystawy na piętrze kupił miękką, skórzana walizkę i umieścił w niej chlebak oraz trochę zapasowej odzieży. Spojrzał na swój nowy czasomierz; dochodziła piąta. Pora rozejrzeć się za dobrym hotelem. Praktycznie biorąc, nie spał od kilku dni, a musiał odpocząć, nabrać sił przed spotkaniem na rue Sarrasin, w knajpie „Le Bouc de Mer”, gdzie poczyni przygotowania do innego, o wiele ważniejszego spotkania - tego w Zurychu.

Leżał na łóżku i gapił się w sufit, na którego gładkiej powierzchni tańczyły nieregularne refleksy ulicznych latarni. Noc nad Marsylią zapadła nagle, a wraz z ciemnością przyszło nieokreślone poczucie wolności, jak gdyby mrok był ogromnym, grubym pledem tłumiącym ostre światło słońca, które obnażało zbyt wiele i zbyt szybko, i znów dowiadywał się czegoś o sobie: nocą czuł się lepiej niż za dnia; niczym na wpół zagłodzony kot pewniej wychodził na żer w ciemności. Lecz odkrył w tym i sprzeczność, gdyż podczas długich miesięcy w Île de Port Noir łaknął słońca, chłonał je, z utęsknieniem czekał brzasku pragnąc, by dzień trwał wiecznie.

Coś się z nim działo, zmieniał się.

Coś się już wydarzyło. Za sobą miał doświadczenia, które zadawały kłam temu, że lepiej sobie radzi nocą. Nie dalej jak przed dwunastoma godzinami tkwił w łodzi rybackiej na morzu, mając przed oczyma cel podróży i ledwie dwa tysiące franków u pasa. Zgodnie z wywieszoną w hotelowym holu tabelą bieżących kursów dwa tysiące franków to mniej niż pięćset dolarów amerykańskich. Teraz dysponował paroma zestawami niezłych ubrań, leżał na łóżku w przyzwoitym hotelu, a w portfelu od Vuittona, należącym do markiza Chamforda, miał dwadzieścia trzy tysiące franków. Dwadzieścia trzy tysiące franków... To prawie sześć tysięcy dolarów.

Gdzie się narodził, że zdolny jest do takich rzeczy?!

Dość! Dość!

Rue Sarrasin była tak wiekowa, że w innym mieście uchodziłaby pewnie za trakt graniczny. Tymczasem ów szeroki, pokryty klinkierową nawierzchnią zaułek łączący ulice wybudowane stulecia później znajdował się w Marsylii, gdzie starożytność współistnieje ze starością, ale gdzie starożytność pospołu ze starością gryzie się z nowym. Rue Sarrasin miała nie więcej niż dwieście metrów długości - dwieście metrów zastygłych w czasie zatrzymanym między ścianami budynków nabrzeża, nie oświetlonych latarniami, chwytającymi w sidła napływające z portu mgły. Rue Sarrasin to ustronna uliczka sprzyjająca przelotnym spotkaniom tych, którzy swymi konszachtami woleli nie kłuć ludzi w oczy.

„Le Bouc de Mer” była jedynym źródłem światła i dźwięku. Knajpa mieściła się mniej więcej pośrodku alei, w dziewiętnastowiecznym budynku dawnego urzędu. Zburzono w nim wiele gabinetów, żeby ulokować tam duży bar i stoliki; wiele z nich zachowano, by umożliwić bywalcom mniej publiczne spotkania. Był to rodzaj wyzwania, jaki nadbrzeże rzucało zacisznym pokoikom, od jakich roило się w restauracjach przy Cannebière; tyle tylko, że wierni swemu statusowi właściciele z rue Sarrasin nie instalowali w owych przybytkach drzwi, lecz zasłony.

Jean-Pierre manewrował między stolikami, przebijając się przez warstwy tytoniowego dymu, omijając ślaniających się na nogach rybaków, pijanych żołnierzy i dziwki o czerwonych twarzach, które szukały tu łóżka na noc, a przy okazji kilku franków. Niby rozglądając się za kumplami z załogi, raz po raz odchyłał zasłony gabinecików, aż znalazł kapitana łodzi. Obok niego za stołem siedział jeszcze ktoś: chudy mężczyzna o bladej twarzy, z oczami świdrującymi niczym ślepiec łasicy.

- Siadaj - rzucił groźnie szyper. - Myślałem, że będziesz wcześniej.

- Powiedział pan między dziewięcią a jedenastą. Jest za kwadrans jedenasta.

- Kto późno przychodzi, ten stawia.

- Chętnie. Niech pan zamówi coś porządnego, jeśli coś takiego tu mają.

Chudy mężczyzna o bladej twarzy uśmiechnął się. Będzie dobrze.

I było. Sfałszowanie paszportu Washburna okazało się - jakżeby inaczej? - rzeczą najtrudniejszą pod słońcem, ale pietyzm, odpowiedni sprzęt i kunszt załatwią nawet to.

- Ile?

- Umiejętności i sprzęt są w cenie. Dwa i pół tysiąca franków.

- Kiedy go mogę odebrać?
- Kunszt i dokładność wymagają czasu. Za trzy, cztery dni. Najwcześniej, bo i tak mistrz będzie pracował pod wpływem wielkiego stresu. Skrzyczy mnie.
- Dołożę tysiąc franków, jeśli mistrz zdąży do jutra.
- Do dziesiątej rano - odrzekł szybko mężczyzna o bladej twarzy. - Jakoś przełknę jego obelgi.

- I ten tysiączek ekstra, co? - wtrącił się naburmuszony kapitan. - Coś ty wywiózł z Port Noir? Brylanty?

- Talent - powiedział Jean-Pierre i wierzył w to, choć tego nie rozumiał.
- Będzie tylko potrzebne zdjęcie - dodał bladolicy.
- W pasażu zrobiłem to - odpowiedział pacjent Washburna, wyjmując z kieszeni bluzy małą kwadratową fotografię. - Jestem pewien, że pański drogocenny sprzęt jakoś ją wyostrzy.
- Ładne ciuchy - rzucił szyper, oddając zdjęcie fałszerzowi.
- Tak, dobrze skrojone - zgodził się Jean-Pierre.

Uzgodnili miejsce porannego spotkania, zapłacili za whisky, kapitan odebrał ukradkiem pięćset franków - dobito targu. Klient opuścił gabinet i ruszył poprzez zatłoczony, buchający ochryplymi głosami i dymem bar w stronę drzwi.

Stało się to tak nagle, tak szybko, tak zupełnie nieoczekiwanie, że nie było czasu na myślenie. Zdziałał odruchowo.

Zderzyli się gwałtownie i przypadkowo, ale oczy, które w nim utkwily, najwyraźniej wiedziały, na kogo patrzą, bo szeroko rozwarte z niedowierzania, na granicy histerycznego przerażenia, zdawały się wychodzić z orbit.

- Nie! Boże, nie! To niemożliwe! - Mężczyzna odwrócił się i chciał wniknąć w tłum.

Jean-Pierre zrobił krok w przód i chwycił go za ramię.

- Zaczekaj!

Mężczyzna odwrócił się znowu, ujął nadgarstek Jean-Pierre'a między kciuk a wyprostowane palce dłoni i niczym widłami zrzucił rękę z ramienia.

- Przecież ty... Ty nie żyjesz! Jesteś trupem! Nie mogłeś przeżyć!

- Przeżyłem. Mów, co wiesz.

Twarz mężczyzny wykrzywiła maska obłąkanej wściekłości. Zmrużył oczy, otworzył usta wciągając głośno powietrze i odsłaniając żółtawe zęby, które połyskiwały jak zwierzęce kły. Nagle wyciągnął nóż, a szczękę otwieranego sprężyną ostrza nie zagłuszył nawet barowy zgiełk. Uzbrojona dłoń wystrzeliła do przodu; klinga niczym przedłużone ramię atakującego mierzyła w brzuch Jean-Pierre'a.

- Wykończę cię! - syknął nieznajomy.

Przedramię Jean-Pierre'a pomknęło ruchem wahadłowym w dół, odrzucając z drogi nóż. Obrócił się unosząc lewą nogę i obcasem buta trafił tamtego w biodro.

- *Cze-sah!* - mimowolny okrzyk go ogłuszył.

Mężczyzna runął do tyłu na trójkę pijących rybaków; nóż brzęknął o podłogę. Ludzie zauważyli broń, zbiegli się gapie, pięści i ręce rozdzieliły walczących.

- Won stąd!

- Klócić się to nie tutaj!

- Nie chcemy tu glin, zalane sukinsyny!

Rozjuszona, ordynarna gwara marsylczyków niosła się ponad kakofonią dźwięków wypełniających „Le Bouc de Mer”. Bywalcy otoczyli Jean-Pierre'a, a on patrzył, jak jego niedoszły zabójca przebija się przez tłum w stronę wyjścia, trzymając ręce w pachwinie. Masywne drzwi otworzyły się na oścież i nieznany mężczyzna zniknął w ciemnościach na rue Sarrasin.

Ktoś, kto sądził, że pacjent doktora Washburna nie żyje, ktoś, kto pragnął jego śmierci, wiedział już, że Jean-Pierre ocalał.

Klasa turystyczna Caravelli Francuskich Linii Lotniczych lecącej do Zurychu wypełniona była do granic możliwości; na wąskich fotelach siedziało się tym mniej wygodnie, im mocniej dawały o sobie znać turbulencje powietrza rzucającego samolotem. Jakieś niemowlę wrzeszczało w ramionach matki, inne dzieci szlochały, tłumiąc w sobie okrzyki strachu; rodzice uśmiechali się uspokajająco, sztucznymi uśmiechami dodając sobie pewności, której nie czuli. Inni pasażerowie siedzieli cicho, niektórzy pili whisky, opróżniając jednakże szklaneczki szybciej niż zazwyczaj. Kilku z nich siliło się na śmiech z trudem dobywający się z zaciśniętych gardel. Obludni pozoranci - miast kamuflować, śmiech podkreślał tylko ich strach. Każdy przeżywał ciężki lot na swój sposób, lecz nikt nie zdołał uciec przed strachem. Człowiek zamknięty w stalowym cygarze trzydzieści tysięcy stóp nad ziemią ulegał mu łatwo, bo maszyna zaraz, za chwilę, mogła runąć w dół, pikując w przepaść z agonialnym rykiem silników. Narastaniu strachu towarzyszyły nieodłączne pytania: Jakie myśli cisną się wówczas do głowy? Jak się wtedy człowiek zachowuje?

Pacjent doktora Washburna chciał znaleźć na nie odpowiedź; czuł, że to ważne. Siedział przy oknie ze wzrokiem utkwionym w skrzydło samolotu i obserwował, jak powierzchnia olbrzymiej metalowej płaszczyzny drga, gnie się i wibruje pod wpływem brutalnych uderzeń wiatru. Strumienie powietrza zderzały się ze sobą, zmuszając stalowy produkt cywilizacji do uległości, ostrzegając mikrych śmiałków przed kaprysmi przyrody, wobec których nie znaczyli nic. Odrobina ciśnienia ponad wytrzymałość tworzywa i skrzydło pęknie niczym kończyzna oderwana żywcem od opływowego korpusu, odrzucona i rozszarpana wichurą. Nadwątlony nit - maszyna eksploduje i poszybkuje bezwładnie w nicość.

Co by wówczas zrobił? O czym by myślał? Czy oprócz nieujarzmionego strachu przed śmiercią i pustką czułby coś jeszcze? Na tym winien się teraz skoncentrować, właśnie to wielokrotnie podkreślał Washburn w Port Noir. Przypomniały mu się słowa doktora.

Jeśli kiedykolwiek będziesz miał okazję przyjrzeć się sytuacji wywołującej stres - i oczywiście starczy ci czasu - postaraj się za wszelką cenę wyobrazić sobie w niej siebie. Daj się ponieść skojarzeniom, niech twój umysł wypełnią słowa i obrazy. W nich szukaj klucza.

Jean-Pierre spoglądał więc w okno, świadomie pragnąc ujawnić choćby cząstkę nieświadomości; wbił oczy w szaleństwo natury za szybą, analizował je i „starał się za wszelką cenę” usłyszeć słowa, ujrzeć obrazy.

Krystalizowały się, niespiesznie. Ciemność. Ryk wiatru - ciągle narastający, rozdzierający uszy aż do bólu. Głowa... Wichura chłostała lewą część twarzy, paliła skórę, zmusiła go do tego, by osłonił się ramieniem. Ramię... Lewe ramię. Lewa ręka była uniesiona, dłoń w rękawiczce zaciśnięta na równej metalowej krawędzi, a prawa na... taśmowym uchwycie. Trzymał za taśmowy uchwyt i na coś czekał. Na sygnał, na... migotanie światła, klepięcie w plecy, może na oba sygnały jednocześnie. Sygnał. Nadszedł. Runął w dół. W mrok. W otchłań. Jego ciało porwane wiatrem, ciśnięte w czarne niebo, koziołkowało i obracało się. Skoczył. Skoczył ze... spadochronem!

- Etes-vous malade?

Obląkany majak prysnął. Zdenerwowany pasażer siedzący obok dotknął jego lewego ramienia; ręka Jean-Pierre'a była uniesiona, palce dłoni rozczapierzone i zeszywniałe, jak gdyby stawiały czemuś opór. Prawa ręka wciśnięta głęboko w marynarkę biegła w poprzek piersi, a dłoń ścisnęła kłapę, gniotąc materiał; z czoła ściekały mu strumyczki potu. A jednak! Udało się. Trwało ledwie jeden chory moment, ale nadeszło, przyszło.

- Pardon - powiedział, opuszczając ręce. *- Un rêve -* dodał, by coś rzec.

Pogoda odmieniła się i maszyna wyrównała lot. Uśmiechy na znękanych twarzach stewardes stały się na powrót szczerze. Zaczęto znów obsługiwać pasażerów, a ci spoglądali,

po sobie z lekkim zażenowaniem.

Pacjent doktora Washburna obserwował otoczenie, lecz widział niewiele. Był pochłonięty obrazami, które przed chwilą ujrzał oczyma duszy, dźwiękami, które słyszał z tak namacalną wyrazistością. Więc wyskoczył z samolotu... Nocą. Te sygnały - metalowa krawędź, taśmowy uchwyt - były niezmiernie istotne. Skakał ze spadochronem! Gdzie?! Po co?!

Przestań się zadrećzać!

Żeby odegnąć rozbuchane szaleństwo myśli, sięgnął do kieszeni na piersi, wy dostał sfalszowany paszport i otworzył go. Jak się spodziewał, nazwisko „Washburn” pozostało nie zmienione; było nader pospolite i - jak zapewniał jego prawowity właściciel - nie trefne. Ale imię doktora, „Geoffrey R.”, uległo zmianie na „George P.”, a interlinie, odstępniki i opustki wykonano po mistrzowsku. Po mistrzowsku również podretuszowano fotografię i w niczym już nie przypominała tamtego zdjęcia z automatu, jakie zrobił w pasażu pod arkadami.

Oczywiście numery identyfikacyjne sfalszowano, a nowe dawały gwarancję, że nie wzbudzą czujności komputera podczas odprawy paszportowej, przynajmniej do chwili, gdy właściciel dokumentu okaże go urzędnikowi po raz pierwszy - później klient brał na siebie całą odpowiedzialność. Płaciło się więc i za kunszt wykonania, i za sprzęt, i za gwarancję, gdyż owa gwarancja wymagała rozlicznych koneksji w Interpolu i w urzędach imigracyjnych. Ludzie pracujący przy odprawie celnej, eksperci od komputerów, fachowcy zatrudnieni w całej europejskiej sieci granicznej - wszyscy dostawali regulaminowy haracz w zamian za bezcenne informacje i rzadko popełniali błędy. Kiedy - o ile w ogóle - je popełniali, ryzykowali utratę oka lub ręki, bo tacy już byli handlarze fałszywymi dokumentami.

„George P. Washburn”. Nie odpowiadało mu to nazwisko; człowiek, który nosił je w nie zmienionej formie, zbyt solidnie wprowadził go w psychologiczne podstawy techniki wolnych skojarzeń. „George P.” wygląda prawie jak „Geoffrey R.”, a Geoffrey R. to nieszczęśnik, ofiara nałogu wynikającego z konieczności ucieczki - ucieczki od własnego „ja”, od własnej tożsamości. Ucieczka była ostatnią rzeczą, jakiej Jean-Pierre chciał; życie jako takie miało dla niego mniejsze znaczenie niż odpowiedź na pytanie: kim był?

Czy aby na pewno?

Wszystko jedno. Klucz do zagadki spoczywał w Zurychu. W Zurychu...

- Mesdames et messieurs. Nous commençons notre descente vers l'aéroport de Zurich.

Znał nazwę hotelu: „Carillon du Lac”. Podał ją kierowcy taksówki bez chwili namysłu. Wyczytał ją gdzieś? Może w jednym z folderów reklamujących Zurych, które znalazł w pojemnych kieszeniach pasażerskiego fotela?

Nie, bo znał skądś wewnątrz hotelowego foyer, bo ponure, ciemne, wypolerowane drewno boazerii nie było mu obce. I te ogromne tafle okien wychodzących na jezioro! Musiał tu kiedyś być, musiał kiedyś tu stać, tu, w miejscu, gdzie stał teraz - przed wykładaną marmurem ladą recepcji. Był tu kiedyś! Dawno!

Słowa recepcjonisty rozwiały wszelkie wątpliwości i spadły na Jean-Pierre'a jak grom.

- Miło znów pana widzieć, sir. Od pańskiej ostatniej wizyty minęło sporo czasu.

Minęło?! Sporo czasu?! Ile czasu?! Chryste, dlaczego nie zwraca się do mnie po nazwisku?! Nie znam cię! Sam siebie nie znam! Pomóż mi! Proszę, pomóż mi!

- No cóż... chyba tak - odrzekł. - Zechce pan coś dla mnie zrobić? Wywichnąłem rękę i trudno mi pisać. Proszę wypełnić za mnie kartę meldunkową; spróbuję ją jakimś cudem podpisać, dobrze? - Jean-Pierre wstrzymał oddech. Co będzie, jeśli ugrzeczniony recepcjonista za kontuarem poprosi go o powtórzenie nazwiska? Albo choćby o jego przeliterowanie?

- Oczywiście, proszę pana. - Recepcjonista obrócił kartę i zaczął pisać. - Czy zechce

pan udać się do naszego lekarza?

- Może później, nie teraz.

Wciąż pisał. W końcu przestał, znów obrócił kartę i ułożył do podpisu.

Pan J. Bourne. Nowy Jork, USA.

Pacjent doktora Washburna wbił w nią oczy. Gapił się, osłupiały, zahipnotyzowany literkami. Zdobył wreszcie własne nazwisko - część nazwiska, mówiąc dokładniej. Zdobył też nazwę kraju i miasta, w którym mieszkał.

J. Bourne. *Jon? James? Joseph?* Jakie imię kryje się za literą „J”?! Czy tamten zechce, żeby podpisał się także imieniem? Nie. Podpisze się dokładnie tak, jak stało w karcie.

J. Bourne.

Starał się pisać nazwisko w sposób tak niewymuszony i naturalny, na jaki tylko było go stać. Dał umysłowi *carte blanche* i czekał, aż myśli i obrazy uwolnione sytuacją dotrą do jaźni. Do jaźni nie dotarło nic, ot, tyle tylko, że podpisywał się obcym nazwiskiem; nie odczuł żadnej sensacji.

- Zaniepokoiłem się, *mein Herr* - powiedział recepcjonista. - Już sądziłem, że może popełniłem gdzieś błąd. Mam za sobą bardzo pracowity tydzień, jeszcze bardziej pracowity dzień. Ale z drugiej strony, byłem pewien, że błędu nie zrobiłem.

A gdyby tak zrobił? Gdyby tak popełnił jakiś błąd? Pan J. Bourne z Nowego Jorku, USA, nie chciał nawet o tym myśleć.

- Zawsze wierzyłem w pańską pamięć, *Herr...* Stossel - odrzekł Bourne, rzuciwszy okiem na tabliczkę z nazwiskiem dyżurującego recepcjonisty wywieszoną na ścianie z lewej strony kontuaru; Stossel był zastępcą dyrektora hotelu „*Carillon du Lac*”.

- Bardzo pan uprzejmy, *Herr Bourne*. - Stossel skłonił się za ladą. - Oczywiście, wszelkie pana życzenia zostaną spełnione tak jak zwykle. Pamiętam je doskonale.

- Cieszę się. Z tym, że być może zmienię nieco obyczaje. Czegóż to ja od was ostatnio chciałem?

- Życzył pan sobie, żeby każdemu, kto do pana telefonuje lub kto o pana pyta w recepcji, mówić, że jest pan aktualnie nieobecny, po czym natychmiast o takim fakcie pana zawiadomić. Jedynym wyjątkiem jest pana firma z Nowego Jorku, Korporacja Treadstone-71 jeśli mnie pamięć nie myli...

Jeszcze jedna nazwa! Firma, którą może zlokalizować jednym telefonem międzynarodowym. Mglista łamigłówka zaczynała przybierać coraz konkretniejsze kształty. Wracało odżywienie.

- Tak, niech tak zostanie. *Herr Stossel*. Odpowiednio docenię pańskie kompetencje.

- Jesteśmy w Zurychu, *sir* - odparł skromnie i grzecznie, wzruszywszy lekko ramionami. - Był pan zawsze nadzwyczaj hojny, *Herr Bourne...* *Vorwärts! Schnell!*

Kiedy wchodził do windy za boyem hotelowym, czuł, że wyjaśniło się kilka spraw. Znał swoje nazwisko i rozumiał, dlaczego zastępca dyrektora „*Carillon du Lac*” tak szybko je sobie przypomniał. Wiedział, z jakiego kraju tu przyjeżdżał, z jakiego miasta, poznał też nazwę firmy, która go zatrudnia - w każdym razie firmy, która go kiedyś zatrudniała, i za każdym razem, kiedy odwiedzał Zurych, podejmował pewne środki ostrożności; miały go chronić przed niepożądanymi lub niespodziewanymi gośćmi. Tego właśnie nie umiał rozgryźć, bo albo organizuje się zabezpieczenie dokładne i szczelne, albo nie organizuje się go wcale. Gdzie szukać plusów ochrony tak dziurawej, tak łatwej do ominięcia? Uznał ją za amatorską, bezwartościową, za dziecięcą zabawę w chowanego: *Gdzie jestem? No? Spróbuj mnie znaleźć. Krzyknę i naprowadzę cię na moją kryjówkę, dobrze?*

Amatorszczyzna, a jeśli w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin w ogóle się czegoś o sobie dowiedział, to tego, że jest zawodowcem. Jaki miał fach, nie miał pojęcia, lecz bez wątpienia był profesjonalistą.

Głos panienki z nowojorskiej informacji zanikał chwilami na linii, ale to, co mówiła, docierało do niego z irytującą wyrazistością i nieodwołalnością wyroku.

- Takiej firmy nie ma w spisach, proszę pana. Sprawdziłam najnowsze wykazy, nawet numery prywatne, i nie figuruje tam żadna korporacja „Treadstone”. Nie ma tam nawet nazwy podobnej do „Treadstone-71”.

- Może „71” zostało opuszczone, żeby...

- Nie, proszę pana, firma o takiej nazwie nie istnieje. Powtarzam, jeśli dysponuje pan nazwą pełniejszą, jeśli poda mi pan rodzaj działalności, jaką firma prowadzi, być może będę w stanie pomóc.

- Niestety, znam tylko tę nazwę, którą pani podałam: „Treadstone-71”. Nowy Jork.

- Dziwna nazwa, proszę pana. Jestem pewna, że gdyby była na naszych listach, nie miałabym absolutnie żadnych trudności, by ją odnaleźć. Bardzo mi przykro.

- Dziękuję i przepraszam za kłopot - powiedział J. Bourne, odkładając słuchawkę.

Nie widział sensu w przedłużaniu rozmowy. Nazwa firmy stanowiła jakiś kod, szyfr, klucz, który otwierał interesantowi drzwi do trudno dostępnego pana Bourne'a. Słowa „Treadstone-71” mogły być wypowiedziane przez każdego, niezależnie od miejsca, skąd telefonował. Dlatego najprawdopodobniej siedziba firmy była fikcyjna; zapewnienia panienki z nowojorskiej informacji oddalonej o wiele tysięcy kilometrów od Zurychu tylko potwierdzały jego spekulacje.

Pacjent doktora Washburna stanął przy sekretarzyku, gdzie leżał portfel od Louisa Vuittona i japoński zegarek. Portfel wsunął do kieszeni, zegarek nałożył na rękę. Spojrzał w lustro i cicho powiedział:

- Nazywasz się J. Bourne. Jesteś obywatelem Stanów Zjednoczonych, mieszkasz w Nowym Jorku. Całkiem możliwe, że liczby: zero-siedem-siedemnaście-dwanaście-zero-czternaście-dwadzieścia sześć-zero są twoim być albo nie być.

Słońce świeciło jasno. Promienie sączyły się przez korony drzew na wytwornej Bahnhofstrasse, odbijały się od okien sklepów, rysując na ziemi wielkie, cieniste prostokąty tam, gdzie na swej drodze napotykały gmachy masywnych banków. Bahnhofstrasse to ulica, na której współżyły z sobą rzetelność i pieniądze, bezpieczeństwo i wyniosłość, zdecydowanie i odrobina frywolności. A J. Bourne, pacjent doktora Washburna, znał tę ulicę, znał jej domy, chadzał kiedyś tym samym chodnikiem.

Wszedł na Bürkliplatz, na skwer nad jeziorem. Dużo tam pomostów ciągnących się wzdłuż nabrzeża, wiele graniczących z nimi kolistych ogrodów, które w upale lata wybuchają girlandami kwiatów. Miał je przed oczyma wyobraźni, teraz zjawily się, lecz obrazom nie towarzyszyły ani wspomnienia, ani konkretne myśli.

Zawrócił do Bahnhofstrasse. Instynkt mówił mu, że Gemeinschaft Bank mieści się w pobliskim budynku wyłożonym kamiennymi płytami zszarzałej bieli. Budynek stał po drugiej stronie ulicy i uprzednio Bourne celowo go ominął. Teraz zbliżył się do szeregu ciężkich, przeszlonych drzwi i pchnął środkowe. Otworzyły się bezgłośnie i wkroczył na posadzkę z brązowego marmuru. Tu także kiedyś był, choć tego wrażenia nie odbierał tak silnie jak innych. Ogarnęło go niejasne przeczucie, że banku Gemeinschaft należy raczej unikać.

Teraz było już na to za późno.

- *Puis-je vous aider, monsieur?* - Mężczyzna zadający pytanie miał czerwoną *boutonniere*, symbol władzy portiera: użył francuszczyzny, spojrzawszy na ubranie klienta. - Nawet podrzędny gnom zuryski umie być uważnym obserwatorem.

- Przychodzę w sprawie osobistej i poufnej - odpowiedział Bourne po angielsku i znów zaskoczyły go własne słowa wypowiedziane tak łatwo i naturalnie. Odezwwał się po angielsku z dwóch powodów: chciał sprawdzić, jak zareaguje spostrzegawczy gnom stwierdziwszy błąd w sztuce obserwacji, a poza tym w ciągu najbliższej godziny pragnął

uniknąć wszelkich nieporozumień językowych.

- Przepraszam pana, sir - rzekł portier i uniósł leciutko brwi, przyglądając się płaszczowi klienta. - Winda na lewo, drugie piętro. Nasz urzędnik będzie panu służył pomocą.

Wspomniany urzędnik okazał się człowiekiem w średnim wieku, z krótko przyciętymi włosami; na nosie miał rogowe okulary. Z nieruchomą twarzą, z oczyma bijącymi ciekawością, spytał:

- Czy prowadził pan już w naszym banku sprawy osobiste i poufne, sir?

- Tak.

- Pański podpis, proszę. - Urzędnik podał Bourne'owi firmowy blankiet z dwoma czarnymi liniami zbiegającymi się na środku kartki.

Bourne zrozumiał: nie chodziło o nazwisko. *Firmowy nadruk na górze - nazwa i adres - to bank. Liczby napisane słownie to nazwisko, ale traktowane będzie jak nazwisko dopiero wówczas, gdy zostaną napisane przez właściciela rachunku. Rutynowe postępowanie. Washburn.*

Bourne napisał liczby, rozluźniwszy dłoń tak, aby pisać swobodnie. Wręczył blankiet urzędnikowi, który spojrzał nań uważnie, wstał z krzesła i gestem ręki wskazał rząd wąskich drzwi z matowymi okienkami.

- Zechce pan poczekać w pokoju numer cztery, sir. Za chwilę ktoś pana obsłuży.

- W pokoju numer cztery?

- Czwarte drzwi po lewej stronie. Zamkną się automatycznie.

- Czy to konieczne?

Urzędnik spojrzał na niego z zaskoczeniem w oczach.

- Czy konieczne? Postępujemy zgodnie z pana własnym życzeniem, sir - powiedział grzecznie, choć pod warstewką uprzejmości kryły się nutki zdziwienia. - Jest pan właścicielem konta z trzyzerowym szyfrem. W Gemeinschaft panuje obyczaj, że właściciele takich kont uprzedzają nas o wizycie telefonicznie, tak abyśmy mogli udostępnić im na czas osobne wejście.

- Tak, wiem o tym - skłamał Bourne z obojętnością, której nie czuł. - Ale bardzo się śpieszyłem.

- Przekażę to Weryfikacji, proszę pana.

- Weryfikacji?! - Pan J. Bourne z Nowego Jorku nie potrafił się powstrzymać; w ustach urzędnika słowo „weryfikacja” zabrzmiało jak ostrzeżenie.

- Oddziałowi Weryfikacji Podpisów, sir. - Krótko ostrzyżony mężczyzna poprawił okulary; zrobił jednocześnie krok w stronę biurka, zawiesił dłoń tuż nad rzędem przełączników na blacie, a ruch ręki miał to zakamuflować. - Proponuję, by zaczekał pan w pokoju numer cztery.

Teraz propozycja nie była już propozycją, bardziej rozkazem rzuconym przez czujnego pretoriana.

- Czemu nie? Proszę im tylko powiedzieć, żeby się pośpieszyli, dobrze?

Bourne podszedł do czwartych drzwi, otworzył je i wszedł do środka. Drzwi zamknęły się za nim z charakterystycznym szcęknięciem zamka. Spojrzał na matową szybę. Szkło nie było zwykłym szkłem. Tuż pod powierzchnią dostrzegł misterną sieć cieniutkich drucików i wiedział, że gdyby pękło, bez wątpienia włączyłby się system alarmowy - znalazł się w pułapce bez wyjścia. Czekał, aż go wezwą.

Niewielki pokój urządzono ze smakiem: boazeria na ścianach, dwa skórzane fotele jeden obok drugiego, naprzeciwko mała sofa i kilka antycznych stoliczków. Dalej ujrzał inne drzwi, jakże różne od tych, którymi wchodził - lśniły szarym odcieniem stali. Na stoliczkach zobaczył świeże czasopisma i gazety w trzech wersjach językowych. Usiadł i wziął do ręki paryskie wydanie „Herald-Tribune”. Czytał drobny druk, lecz nie rozumiał, co czyta. Zaraz go poproszą, zaraz, za chwilę - jego rozgorączkowany umysł opracowywał strategię

postępowania. Strategię nie podpartą żadnymi wspomnieniami z przeszłości, strategię wspomaganą instynktem.

W końcu stalowe drzwi rozwarły się i w progu stanął wysoki, szczupły mężczyzna o orlim nosie. Miał szare, nadzwyczaj starannie uczesane włosy i patrycjuszowską twarz człowieka chętnie służącego radą innemu patrycjuszowi, który znalazł się w kłopotcie. Wyciągnął rękę. Używał wytwornej angielszczyzny, nieco przesłodzonej intonacją rodowitego Szwajcara.

- Jakże miło mi pana widzieć. Proszę wybaczyć zwłokę, jednakże sytuacja była nader komiczna, doprawdy...

- Ach tak...

- Zdaje się, że wystraszył pan naszego urzędnika, pana Koeniga. Niezbyt często właściciel konta z trzyzerowym szyfrem składa nam wizyty bez uprzedzenia, a to wytrąciło go z równowagi. Rozumie pan, wieloletnia rutyna: każde odstępstwo od utartego zwyczaju psuje mu dzień. Lecz z drugiej strony każde odstępstwo od rutyny czyni mój dzień bardziej przyjemnym. Nazywam się Walther Apfel. Proszę, pan będzie łaskaw.

Urzędnik zwolnił uścisk dłoni i wskazał Bourne'owi stalowe drzwi. Pomieszczenie, do którego weszli, miało kształt litery „V” i stanowiło przedłużenie pokoju-pułapki, gdzie Bourne czekał na wezwanie. Znowu ciemna boazeria, ciężkie, wygodne meble i szerokie biurko ustawione przy jeszcze szerszym oknie wychodzącym na Bahnhofstrasse.

- Przykro mi, że go zdenerwowałem - odezwał się Bourne. - Wszystko przez brak czasu.

- Tak, wspominał o tym. - Apfel obszedł biurko dookoła i ruchem głowy wskazał skórzany fotel. - Proszę, zechce pan spocząć. Jedna, dwie formalności i natychmiast przystępujemy do interesów. - Usiedli i w tej samej chwili Apfel wziął z blatu białą kartkę na sztywnej podkładce. Wychylił się zza biurka i wręczył ją klientowi, i tym razem firmowy papier był poliniowany, lecz zamiast dwóch linii Bourne ujrzał linii dziesięć. Zaczynały się tuż pod nagłówkiem z nazwą banku, kończyły tuż nad dolną krawędzią kartki. - Pański podpis, proszę. Wystarczy, jeśli zechce pan podpisać się pięć razy.

- Nie bardzo rozumiem. Przed chwilą złożyłem już podpis.

- Tak, podpis jak najbardziej zadowolający, oczywiście, sir. Oddział Weryfikacji to potwierdził.

- Po cóż więc mam podpisywać się znowu?

- Podpis można wyćwiczyć do takiej perfekcji, że każda literka będzie do przyjęcia. Jednakże jego kilkakrotne powtórzenie uwidoczni odchylenia od normy, a czytnik grafologiczny natychmiast je wychwyci. Rzecz jasna, jeśli podpis nie jest autentyczny. Ale proszę się tym nie niepokoić. - Apfel uśmiechnął się i położył pióro na krawędzi biurka. - Szczerze mówiąc, jestem pewien, że to nie wchodzi w grę, lecz Herr Koenig nalega.

- Ostrożny z niego człowiek - rzekł Bourne.

Ujął pióro i zaczął pisać. Kończył właśnie czwarty podpis, kiedy bankier powiedział:

- To wystarczy. Reszta będzie tylko stratą czasu. - Wyciągnął rękę po podkładkę. - Oddział Weryfikacji stwierdził, że pański podpis mieści się absolutnie w granicach normy. Po otrzymaniu tego dokumentu prześlą tu pańskie dossier. - Wsunął kartkę w otwór metalowej kasetki po prawej stronie biurka i nacisnął guzik. Z kasetki błysnął promień ostrego światła. Błysnął i zgasł. - To urządzenie wysyła podpisy bezpośrednio do czytnika - mówił dalej Apfel. - Czytnik jest, oczywiście, odpowiednio zaprogramowany. Ale uważam, że w sumie to troszkę niemądre. Przecież nikt wiedzący o środkach ostrożności, jakie podejmujemy, nie zgodziłby się na składanie dodatkowych podpisów. To znaczy w przypadku, gdyby ktoś podszywał się pod autentycznego właściciela konta.

- Dlaczego nie? Skoro zaszedł już tak daleko, dlaczego miałby nie zaryzykować?

- W gabinecie znajdują się tylko jedne drzwi: jedno wejście, jedno wyjście. Musiał

pan słyszeć trzask zamka w poczekalni.

- Tak, widziałem też drucianą siateczkę w szybie - odparł Bourne.

- Zatem już pan wszystko rozumie. Wystarczy stwierdzić, że mamy do czynienia z oszustem i oszust tkwi w pułapce.

- A gdyby miał broń?

- Pan jej nie ma.

- Nikt mnie nie obszukiwał.

- Winda pana obszukała. Dokładnie, z czterech stron. Gdyby był pan uzbrojony, dźwig stanąłby między pierwszym a drugim piętrem.

- Wszyscy tu jesteście ostrożni.

- Staramy się, proszę pana. - Zadzwoił telefon. Apfel podniósł słuchawkę. - Tak? Proszę wejść. - Zerknął na Bourne'a. - Są pańskie dokumenty.

- Szybko.

- Herr Koenig przygotował je znacznie wcześniej; czekał tylko na potwierdzenie danych z czytnika. - Apfel otworzył szufladę i wyjął pęk kluczy. - Jestem pewien, że Koenig jest rozczarowany. Był przekonany, że coś tu nie gra.

Stalowe drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczył Herr Koenig z czarnym metalowym pojemnikiem w ręku. Umieścił go na biurku obok tacy, na której stała butelka perrier i dwie szklanki.

- Czy zadowolony pan z pobytu w Zurychu? - zapytał Apfel, by przerwać ciszę.

- O tak. Mam pokój z widokiem na jezioro. To ładny widok. Bardzo spokojny, odprężający.

- Wspaniale - powiedział bankier, napełniając wodą szklankę Bourne'a. Koenig wyszedł. Drzwi zamknęły się i Apfel wrócił do spraw ważnych. - Oto pańskie dokumenty, sir - mówił, dobierając odpowiedni klucz. - Czy mam otworzyć zamek, czy życzy pan sobie zrobić to osobiście?

- Tak, proszę, niech pan otworzy wieko. Bankier zerknął na Bourne'a znad pęku kluczy.

- Powiedziałem „zamek”, nie „wieko”, sir. Nie jestem do tego upoważniony, nie chciałbym również ponosić aż takiej odpowiedzialności.

- Dlaczego?

- Moje stanowisko nie upoważnia mnie do tego, bym znał pańskie personalia. A poznam je, jeśli znajdują się w kasecie.

- A gdybym zechciał dokonać jakichś operacji? Na przykład zrobić przelew, wysłać komuś pieniądze?

- Można to uczynić za pomocą podpisu numerycznego na formularzu pobrania.

- A jeśli zechcę przesłać pieniądze na moje nazwisko do innego banku, poza granice Szwajcarii?

- Wówczas, obawiam się, nazwisko będzie niezbędne. W tym wypadku będę miał zaszczyt poznać pana tożsamość i poniosę wszelką odpowiedzialność z tym związaną.

- Dobrze. Proszę otworzyć kasetę.

Apfel przekręcił klucz i uniósł wieko.

Pacjent doktora Washburna wstrzymał oddech, czując w głębi brzucha coraz ostrzejszy ból. Bankier wyjął plik dokumentów spiętych dużą klamrą do papieru i jego oczy powędrowały ku informacjom zapisanym po prawej stronie wierzchniej kartki. Nie zmienił wyrazu twarzy, jednak dolna warga drgnęła mu lekko, wyciągnęła się marszcząc kąciaki ust. Wychylił się zza biurka i podał papiery Bourne'owi.

Pod firmowym nagłówkiem z nazwą banku widniały słowa wypisane na maszynie po angielsku, który musiał być językiem ojczystym klienta.

Konto: zero-siedem-siedemnaście-dwanaście-zero-czternaście-dwadzieścia sześć-zero
Nazwisko: Zastrzeżone przez właściciela. Używać tylko w procedurach prawnych.
Upoważnienia: Zapieczętowane w oddzielnej kopercie.
Bieżący stan depozytów: 11.850.000 franków.

Gapiąc się na kartkę, Bourne wolno wypuścił powietrze. Zdawało mu się, że był przygotowany na wszystko, jednak to, co ujrzał, przeraziło go bardziej niż wszystkie inne doświadczenia z ostatnich pięciu miesięcy. Licząc w przybliżeniu, wysokość konta przekraczała cztery miliony dolarów USA.

Cztery miliony dolarów!
Skąd?! Jakim sposobem?!

Starając się zapanować nad drżeniem rąk, przejrzał wyciągi z przelewów. Było ich bardzo dużo. Opiewały na zawrotne sumy - najmniejsza wynosiła trzysta tysięcy franków. Wpływały średnio co pięć, osiem tygodni i wpływać zaczęły dwadzieścia trzy miesiące temu. Spojrzał na wyciąg znajdujący się na samym spodzie kupki. Pierwsza i zarazem najwyższa wpłata - przelew z banku w Singapurze: dwa miliony siedemset tysięcy dolarów malezyjskich zamienionych na pięć milionów sto siedemdziesiąt pięć tysięcy franków szwajcarskich.

Pod ostatnim z wyciągów wyczuł kształt koperty o wiele mniejszej niż wierzchnia kartka. Uniósł papier. Brzegi koperty obramowane były czarną obwódką, pośrodku widniały słowa napisane na maszynie:

Dane personalne: Upoważnieni do wglądu - Właściciel.
Ograniczenia prawne: Upoważnieni do wglądu - Odpowiedzialny urzędnik;
Treadstone-71 Korporacja; Okaziciel z pisemnym upoważnieniem od Właściciela.
Wymagana weryfikacja podpisów.

- Chciałbym to sprawdzić - powiedział Bourne.
- Oczywiście, to pana własność - odparł Apfel. - Mogę jedynie zapewnić, że zawartość jest nietknięta.

Pacjent doktora Washburna ujął kopertę i odwrócił ją. Z tyłu, u zbiegu zakładek, widniał odcisk pieczęci banku Gemeinschaft; żadna z wypukłych łukowych literek nie została naruszona. Rozdarł papier, wyjął kartonik i odczytał go.

Właściciel: Jason Charles Bourne.
Adres: Nie figuruje w wykazach.
Obywatelstwo: USA.

Jason Charles Bourne.

Jason.

Litera „J” to Jason! Nazywał się Jason Bourne. Słowo „Bourne” nie mówiło mu nic, „Jason” również, lecz kombinacja „Jason” i „Bourne” tak - klucz pasował do zamka. Takie nazwisko mógł zaakceptować, już je akceptował. Był Amerykaninem o nazwisku Jason Charles Bourne. A jednak... Jednak serce waliło mu w piersi jak opętane, w uszach słyszał narastający szum, ból promieniujący z głębi brzucha stawał się coraz ostrzejszy. *Co się dzieje?! Skąd uczucie, że oto znów rzuca się w mroczną otchłań, w czarne odmęty?!*

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Walther Apfel.

Czy wszystko w porządku, Herr Bourne?

- Tak, jak najbardziej. Nazywam się Bourne. Jason Bourne.

Krzyczał? Mówił szeptem? Nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Czuję się zaszczycony, panie Bourne. Pańska tożsamość nigdy nie zostanie ujawniona. Ma pan na to słowo urzędnika banku Gemeinschaft.

- Dziękuję. A teraz będę chyba musiał dokonać transferu większych kwot i poproszę

pana o pomoc.

- Z największą przyjemnością, sir. Wyróżnieniem dla mnie jest służyć panu wszelką radą i pomocą. Uczynię to z radością.

Bourne sięgnął po szklanę z wodą mineralną.

Stalowe drzwi gabinetu Walthera Apfla zamknęły się za nim. Za kilka sekund opuści urządzone z gustem przedpokój, minie pokój Koeniga i wsiądzie do windy. Za kilka minut znajdzie się na Bahnhofstrasse. Ogarnięty strachem, w chaosie myśli, będzie nią szedł wiedząc, jak się nazywa, dysponując wielką sumą pieniędzy.

Udało się. Za życie, które uratował, doktor Geoffrey Washburn otrzyma zapłatę o wiele większą niż wartość tego życia. Do banku w Marsylii wysłano telegraficznie przekaz na sumę trzech milionów franków szwajcarskich. Pieniądze zdeponowano na zaszyfowanym rachunku, tak żeby jedyny lekarz na Île de Port Noir mógł je odebrać bez konieczności ujawniania własnego nazwiska. Washburn musiał tylko udać się do Marsylii, wyrecytować ów szyfr i wziąć pieniądze. Bourne uśmiechnął się, wyobrażając sobie minę doktora, kiedy ten zerknie na wysokość konta. Ekscentryczny nałogowiec zadowoliliby się dziesięcioma, piętnastoma tysiącami funtów - a tu dostał ponad milion dolarów. Teraz albo rzuci picie, albo pograży się ostatecznie. Miał wybór. Jego. Własny.

Kolejna suma - cztery miliony franków - została przekazana na konto w paryskim banku przy rue Madeleine i zdeponowana na nazwisko Jasona C. Bourne'a. Pieniądze oraz karty z wzorami podpisów w trzech egzemplarzach wyekspediowano specjalnym kurierem obsługującym trasę Zurych-Paryż dwa razy w tygodniu. Herr Koenig zapewnił klienta, tudzież samego Herr Apfla, że dokumenty będą w Paryżu za trzy dni.

Ostatnia transakcja była już drobnostką - do gabinetu Walthera Apfla dostarczono sto tysięcy franków w banknotach o dużych nominałach, a Bourne parafował zlecenie wypłaty podpisem numerycznym.

W banku Gemeinschaft zostało jeszcze ponad trzy miliony franków szwajcarskich - cokolwiek by mówić, suma niebagatelna.

Jakim sposobem?! Dlaczego?! Skąd?!

Załatwienie całej sprawy trwało godzinę i dwadzieścia minut i tylko jeden dysonans zakłócił jej gładki przebieg. Jego sprawcą okazał się Herr Koenig. Zatelefonował i gdy Apfel wpuścił go do gabinetu, Herr Koenig podał zwierzchnikowi jakąś kopertę w czarnej obwódce.

- *Une fiche* - odezwał się po francusku, przybierając maskę uroczystej powagi wymieszanej z dozą skromnego triumfu.

Bankier otworzył dokument, wyjął karteczkę, przeczytał i oddał ją Koenigowi.

- Postąpić zgodnie z przyjętym trybem - odrzekł Koenig i wyszedł.

- Czy to dotyczyło mnie? - spytał wtedy Bourne.

- Tak, w sensie pobierania tak dużych kwot, Herr Bourne. To tylko nasze zarządzenie wewnętrzne. - Apfel uśmiechnął się uspokajająco.

Szczęknął zamek. Bourne otworzył drzwi z matową szybą i wkroczył do królestwa Herr Koeniga. Przez ten czas nadeszło dwóch innych klientów, którzy siedzieli teraz w przeciwnych rogach pokoju przyjęć. Ponieważ nie zaproszono ich do separatek, Bourne domyślił się, że żaden z nich nie jest właścicielem konta z trzyzerowym szyfrem. Zastanawiał się jeszcze, czy oni także musieli wypisywać długie ciągi liczb, ale w chwili, gdy stanął koło windy i nacisnął guzik, zastanawiać się przestał.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch - to Koenig skinął głową w stronę dwóch mężczyzn; ci wstali, kiedy drzwi windy zaczynały się otwierać. Bourne odwrócił się. Mężczyzna po prawej wyjął z kieszeni mały nadajnik i rzucił do mikrofonu parę szybkich słów.

Jego kolega z lewej strony miał rękę ukrytą za połą deszczowca. Wyciągnął ją i błysnął czarnym, automatycznym rewolwerem kalibru 38, na którego lufie lśnił długi,

perforowany cylinder tłumika.

Obaj mężczyźni podchodzili do Bourne'a, a on cofał się w głąb pustej windy.
Rozpętało się piekło.

Winda zaczęła się zamykać. Mężczyzna z nadajnikiem był już w środku, a ręce tego drugiego tkwiły między sunącymi ku sobie skrzydłami drzwi; rewolwer w jego dłoni mierzył w głowę Bourne'a.

W nagłym odruchu przerażenia, Jason pochylił się w prawo, a później, bez żadnego ostrzeżenia, wykonał błyskawiczny obrót, uderzając jednocześnie stopą lewej nogi w uzbrojone ramię napastnika. Lufa rewolweru skoczyła w górę, mężczyzna zatoczył się, zachwiał i runął w tył, poza klatkę dźwigu. Nim drzwi zasunęły się ostatecznie, broń plunęła dwoma stłumionymi wystrzałami! Pociski utkwiły w grubym drewnie sufitu. Wciąż pochylony, Bourne wbił się barkiem w brzuch mężczyzny z nadajnikiem. Prawą ręką dźgnął go w pierś, lewą przygwoździł dłoń z aparatem, a potem cisnął nieznajomym o ścianę. Nadajnik poszybował krótkim łukiem, spadł i z głośniczka zabrzmiały słowa:

- *Henri! Ça va? Maintenant, l'ascenseur?*

W mózgu Jasona zamajaczył obraz innego Francuza, człowieka na pograniczu hysterii, mężczyzny nie dającego wiary temu, co widzi - obraz niedoszłego zabójcy, który wybiegł z „Le Bouc de Mer” na mroczną rue Sarrasin mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu. Marsylczyk nie zmarnował czasu. Wieści dotarły już do Zurychu - trup ożył. I żył. *Zabić go!*

Lewe ramię Bourne'a opasało od tyłu szyję Francuza w windzie, jego prawa ręka szarpnęła ucho mężczyzny.

- Ilu was jest? - rzucił po francusku. - Ilu czeka na dole? Gdzie?

- Sam się przekonasz, świni!

Klatka dźwigu znajdowała się w połowie drogi do holu na parterze.

Jason zgiął Francuzowi kark, naderwał mu ucho i zmiażdżył twarz na ścianie windy. Francuz zawył, osunął się na podłogę, a Bourne przygniótł go do ziemi kolanem; natychmiast wyczuł kaburę rewolweru. Rozerwał mu płaszcz, sięgnął pod materiał i znalazł rewolwer o krótkiej lufie - teraz był już pewien, że ktoś wyłączył w windzie czujniki reagujące na obecność broni. Koenig! Będzie o nim pamiętał. Amnezja, nie amnezja, on Koeniga sobie zapamięta. Wbił rewolwer w rozwarte usta Francuza.

- Gadaj, bo odstrzelę ci potylicę!

Francuz jęknął gardłowo; Bourne cofnął broń i przytknął mu ją do policzka.

- Dwóch. Jeden na dole przy windach, drugi na chodniku, przy samochodzie.

- Przy jakim samochodzie?

- Przy peugeocie.

- Kolor! Jakiego koloru?

Winda zwalniała, lada chwila stanie.

- Brązowego.

- Facet w holu. Jak jest ubrany?

- Nie wiem...

Jason musnął lufą skroń leżącego.

- Lepiej sobie przypomnij!

- W płaszcz! W czarny płaszcz!

Klatka windy zatrzymała się. Bourne dźwignął Francuza na nogi. Drzwi otworzyły się. Z lewej stał mężczyzna w ciemnym deszczowcu; nosił dziwaczne okulary w złotej oprawie. Mężczyzna zrobił krok w przód. Jego oczy przesłonięte szklami ogarnęły sytuację i dostrzegły krew na policzku Francuza. Uniósł dłoń schowaną w głębi szerokiej kieszeni płaszcza i naprowadził niewidoczną lufę rewolweru na cel z Marsylii.

Jason pchnął Francuza od siebie, w otwór drzwi. Usłyszał trzy szybkie, wyciszone tłumikiem strzały. Francuz krzyknął gardłowo, zasłonił się rękami w ostatnim proteście,

wygiął w tył i upadł na marmurową posadzkę. Obok zabójcy w okularach jakaś kobieta zanosła się przeraźliwym wrzaskiem. Dołączyli do niej inni i wrzeszczeli: „Ratunku! Policja!”, kierując wołanie do wszystkich i do nikogo.

Bourne wiedział, że nie może użyć broni, którą zabrał Francuzowi. Nie miała tłumika i huk wystrzałów natychmiast by go zdradził. Wsunął rewolwer do kieszeni płaszcza, ominął rozhisteryzowaną kobietę, złapał za ramiona windziarza w liberii, obrócił zdezorientowanym biedakiem wkoło i pchnął go w stronę mordercy w ciemnym deszczowcu.

Teraz puścił się biegiem ku szklanym drzwiom głównego wejścia. Panika w holu sięgała zenitu. Portier z czerwoną *boutonnière*, który zagadał do niego po francusku godzinę temu, krzychał coś w słuchawkę telefonu. Umundurowany strażnik z pistoletem w dłoni miotał się w drzwiach, barykadując wyjście. Jego oczy błędziły nieprzytomnie po kłębiącym się chaotycznie tłumie, aż zatrzymały się na nim, na Jasonie - droga ucieczki była odcięta. Unikając wzroku strażnika, Bourne zwrócił się bezpośrednio do portiera przy telefonie.

- On nosi okulary w złotych oprawkach! - wrzasnął. - To on! Widziałem go!

- Co?! Kim pan jest?!

- Przyjacielem Walthera Apfla! Słuchaj pan! Ten człowiek nosi okulary w złotych oprawkach! I czarny płaszcz przeciwdeszczowy! Jest tam!

Biurokratyczna mentalność nie zmieniła się od stuleci - słyszy się nazwisko wyższego urzędnika i bez gadania wykonuje rozkazy.

- Herr Apfel! - Portier banku Gemeinschaft spojrział na strażnika. - Słyszałeś?! On nosi okulary! Okulary w złotych oprawkach!

- Tak jest! - Strażnik rzucił się w tłum.

Jason wycofał się w stronę szklanych drzwi. Pchnął ich prawe skrzydło i zerknął na zewnątrz wiedząc, że musi szybko uciekać. Nie wiedział jednak, czy mężczyzna tkwiący na chodniku obok peugeota nie rozpozna go, i czy nie wpakuje mu kuli w łeb.

Strażnik minął zabójcę w ciemnym płaszczu, który szedł wolniej niż ludzie ogarnięci paniką, i który nie nosił już okularów. Minął go i zawrócił do wyjścia, do Bourne'a.

Na chodniku, w rosnącym zamieszaniu Jason znalazł sprzymierzeńca - gapie już się gromadzili. Policyjne wozy śmigły po Bahnhofstrasse, ich syreny zawodziły coraz głośniej. Otoczony zewsząd ludźmi, Bourne przeszedł kilka metrów w prawo, a potem wbił się w tłum ciekawskich, szukając schronienia przy witrynach sklepów, z dala od jezdni. Ciągłe spoglądał w stronę krawężnika i dostrzegł wreszcie peugeota, dostrzegł mężczyznę z rękami ukrytymi złowieszczo w kieszeniach płaszcza; czuwał obok samochodu. Dziesięć, piętnaście sekund później do peugeota zbliżył się człowiek w ciemnym deszczowcu. Zbliżywszy się, założył na powrót okulary w złotych oprawkach i mrugał chwilę, przyzwyczajając wzrok do szkielec. Obaj mężczyźni zagadali coś do siebie, lustrując jednocześnie ulicę.

Bourne rozumiał ich konsternację. Przez oszklone drzwi banku udało mu się wyjść nie okazując paniki, wyjść i wmieszać się w tłum. Początkowo zamierzał biec, lecz z obawy przed zdemaskowaniem biec zaczął dopiero później, gdy znalazł się daleko od szklanych wrót Gemeinschaft. W ślady Bourne'a nie poszedł nikt inny, bo wszystkich pozostałych zatrzymano w środku, a kierowca peugeota nie skojarzył Jasona z człowiekiem przeznaczonym na odstrzał już w Marsylii - nie rozpoznał go!

Kiedy pierwszy wóz policyjny zajechał na miejsce zdarzenia, mężczyzna w złotych okularach zdjął płaszcz i wrzucił go przez okno do peugeota. Skinął na kierowcę, który wsiadł i przekręcił kluczyk w stacyjce. Morderca zdjął delikatnie szkła i zrobił coś, czego Jason zupełnie nie oczekiwał: zawrócił, szybkim krokiem ruszył w stronę szklanych drzwi i dołączył do policjantów, którzy akurat wbiegli do banku.

Bourne śledził wzrokiem peugeota; odjechawszy od krawężnika, samochód pomknął ulicą Bahnhofstrasse. Tłum gapiów zaczynał rzednąć, wielu ludzi jednak przepychało się do ciężkich drzwi, wyciągając szyje, stając na czubkach palców. Zaglądali do środka, dopóki w

progu nie zjawiał się policjant i nie odpędził ciekawskich domagając się, żeby zrobili przejście aż do krawężnika. Jeszcze na nich krzyczał, gdy zza północno-zachodniego rogu ulicy wyjechała karetka pogotowia. Ostrzegając ludzi, trąbiła wściekle sygnałem, wyła przenikliwie syreną na dachu, aż w końcu z trudem wcisnęła się w miejsce zwolnione przez peugeota. Jason nie mógł dłużej zwlekać. Musiał dostać się do hotelu, zabrać rzeczy i czym prędzej uciekać z Zurychu, uciekać ze Szwajcarii. Do Paryża.

Dlaczego do Paryża?! Dlaczego nalegał, żeby pieniądze wysłano właśnie do Paryża?! Nie zastanawiał się nad tym w gabinecie Apfla, gdy znieruchomiał zaszokowany nieprawdopodobnymi sumami, jakie mu tam okazano. Były tak olbrzymie, że nie umiał ich pojąć wyobraźnią, dlatego reagował odrętwieniem i wsłuchiwał się w szept instynktu. A instynkt wywołał skądś obraz Paryża. Tak, jak gdyby w Paryżu kryło się coś niezmiernie istotnego. Co?! Dlaczego?!

Znów nie miał czasu... W drzwiach banku zobaczył ludzi w białych kitlach. Dźwigali nosze. Na noszach spoczywało ciało z głową zakrytą - znak śmierci. Jason zrozumiał ów znak. Gdyby nie umiejętności, które nabył w niepojęty dla siebie sposób, właśnie on leżałby teraz na noszach.

Na rogu spostrzegł wolną taksówkę i ruszył ku niej biegiem. Trzeba uciekać z Zurychu. Trzeba uciekać, bo wieści z Marsylii już tu dotarły: trup zmartwychwstał. Jason Bourne żyje. Zabić go. Zabić Jasona Bourne'a!

Na litość boską - dlaczego?!

Miał nadzieję zastać w recepcji zastępcę dyrektora „Carillon du Lac”, ale nie zastał. Pomyślał więc, że właściwie wystarczy zostawić mu... jak to on się nazywa? Stossel? Tak, Stossel... zostawić mu krótki liścik. Nie musi przecież wyjaśniać, dlaczego tak nagle wyjeżdża, a pięćset franków to aż nadto za tych kilka godzin spędzonych w „Carillon du Lac”, wystarczą też jako wynagrodzenie za przysługę, o którą ma zamiar prosić Herr Stossla.

Kiedy wrócił do pokoju, wrzucił do walizki przybory do golenia, sprawdził, czy rewolwer zabrany Francuzowi jest w kieszeni płaszcza, i usiadł przy biurku, by napisać liścik. Zaadresował go: „Her Stossel, Zastępca Dyrektora”. Był w nim między innymi następujący ustęp, ustęp, który łatwo, zbyt łatwo wyszedł mu spod pióra: „...Pewnie niedługo skontaktuję się z Panem w sprawie listów, których oczekuję na ten adres. Mam nadzieję, że nie sprawi Panu zbytniego kłopotu dopilnowanie mojej poczty i odebranie jej w moim imieniu”.

Gdyby nadeszły jakieś wiadomości z tajemniczego Treadstone-71, chciałby je znać. I na pewno pozna, to przecież Zurych.

Włożył banknot pięciusetfrankowy w złożony arkusik papieru listowego i zakleił kopertę. Chwycił walizkę, wyszedł z pokoju i ruszył przez hol w stronę wind. Były ich cztery, nacisnął guzik i obejrzał się do tyłu przypominając sobie Gemeinschaft. Nie zobaczył jednak nikogo. Brzdęknął dzwonek i nad trzecią windą zapaliło się czerwone światło. Zjeżdżała w dół. Świetnie. Jak najszybciej musi się przecież dostać na lotnisko, musi opuścić Zurych i Szwajcarię. Wiadomość została doręczona.

Drzwi windy się otworzyły. Między dwoma mężczyznami stała kobieta o kasztanowych włosach. Przerwali rozmowę, skinęli głowami przybyszowi, zauważyli walizkę i odsunęli się trochę na bok; gdy drzwi się zamknęły, podjęli na nowo rozmowę. Byli dobrze po trzydziestce, mówili po francusku cicho i szybko. Kobieta spoglądała raz na jednego mężczyznę, raz na drugiego, to uśmiechała się, to nad czymś zastanawiała. Nie podejmowali ważnych decyzji. Na wpół poważna wymiana zdań przeplatana była śmiechem.

- Jutro po podsumowaniu konferencji jedziesz do domu? - spytał mężczyzna po lewej.

- Jeszcze nie wiem. Czekam na wiadomość z Ottawy - odparła kobieta. - Mam w Lyonie krewnych. Chciałabym ich odwiedzić.

- Niemożliwe - zaczął mężczyzna po prawej - by komitet organizacyjny znalazł dziesięć osób, które by się podjęły podsumowania w jeden dzień tej zakazanej konferencji.

Wszyscy będziemy musieli tu jeszcze zostać na następny tydzień.

- Bruksela nie zgodzi się na to - zauważył z uśmiechem pierwszy. - Hotel zbyt drogo kosztuje.

- Przecież możesz się wyprowadzić do innego - powiedział drugi zerkając z ukosa na kobietę. - Przez cały czas czekamy, żebyś właśnie na to się zdecydowała, prawda?

- Wariat z ciebie - rzuciła kobieta. - Obaj zwariowaliście. Tak ja bym to podsumowała.

- Za to ty nie, Marie - stwierdził pierwszy. - To znaczy, ty nie zwariowałaś. Twój wczorajszy referat był wspaniały.

- Nic podobnego - zaoponowała. - Ot, taki sobie typowy, nudnawy referat.

- Skądże znowu! - oburzył się drugi. - Był znakomity, jakżeby mogło być inaczej. Wprawdzie nie rozumiałem ani słowa, ale w końcu jestem utalentowany w innych kierunkach.

- Wariat...

Winda zwalniała, znów odezwał się pierwszy:

- Usiądźmy w ostatnim rządzie, i tak już się spóźniliśmy, a referat ma Bertinelli... chyba niewielki będzie z niego pożytek. Teorie intensyfikacji fluktuacji cyklicznych przestały być aktualne w chwili upadku fortuny Borgiów.

- Jeszcze wcześniej - zauważyła ze śmiechem kobieta o kasztanowych włosach. - Razem z systemem podatkowym Cezara. - A po chwili dodała: - Jeśli nie w czasie wojen punickich.

- A więc rzeczywiście siadamy w ostatnim rządzie - stwierdził drugi podając ramię kobiecie. - Będziemy mogli się zdrzemnąć. On używa przeźroczy, więc będzie ciemno.

- Nie, idźcie sami, ja przyjdę za kilka minut. Naprawdę muszę wysłać parę telegramów, a nie mam zaufania do telefonistek, że czegoś nie pomylą.

Drzwi się otworzyły, trójka wyszła z windy. Dwaj mężczyźni ruszyli razem przez hol, kobieta w stronę recepcji. Bourne szedł za nią, podświadomie czytając tekst na trójkątnej tablicy stojącej kilka metrów dalej:

Witamy

Uczestników Szóstej Światowej Konferencji Ekonomistów

Program dzisiejszego dnia:

13.00 Pan James Frazier, poseł do parlamentu, Zjednoczone Królestwo, sala 12

18.00 dr Eugenio Bertinelli, Uniwersytet Mediolański, Włochy, sala 7

21.00 Obiad pożegnalny wydany przez przewodniczącego, sala przyjęć

- Pokój pięćset siedem. Telefonistka powiadomiła mnie, że jest telegram.

Mówi po angielsku. Kobieta o kasztanowych włosach, która stała teraz obok niego przy ladzie recepcji, mówi po angielsku. A więc Kanadyjka, bo przecież wspominała, że spodziewa się wiadomości z Ottawy.

Recepcjonista sprawdził przegródki na pocztę i wrócił z telegramem.

- Pani doktor St. Jacques? - spytał wyciągając kopertę w jej stronę.

- Tak, bardzo dziękuję. - Kobieta odwróciła się, by przeczytać telegram.

- Czym mogę panu służyć? - recepcjonista zwrócił się do Bourne'a.

- Chciałbym zostawić ten list dla Herr Stossla. - Położył na blacie firmową kopertę hotelu.

- Herr Stossel będzie dopiero o szóstej rano. Kończy pracę o szesnastej. Czy mogę w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję. Proszę tylko dopilnować, żeby dostał mój list. - Nagle Jason uprzytomnił sobie, że to jednak Zurych, więc dodał: - To nic pilnego, ale mój list wymaga odpowiedzi. Rano więc skontaktuję się z Herr Stosslem.

- Ależ naturalnie, proszę pana.

Bourne chwycił walizkę i ruszył przez hol w stronę wyjścia. Rząd szerokich szklanych drzwi prowadził na kolisty podjazd, za którym widać było jezioro. Pod daszkiem osłaniającym wyjście, w świetle jego lamp stało kilka taksówek. Słońce już zaszło, nad Zurychem zapadała noc. Samoloty jednakże odlatują stąd w różne punkty Europy jeszcze dobrze po północy.

Nagle przystanął, wstrzymał oddech. Ogarnęło go coś w rodzaju paraliżu. Za szklanymi drzwiami zobaczył coś nieprawdopodobnego, nie wierzył własnym oczom. Na podjeździe, przed pierwszą taksówką zatrzymał się brązowy peugeot. Drzwi się otworzyły i wysiadł mężczyzna - morderca w czarnym deszczowcu i wąskich okularach w złotej oprawie. Przez drugie drzwi wysiadła następna postać. Nie był to jednak tamten kierowca czekający przy krawężniku Bahnhofstrasse na cel, którego nie rozpoznał, lecz inny płatny morderca, również w płaszczu o przepastnych kieszeniach wypchanych skuteczną bronią. Był to ten sam człowiek, który siedział w pokoju przyjęć na pierwszym piętrze banku Gemeinschaft, ten sam, który wyciągnął z kabury pod płaszczem rewolwer kalibru 38. Rewolwer z perforowanym cylindrem na lufie. On to stłumił huk dwóch strzałów wymierzonych w czaszkę ofiary, za którą mężczyzna wszedł do windy.

Jak? Jak udało im się go znaleźć?... Nagle Bourne coś sobie przypomniał i ogarnęły go mdłości. Takie to było niewinne, takie przypadkowe!

„Czy zadowolony pan z pobytu w Zurychu?“, spytał Walther Apfel, kiedy czekali, żeby Koenig odszedł i zostawił ich samych.

„O tak. Mam pokój z widokiem na jezioro. To ładny widok. Bardzo spokojny i odprężający”.

Koenig! To Koenig słyszał, jak on powiedział, że ma pokój z widokiem na jezioro. Ile było hoteli mających pokoje z oknami wychodzącymi na jezioro? Zwłaszcza takich, w których mógł się zatrzymać ktoś posiadający konto bankowe z szyfrem o trzech zerach. Dwa? Trzy?... Odgrzebał w pamięci nazwy: Carillon du Lac, Baur au Lac, Eden au Lac. Czy były jakieś inne? Nie przypominał sobie. Jak łatwo musieli dokonać eliminacji! Jak łatwo mu się wymknęły te słowa. Co za głupota!

Ani chwili czasu. Już za późno. Widział, co się dzieje za szklanymi drzwiami; mordercy, niestety, też. Zauważył go drugi. Wymienili kilka słów nad dachem peugeot, pierwszy poprawił okulary w złotej oprawie, obaj wsunęli ręce do ogromnych kieszeni, chwycili za niewidoczną broń. Podeszli razem do wejścia, rozdzielili się tam w ostatniej chwili i zajęli skrajne pozycje po obu stronach rzędu szklanych drzwi. Flanki obstawione, zasadzka gotowa - Bourne nie może wybiec na zewnątrz.

Czy oni uważają, że mogą wejść do zatłoczonego holu i tak po prostu zabić człowieka?

Oczywiście, że tak! Tłum i hałas to tylko ich sprzymierzeńcy. Oddanie tu dwóch, trzech, czterech wytłumionych strzałów z niewielkiej odległości to to samo co urządzenie zasadzki w biały dzień na ruchliwym placu - łatwo można uciec w ogólnym zamieszaniu.

Nie może pozwolić, by się zbliżyli! Cofnął się, w głowie miał gonitwę myśli, był w największym stopniu wzburzony. Jak mogą? Dlaczego wyobrażają sobie, że nie pobiegnie po ochronę, że nie zawoła policji? Odpowiedź jednak była jednoznaczna, podobnie paraliżująca jak pytanie. Mordercy wiedzieli na pewno o czymś, czego on może się tylko domyślać. Nie będzie szukał tego rodzaju ochrony, nie może szukać pomocy u policji. Jason Bourne musi unikać wszelkich przedstawicieli władz... Dlaczego? Czy jest poszukiwany?

Jezu Chryste, dlaczego?

Obaj wyciągnęli ręce, każdy z nich otworzył parę skrajnie usytuowanych drzwi, drugą rękę trzymając w kieszeni, zaciśniętą na metalu. Bourne odwrócił się: są windy, przejścia, korytarze, dach i piwnice - na pewno można się wydostać z hotelu na kilkanaście sposobów.

Czy naprawdę? Czy mordercy, którzy teraz przedzierają się przez tłum, wiedzą o

czymś, czego on może się tylko domyślać? Czy w „Carillon du Lac” są tylko dwa lub trzy wyjścia? Ubezpieczani przez ludzi znajdujących się na zewnątrz, sami bez trudu zastawiają pułapkę, w której chcą wykończyć samotnego, uciekającego człowieka.

Samotny człowiek; samotny człowiek to łatwy cel. A gdyby nie był sam? Gdyby ktoś mu towarzyszył? Dwoje ludzi to co innego, bo druga osoba stanowi kamuflaż, zwłaszcza w tłumie, zwłaszcza w nocy, a teraz właśnie jest noc. Bezwzględni mordercy unikają zabijania niewłaściwych osób, nie z dobrego serca, lecz ze względów praktycznych - prawdziwy cel może uciec w zamieszaniu i panice, które powstają.

Czuł w kieszeni ciężar broni, ale sam fakt, że ją ma, był niewielkim pocieszeniem. Podobnie jak w banku - użycie jej, choćby tylko wyciągnięcie, demaskowało go. No, ale dobrze, że jest. Przesuwał się do tyłu, coraz bliżej środka holu, po czym skręcił bardziej w prawo, gdzie znajdowało się o wiele więcej ludzi. Była przedwieczorna pora, odbywała się międzynarodowa konferencja, robiono tysiące niezobowiązujących planów; między ludźmi z towarzystwa a światkiem kurtyzan wznosiła się bariera spojrzeń wyrażających już to aprobatę, już to naganę, wszędzie zaś tworzyły się grupki o przypadkowym składzie.

Pod ścianą znajdował się marmurowy blat, za którym urzędnik przeglądał kartki żółtego papieru pomagając sobie ołówkiem trzymanym jak pędzel. Telegramy. Przed blatem stało dwoje ludzi - starszy otyły mężczyzna i kobieta w ciemnoczerwonej sukni; pyszny kolor jedwabiu stanowił wspaniałe dopełnienie jej tycjanowskich włosów... Kasztanowych włosów. Była to ta sama kobieta, z którą jechał windą, ta, która żartowała na temat podatków Cezara i wojen punickich, a potem stała obok niego przy recepcji i prosiła o swój telegram.

Bourne obejrzał się. Mordercy dobrze sobie radzili w tłumie; przepaszali grzecznie, lecz stanowczo, przesuając się coraz dalej - jeden po prawej, drugi po lewej, jakby brali Bourne'a w kleszcze. Dopóki mają go na oku, mogą go zmuszać do ucieczki na oślep, nie w jakimś obranym kierunku, a to może się źle skończyć, bo nagle znajdzie się w punkcie, z którego nie będzie wyjścia. A wtedy rozlegną się stłumione trzaski, na ich kieszeniach pojawią się czarne osmalone prochem dziury...

Dopóki mają go na oku.

„A więc siadamy w ostatnim rzędzie... Będziemy mogli się zdrzemnąć. On używa przeźroczy, więc będzie ciemno”.

Jason znów się odwrócił i spojrzał na kobietę o kasztanowych włosach. Skończyła już nadawać telegram i podziękowała urzędnikowi. Zdjęła przydymione okulary w rogowej oprawie i włożyła je do torebki. Nie znajdowała się dalej od Bourne'a niż jakieś trzy metry.

„...referat ma Bertinelli, chyba niewielki z niego będzie pożytek”.

Nie ma czasu, by podejmować przemyślane decyzje, trzeba się kierować intuicją. Bourne przełożył walizkę do lewej ręki, podszedł raptownie do kobiety przy marmurowym blacie i dotknął delikatnie jej łokcia, najspokojniej jak umiał.

- Pani jest doktor...?

- Słucham?

- Pani jest doktor...? - Puścił ją zakłopotany.

- St. Jacques - dokończyła, wymawiając pierwszą sylabę z francuska. - Ach, to pan jechał z nami windą.

- Nie zorientowałem się, że to pani - powiedział. - Mówiono mi, że pani będzie wiedziała, gdzie ma referat ten Bertinelli.

- Napisane jest to na tablicy. W sali siódmej.

- Niestety, nie wiem, gdzie to jest. Czy mogłaby mi pani pokazać? Spóźniłem się, a muszę z tego referatu zrobić notatki.

- Z referatu Bertinellego? Po co? Pracuje pan w marksistowskiej gazecie?

- Nie, pracuję dla niezależnego koncernu prasowego - odparł Jason zastanawiając się, skąd mu to wszystko przyszło do głowy. - Jestem przedstawicielem grupy dziennikarzy,

reszta uważa, że nie warto tracić na niego czasu.

- Może i nie warto, ale należy go posłuchać. W tym, co mówi, jest kilka brutalnych prawd.

- Zgubiłem się, muszę więc odnaleźć te prawdy. Może mogłaby pani zwrócić mi na nie uwagę.

- Niestety nie. Pokażę panu, gdzie jest sala, ale potem muszę zatelefonować. - Zatrzasnęła torebkę.

- Tylko szybko. Proszę.

- Co? - Spojrzała na niego niezbyt życzliwie.

- Przepraszam, ale naprawdę się śpieszę. - Spojrzał w bok: mężczyźni byli ledwie siedem metrów dalej.

- Jest pan też naprawdę niegrzeczny - powiedziała zimno kobieta nazwiskiem St. Jacques.

- Bardzo proszę. - Powściągnął chęć popchnięcia jej naprzód, poza zaciskający się wokół nich krąg.

- Tędy.

Ruszyła przez hol w stronę szerokiego korytarza, który otwierał się z lewej strony za ścianą. Tłum w głębi holu przeredzał się, nie było też wszystkiego widać jak na dłoni. Weszli do czegoś, co wyglądało jak obity aksamitem tunel z rozmieszczonymi po obu stronach ciemnoczerwonymi drzwiami, nad którymi paliły się podświetlone napisy: Sala konferencyjna nr 1, Sala konferencyjna nr 2. Na końcu korytarza były drzwi dwuskrzydłowe, przy których widniała tabliczka obwieszająca złotymi literami, że to Sala Siódma.

- To tutaj - powiedziała Marie St. Jacques. - Niech pan uważa wchodząc, jest tam chyba ciemno. Bertinelli ilustruje referat przezręczami.

- Jak w kinie - skomentował Bourne oglądając się do tyłu. W końcu korytarza zobaczył mężczyznę w złotych okularach, który lawirował między stojącymi i właśnie chciał ominąć jakąś rozmawiającą z ożywieniem trójkę. Wchodził w korytarz, a za nim jego towarzysz.

- ...znaczną różnicą. Siedzi pod sceną i celebrytuje. - Tylko częściowo usłyszał, co powiedziała St. Jacques.

- Co pani powiedziała? Pod sceną?

- No, właściwie pod podwyższeniem. Zazwyczaj wystawia się tam różne eksponaty.

- A więc muszą je jakoś wnosić - zauważył.

- Co takiego?

- Te eksponaty. Czy jest tam drugie wyjście? Drugie drzwi?

- Nie mam pojęcia, a teraz naprawdę muszę iść zadzwonić. Miłego spotkania z *professore*.

Odwróciła się. Postawił walizkę i chwycił kobietę za ramię.

- Proszę zabrać rękę. - Rzuciła mu piorunujące spojrzenie.

- Nie chciałem pani przestraszyć, ale nie mam wyboru - powiedział spokojnie, zerkając ponad jej ramieniem. Mordercy zwolnili kroku, pułapka była pewna, krąg się zamknął. - Musi pani ze mną wejść.

- Niech pan nie będzie śmieszny!

Zacisnął rękę na jej ramieniu i ustawił ją przed sobą. Wyciągnął rewolwer z kieszeni i ukrył go za tułowiem kobiety, by odlegli teraz o dziesięć metrów mężczyźni nie mogli go zobaczyć.

- Nie chcę strzelać, nie chcę pani zranić, ale jeśli będę zmuszony, zrobię i jedno, i drugie.

- Mój Boże...

- Cicho. Proszę tylko robić to, co mówię, a nic się pani nie stanie. Muszę się wydostać

z tego hotelu i pani mi w tym pomoże. Kiedy już wyjdę, puszcę panią. Ale nie wcześniej. Chodźmy. Do środka.

- Nie może pan...

- Owszem, mogę. - Przytknął lufę do jej żołądka; ciemny jedwab zmarszczył się pod wpływem ucisku. Kobieta zamilkła z przerażenia, poddała się. - Chodźmy.

Stanął po jej lewej stronie, wciąż trzymając ją mocno za ramię, z rewolwerem w lewej ręce, przylegającym do jego piersi i przytkniętym do jej boku. Kobieta jak zahipnotyzowana wpatrywała się w broń; usta miała rozchylone, oddech urywany. Bourne otworzył drzwi, popychając ją przed sobą. Z korytarza dobiegło go wołanie:

- *Schnell!*

Stanęli w ciemnościach, już po chwili jednak salę przeszył snop białego światła oświetlając głowy publiczności siedzącej w rzędach. Na odległym ekranie ukazał się obraz. Był to wykres - linie tworzące siatkę miały numery, z lewego dolnego rogu ciągnęła się gruba, czarna, zygzakowata kreska, która przecinała ukośnie siatkę w stronę prawego górnego rogu. Z głośnika rozległ się głos o silnym obcym akcencie.

- Zauważcie państwo, że w roku siedemdziesiątym i siedemdziesiątym pierwszym, kiedy wprowadzono z własnej inicjatywy pewne ograniczenia w produkcji... powtarzam: wprowadzono z własnej inicjatywy... a wprowadziła je właśnie ta grupa zarządzająca przemysłem, kryzys ekonomiczny okazał się o wiele mniej głęboki niż w... proszę przeźrocze numer dwanaście... niż w systemie tak zwanej paternalistycznej regulacji rynku dokonywanej za pomocą interwencji ze strony rządu. Proszę następną przeźrocze.

W sali znów zrobiło się ciemno. Coś się stało z projektorem, nie pojawił się następny snop światła.

- Proszę przeźrocze numer dwanaście!

Jason popchnął kobietę naprzód, przed osoby stojące pod tylną ścianą za ostatnim rzędem krzeseł. Wypatrując czerwonego światełka, które mogło oznaczać ucieczkę, usiłował ocenić, jak duża jest sala. Nagle je zobaczył! Słabe czerwone światełko w oddali. Na ścianie, za ekranem. Z sali numer siedem były więc tylko dwa wyjścia. Muszą zatem przedostać się do tamtego w oddali. Na scenie.

- *Marie! Ici!* - doleciał ich szept z lewej strony, z miejsca w ostatnim rzędzie.

- *Non, ma chérie! Je suis tout près.* - Ten szept zaś wyszedł z ust ciemnej postaci mężczyzny, który stał bezpośrednio przed Marie St. Jacques i zagradzał jej drogę.

Bourne mocniej wcisnął broń między żebra kobiety, co było dla niej jednoznacznym sygnałem.

- Proszę nas przepuścić - powiedziała po francusku. - Proszę - wyszeptała wstrzymując oddech. Jason cieszył się, że nie było widać wyraźnie jej twarzy.

- Co to, moja droga? Ach, to ten twój telegram?

- Jestem starym przyjacielem - wyszeptał Bourne.

Nad coraz to głośniejszym szmerem głosów na widowni rozległo się wołanie:

- Czy mogę prosić przeźrocze numer dwanaście! *Per cortesia!*

- Musimy zobaczyć się z kimś na końcu tego rzędu - mówił dalej Jason oglądając się do tyłu.

Otworzyło się prawe skrzydło drzwi. Pośrodku pozostającej w ciemnościach twarzy błysnęły złote okulary odbijając blade światło z korytarza. Bourne pchnął dziewczynę przed jej osłupiałego znajomego; jego z kolei odtrącił pod ścianę i wyszeptał przeprosiny:

- Przepraszam, śpieszymy się!

- Ale jest pan niegrzeczny!

- Wiem o tym.

- Przeźrocze dwunaste. *Che cosa! Impossibile!*

Z projektora wystrzelił drżący snop światła - obsługa była zdenerwowana. Na ekranie

pojawił się następny wykres. Jason i kobieta dotarli do bocznej ściany po przeciwnej stronie sali i ruszyli wąskim przejściem prowadzącym w stronę sceny. Pchnął kobietę w kąt i przyparł ją całym ciężarem ciała do ściany. Ich twarze niemal się dotykały.

- Będę krzyczała - szepnęła.

- Zacznę strzelać - ostrzegł.

Przyjrzał się postaciom opartym o ścianę. Obaj mordercy byli na sali, obaj rozglądali się ukradkiem jak zaniepokojone gryzonie, które usiłują wypatrzeć swój cel wśród rzędów twarzy.

Głos prelegenta zabrzmiał nagle wysokim tonem pękniętego dzwonu, napastliwa diatryba była krótka i ostra.

- *Ecco!* Adresuję to do wszystkich sceptyków obecnych tu dziś wieczorem... to znaczy, do większości zebranych... dowód statystyczny! Zasadniczo identyczny jak sto innych analiz, które przygotowałem. Pozostawcie rynek tym, którzy tam mieszkają. Zawsze pojawią się mniejsze nadużycia. Lecz stanowią one niewysoką cenę, jaką płaci się dla dobra ogółu.

Rozległy się wrywkowe oklaski, dowód uznania ze strony zdecydowanej mniejszości. Bertinelli znów zaczął mówić normalnym tonem ciągnąc jednostajnie swój wywód. Szturchając długą pałeczką w ekran wskazywał punkty oczywiste - dla niego. Jason odchylił się do tyłu. W ostrym świetle projektora błysnęły złote okulary - noszący je morderca dotknął ramienia kolegi, ruchem głowy wskazał w lewo, tym samym dając mu znak, by kontynuował poszukiwania z lewej strony sali. On sam zajmie się prawą. Ruszył spełnić swoje zadanie. Złota oprawa okularów błysnęła jaśniej, gdy idąc bokiem wzdłuż szeregu stojących zaglądał we wszystkie twarze. Zaraz, za kilka sekund dotrze w kąt sali, dotrze do nich. Jasonowi pozostało tylko jedno, by go zatrzymać - strzelić. A jeśli ktoś stojący w rzędzie się poruszy albo jeśli kobieta, którą przyparł do ściany, wpadnie w panikę i go popchnie... albo jeśli z jakichś powodów on nie trafi mordercy, znajdzie się w pułapce. A jeśli nawet go trafi, w sali jest przecież drugi morderca, z pewnością wytrawny strzelec.

- Poproszę przeźrocze trzynaste. O to chodziło. Teraz!

Snop światła znikł, zapanowały ciemności. Bourne odciągnął kobietę od ściany i obracając ją z powrotem pchnął w to samo miejsce. Zbliżył twarz do jej twarzy.

- Jeśli pani piśnie, zabiję!

- Wierzę - szepnęła przerażona. - Jest pan obłąkany.

- Chodźmy!

Pchnął ją wąskim przejściem prowadzącym do sceny odległej o dwadzieścia kroków. Znów zajaśniało światło projektora. Chwycił dziewczynę za kark zmuszając, by uklękła, i sam ukląkł za nią. W ten sposób ukryli się przed mordercami za rzędami rozpartych w krzesłach osób. Mocniej zacisnął palce na jej ciele, dając tym sygnał, by posuwała się naprzód... powoli, na klęczkach, ale naprzód.. Zrozumiała, ruszyła na kolanach, drżała.

- Wnioski wynikające z tej fazy są niezbite - krzyczał prelegent. - Motywu zysku nie da się oddzielić od inicjatyw produkcyjnych, lecz role przeciwności nigdy nie sprowadzają się do tych samych wymiarów. Według Sokratesa nierówność wartości jest stałą. Po prostu złoto to nie mosiądz ani żelazo. Kto spośród tu obecnych może zaprzeczyć? Poproszę przeźrocze czternaste!

Znów zapadły ciemności. Teraz!

Podciągnął kobietę, popchnął naprzód w stronę sceny. Od jej krawędzi dzielił ich metr.

- *Che cosa?* Co się dzieje? Poproszę przeźrocze czternaste!

Stało się! Projektor znów się zaciął i ponownie zapadły ciemności. Na scenie przed nimi żarzył się tylko czerwony napis nad wyjściem. Jason złapał gwałtownie dziewczynę za ramię.

- Niech pani wskoczy na scenę i biegnie do wyjścia! Jestem tuż za panią. Jeśli zatrzyma się pani albo krzyknie, strzełę.

- Na miłość boską, proszę mnie puścić!

- Jeszcze nie teraz. - Był zdeterminowany. Gdzieś tam było inne wyjście, przy którym jacyś mężczyźni czekają na cel z Marsylii. - Niech pani wskakuje. Już!

Marie St. Jacques wstała i pobiegła w stronę sceny. Bourne podsadził ją, sam też wskoczył i pomógł jej wstać.

Z projektora wystrzelił jasny snop światła, które zalało ekran i oświetliło scenę. Na widok dwóch postaci publiczność zaczęła wydawać okrzyki zdumienia, rozległy się drwiny i górujące nad wrzawą wołanie oburzonego Bertinelliego.

- *Affronto! Insultante! Ecco, Comunisti!*

Nagle rozległy się też inne dźwięki - trzy ostre, śmiertelne. Szczęk broni z tłumikiem. W listwie łuku proscenium powstała wyrwa, w której sterczały drzazgi. Jason szarpnął dziewczynę, by się pochyliła, i ciągnąc ją za sobą rzucił się naprzód w stronę wąskich, ciemnych kulis

- *Da ist er!*

- *Der Projektionsapparat!*

Te wrzaski rozległy się w przejściu przez środek sali. Światło projektora przesunęło się w prawo oświetlając kulisy, ale tylko częściowo, bo snop jedynie ślizgał się po pionowych skrzydłach, które zasłaniały to, co było już poza sceną. Światło, cień, światło, cień. Na końcu kulis w głębi sceny było wyjście. Wysokie i szerokie metalowe drzwi zamknięte na ciężki rygiel.

Szkoło rozprysło się, czerwone światełko zgasło - zdmuchnęła je kula wytrawnego strzelca. Nie miało to znaczenia: Jason dostatecznie wyraźnie widział połyskliwa mosiężną sztabę.

W sali wykładowej zapanowało istne piekło. Bourne chwycił dziewczynę za stanik sukni i pociągnął za kulisami w stronę drzwi. Usiłowała się opierać, lecz uderzył ją w twarz i pociągnął dalej. Wreszcie stanęli pod sztabą.

Kule świsnęły nad głowami uderzając w ścianę po prawej, mordercy biegli przejściami w stronę sceny, by móc celniej mierzyć. Za kilka sekund ich dopadną, za kilka sekund następne kule czy kula dosięgną celu. Wiedział, że tamtym pozostało jeszcze dostatecznie dużo pocisków. Nie miał pojęcia, skąd to wie i dlaczego, ale wiedział. Potrafił sobie wyobrazić broń, z której strzelano, rozróżnić szczęk spustu, policzyć pociski.

Rąbnął przedramieniem w rygiel na drzwiach. Otworzyły się, a on rzucił się naprzód ciągnąc za sobą wierzgającą kobietę.

- Dość tego! - wrzasnęła. - Nie pójdę dalej! Jest pan szaleńcem! Przecież to były strzały.

Jason zatrzasnął kopniakiem wielkie metalowe drzwi.

- Wstawać!

- Nie!

Wymierzył jej cios w twarz grzbietem dłoni.

- Przykro mi, ale pójdzie pani ze mną. Wstawać! Dotrzymam słowa na zewnątrz. Tam panią puszcze.

Lecz dokąd właściwie ma teraz iść? Znajdowali się w następnym tunelu, tym razem nie wyłożonym dywanem, bez błyszczących drzwi, nad którymi paliłyby się napisy. Znajdowali się na zapleczu przypominającym nieco opuszczoną dekoratornię; podłoga była betonowa. Obok niego przy ścianie stały dwa wózki transportowe. Miał więc rację - dekoracje używane na scenie sali numer siedem dowożono tam na specjalnych transporterach, toteż drzwi musiały, być dostatecznie wysokie i szerokie, by mogły się w nich zmieścić duże elementy.

Racja, drzwi! Przecież powinien zabarykadować drzwi! Marie St. Jacques stała. Przytrzymał ją i jednocześnie chwycił za pierwszy wózek. Popychając go ramieniem i kolaniem przesunął pod drzwi, aż trzasnął o ich metalową obudowę. Spojrzał w dół, pod grubą drewnianą platformę wózka - na kołach były blokady. Zablokował je obcasem na kole przednim i tylnym.

Kiedy wyciągnął nogę, by zablokować tył, dziewczyna obróciła się i usiłowała mu się wyrwać. Zsunął rękę po jej ramieniu i chwycił za nadgarstek, wykręcając jej dłoń. Krzyknęła, łzy napłynęły jej do oczu, usta zadrżały. Pociągnął ją za sobą, szarpnął w lewo i zaczął biec w stronę, w której jego zdaniem było tylne wyjście z hotelu - to znaczy miał nadzieję, że to właściwy kierunek. Bo tylko tam, właśnie tam przyda mu się ta kobieta, przez te kilka sekund, kiedy wychodzić będą na zewnątrz we dwoje, a nie on sam.

Nagle rozległo się gwałtowne walenie w drzwi - mordercy usiłowali je otworzyć, lecz barykada z wózka okazała się na to zbyt ciężka.

Szarpnął dziewczynę, by biegła z nim dalej betonowym korytarzem. Marie chciała mu się wyrwać; zaczęła kopać, wykręcać się we wszystkie strony, była na granicy hysterii. Nie miał wyboru - chwycił ją za łokieć i z całej siły wbił kciuk w jego zagłębienie. Pod wpływem nagłego rozdzierającego bólu dziewczynie zabrakło tchu. Z oczu popłynęły jej łzy, wypuściła powietrze, zrezygnowała z walki, pozwoliła się ciągnąć dalej.

Dotarli do betonowych schodów. Cztery stopnie miały stalowe okucia, prowadziły w dół do żelaznych drzwi. Było to miejsce, w którym rozładowywano samochody dostawcze: za drzwiami znajdował się tylny parking hotelowy. Bourne pokonał więc już prawie wszystkie przeszkody. Teraz pozostawało tylko zachować pozory.

- Niech pani posłucha - powiedział do zeszywniałej z przerażenia kobiety. - Chce pani, żebym panią puścił?

- Och, Boże, tak, proszę!

- To niech pani robi dokładnie to, co każe. Zejdziemy tymi schodami i wyjdziemy na zewnątrz jak para absolutnie zwyczajnych ludzi pod koniec dnia pracy. Weźmie mnie pani pod ramię i powoli wyjdziemy, cicho rozmawiając. Pójdziemy w stronę samochodów w głębi parkingu, i oboje będziemy się śmiać... niezbyt głośno, po prostu swobodnie... jakbyśmy wspominali jakieś śmieszne historie, które się wydarzyły w ciągu dnia. Rozumie pani?

- Mnie przez ostatni kwadrans na pewno nie wydarzyło się nic zabawnego - odparła jednostajnie, ledwie słyszalnym szeptem.

- To niech pani udaje, że się wydarzyło. Może być tu na mnie zastawiona pułapka. A jeżeli nie, to wszystko mi jedno. Rozumie pani?

- Chyba złamał mi pan prawą rękę w nadgarstku.

- Nieprawda..

- I lewą rękę. I ramię. Nie mogę nimi ruszać. Wszystko mnie rwie.

- To dlatego, że nastąpił ucisk na zakończeniu nerwu. Przejdzie za kilka minut. Wszystko będzie dobrze.

- Bydlę z pana.

- Chcę żyć - powiedział. - Chodźmy. Niech pani pamięta: kiedy otworzę, drzwi, ma pani na mnie patrzeć i uśmiechać się. Teraz odrzucić głowę do tyłu i roześmiać się.

- Będzie to najtrudniejsza rzecz na świecie.

- Łatwiej się uśmiechnąć, niż umrzeć.

Wsunęła mu obolałą rękę pod ramię. Zeszli kilka stopni w dół na podest, stanęli pod drzwiami. Otworzył je i wyszli - on z ręką w kieszeni płaszcza zaciśniętą na rewolwerze Francuza wodził badawczo wzrokiem po platformie wyładunkowej. Nad drzwiami była jedna żarówka w drucianej obudowie. Rzuciła światło na betonowe schody po lewej, prowadzące na niżej położony chodnik. Bourne poprowadził zakładniczkę w ich stronę.

Wykonywała potulnie jego rozkazy, ale efekt tego był makabryczny. Kiedy schodzili

po schodach, zobaczył w świetle żarówki jej przerażoną twarz, którą zwróciła w jego stronę. Wydatne usta miała rozchylone, wargi rozciągnięte w sztucznym, pełnym napięcia uśmiechu ukazującym białe zęby. Jej ciemne oczy wyglądały jak dwa młyńskie koła; czaił się w nich prymitywny strach. Zalane łzami policzki miała napięte, blade, zeszepeczone czerwonymi plamami tam, gdzie ją uderzył. Patrzył na twarz wyrzeźbioną z kamienia, na maskę obramowaną ciemnorudymi włosami opadającymi na ramiona - wieczorny wiatr odwiedzał je lekko do tyłu, jedynie one więc nie były nieruchome, cała twarz bowiem pozostawała maską.

Z gardła kobiety wydobył się stłumiony śmiech, żyły na jej długiej szyi nabrzmiały. Mogła w każdej chwili stracić przytomność, ale starał się o tym nie myśleć. Musiał się skoncentrować na otaczającej ich przestrzeni, żeby na wielkim, spowitym mrokiem parkingu nie przeoczyć najdrobniejszego poruszenia. Bez wątpienia, z najdalszych, nie oświetlonych miejsc na parkingu korzystali pracownicy hotelu. Zrobiło się prawie wpół do siódmej, a więc nocna zmiana na pewno była już pochłonięta obowiązkami. Wszędzie panował bezruch. Gładką czarną nawierzchnię przecinały rzędy cichych pojazdów - szeregi olbrzymich owadów - wpatrzonych w nicość setką szklistych reflektorów, oczami pozbawionymi wyrazu.

Zgrzyt. Metal zazgrzytał o metal. Odgłos ten doszedł Bourne'a z prawej strony, doleciał z samochodu w pobliskim rzędzie. Ale w którym? I z którego samochodu? Bourne odrzucił głowę do tyłu, niby w odpowiedzi na żart swojej towarzyszki, jednocześnie wędrując wzrokiem po szybach najbliższych samochodów. Nic... A może jednak coś? Tak, dostrzegł to, choć było takie małe, niemal niewidoczne... zdumiewające. Malutkie zielone kółeczko, ledwie rozmarzone zielone światełko. Przesuwało się... kiedy oni się przesuwali.

Zielone. Małe... światło? Nagle, gdzieś z zakamarków pamięci wypłynął i stanął Bourne'owi przed oczami obraz krzyża nitek. Jego oczy patrzyły na dwie cienkie przecinające się linie! Krzyknął! To noktowizor... reagująca na podczerwień luneta karabinu.

Skąd mordercy wiedzieli? Istniała na to nieskończona liczba odpowiedzi. W Gemeinschaft użyto przenośnego nadajnika, pewnie teraz też nim się posługiwano. Bourne miał na sobie płaszcz, a jego zakładniczka cienka jedwabną suknię, mimo że wieczór był chłodny. Żadna kobieta tak by nie wyszła.

Rzucił się w lewo, ukucnął, skoczył w stronę Marie waląc ją ramieniem w żołądek, aż zatoczyła się z powrotem w kierunku schodów. Rozległa się seria stłumionych wystrzałów, które siekły kamienie i asfalt wokół uciekających. Bourne dał nurka w prawo, przekoziołkował kilka razy po asfalcie i wyciągnął rewolwer z kieszeni płaszcza. Zebrał się w sobie, ułożył głowę naprzód; podpierając lewą ręką prawy nadgarstek, wycelował broń w szybę, za którą tkwił karabin. Trzykrotnie wystrzelił.

Z ciemnej otwartej czeluści nieruchomego samochodu doleciał wrzask; który po chwili przemienił się w krzyk, następnie w ciężkie sapanie, aż w końcu wszystko ucichło. Bourne leżał bez ruchu czekając, nasłuchując, patrząc bacznie, gotów znów wystrzelić. Panowała cisza. Próbował wstać... ale nie dał rady. Coś jednak się stało. Ledwie się ruszał Nagle poczuł ból w całej klatce piersiowej: krew pulsowała mu tak gwałtownie, że pochylił się i oparł na rękach. Potrząsnął głową w nadziei, że zacznie wyraźniej widzieć, w nadziei, że ból ustąpi. Lewy bark, lewy bok pod żebrami, lewe ucho, miejsce nad kolanem poniżej biodra - tam odniósł kiedyś rany, z których przeszło miesiąc temu zdjęto mu szwy A więc naruszył sobie zrosty, naciągnął ścięgna i jeszcze nie w pełni sprawne mięśnie. O Chryste! Ale przecież musi wstać, musi dotrzeć do samochodu mordercy, wyciągnąć z niego trupa i uciec

Odrzucił głowę do tyłu skrzywił się z bólu, spojrział na Marie. Właśnie wstawiała powoli na nogi Najpierw przyklękła na jednym kolanie, oparła się o ścianę budynku hotelowego i zaczęła się dźwigać w górę. Za chwilę wstanie, potem pobiegnie. Ucieknie.

Na to nie może jej pozwolić! Przecież gdy ona wpadnie z wrzaskiem do hotelu, zbiegną się ludzie, niektórzy, by go obezwładnić, niektórzy, by zabić. Musi ja zatrzymać!

Wyciągnął się i zaczął turlać w lewo w zawrotnym tempie, jak manekin, nad którym

stracono kontrolę. Zatrzymał się półtora metra od ściany, półtora metra od Marie. Podniósł broń i wycelował w jej głowę.

- Niech mi pani pomoże wstać - powiedział, sam wyczuwając napięcie w swoim głosie,

- Co?

- Słyszała pani! Proszę pomóc mi wstać.

- Mówił pan, że mnie teraz puści! Dał mi pan słowo!

- Muszę je cofnąć...

- Proszę, niech pan tego nie robi.

- Broń wycelowana jest w pani twarz. Podejdzie tu pani i pomoże mi wstać. W przeciwnym razie strzełę.

Wyciągnął trupa z samochodu, a kobiecie kazał usiąść za kierownicą. Sam otworzył tylne drzwi i wczuł się na siedzenie, tak żeby nie było go widać.

- Niech pani jedzie - rozkazał. - Tam gdzie każe.

Kiedy sam znajdziesz się w trudnej sytuacji - i będziesz miał czas do namysłu - postępuj tak, jakbyś postępował na miejscu kogoś, kogo miałbyś okazję obserwować. Umysł twój musi się odprężyć, niech myśli i obrazy powstają w nim swobodnie. Spróbuj nie narzucać im żadnej dyscypliny. Bądź jak gąbka, skup się na wszystkim i na niczym. A wtedy mogą ci przyjść do głowy konkretne rozwiązania, mogą się uruchomić pewne pomysły zepchnięte w zakamarki mózgu, teraz przywołane jakby na skutek impulsu elektrycznego.

Bourne'owi, który próbował jakoś ulokować się na tylnym siedzeniu i chciał choć trochę się opanować, przypomniały się słowa Washburna. Zaczął masować sobie klatkę piersiową, delikatnie pocierając obolałe mięśnie wokół starej rany. Wciąż odczuwał ból, ale już nie tak przejmujący jak przed kilkoma minutami.

- Nie może pan ot tak, po prostu kazać mi jechać! - krzyknęła Marie St. Jacques. - Nie wiem, dokąd jedziemy!

- Ja też nie - odparł Jason. Poleciał jej jechać droga nad jeziorem, bo było ciemno i musiał mieć czas do namysłu. Gdyby tylko udało mu się udawać gąbkę.

- Ludzie będą mnie szukać! - wykrzyknęła.

- Mnie też szukają.

- Zmusił mnie pan wbrew mojej woli. Uderzył mnie pan, i to nie raz. - Powiedziała to trochę ciszej, usiłując się opanować - To jest porwanie, i napaść... a to poważne przestępstwa. Już się pan znalazł poza hotelem, a mówił pan, że tylko o to chodzi. Niech mnie pan puści, a nikomu nic nie powiem. Przysięgam!

- To znaczy, da mi pani słowo?

- Tak!

- Ja też dałem pani słowo, a potem je cofnąłem. Pani mogłaby zrobić to samo.

- Nie jestem taka jak pan. Ja tego nie zrobię. Mnie nikt nie chce zabić! Och, Boże! Proszę mnie puścić!

- Niech pani jedzie dalej.

Jedno było dla niego jasne: mordercy widzieli, że pośpiesznie uciekając porzucił walizkę. A ona jednoznacznie świadczyła o tym, że jej właściciel zamierza wyjechać z Zurychu, i niewątpliwie ze Szwajcarii. Czyli że na pewno będą na niego czekali zarówno na dworcu kolejowym, jak i na lotnisku. Będą też poszukiwali samochodu tego faceta, którego Bourne zabił, a który najpierw chciał jego zabić.

Nie może więc jechać ani na lotnisko, ani na dworzec. Poza tym musi się pozbyć tego samochodu i znaleźć inny. Na szczęście, ma na to środki. Ma przy sobie sto tysięcy franków szwajcarskich i ponad szesnaście tysięcy francuskich - szwajcarskie w oprawie paszportu, francuskie w portfelu ukradzionym markizowi de Chambord. To o wiele więcej, niż trzeba zapłacić za przerzut do Paryża.

Dlaczego właśnie tam? To miasto działało jak magnes przyciągając go do siebie w niewytłumaczalny sposób.

Nie jesteś bezradny. Poradzisz sobie... kieruj się instynktem, oczywiście również rozsądkiem.

Do Paryża.

- Była pani już w Zurychu? - spytał swoją zakładniczkę.

- Nigdy.

- Chyba pani nie kłamie?

- Nie mam powodu, by panu kłamać! Proszę mi pozwolić się zatrzymać. Niech mnie pan puści!

- Jak dawno pani tu przyjechała?

- Tydzień temu. Konferencja trwała tydzień.
- Miała więc pani czas trochę się rozejrzeć, trochę pozwiedzać.
- Prawie nie wychodziłam z hotelu. Nie miałam czasu.
- Program konferencji, który widziałem na tablicy, nie wyglądał na specjalnie przeładowany. Tylko dwa referaty dziennie.
- Ale to były referaty specjalnie zaproszonych gości i rzeczywiście nie więcej niż dwa dziennie. Niemniej większość naszej pracy polegała na czymś innym, to znaczy na debatach... w niewielkich grupach. Dziesięcio-, piętnastoosobowych, uczestnicy z różnych krajów, o różnych zainteresowaniach.
- Pani jest z Kanady?
- Tak, pracuję dla rządu kanadyjskiego...
- Tytuł „doktor” nie oznacza więc, że jest pani lekarzem.
- Jestem ekonomistką. Z Uniwersytetu McGill. Ukończyłam Pembroke College w Oksfordzie.
- Jestem pełen podziwu.
Nagle jakby specjalnie piskliwym głosem powiedziała:
- Moi przełożeni oczekują mnie. Dziś wieczorem. Jeżeli się nie pokażę, będą zaniepokojeni. Na pewno zaczną poszukiwania i powiadomią policję.
- Rozumiem - powiedział. - Należy to przemyśleć. - Uświadomił sobie nagle, że mimo przerażenia i gwałtownych wydarzeń ostatniej pół godziny Marie St. Jacques nie wypuściła torebki z ręki. Pochylił się do przodu i krzywiąc z bólu, który gwałtownie się zaostrzył, rzekł:
- Niech mi pani da swoją torebkę.
- Co? - Szybko zdjęła rękę z kierownicy i chwyciła torebkę, na próżno usiłując ją zatrzymać.
- Niech pani dalej prowadzi, pani doktor - powiedział sięgając prawą ręką nad oparciem, wbijając palce w skórę torby i zabierając ją na swoje siedzenie. Potem rozparł się wygodnie.
- Nie ma pan prawa... - urwała, zdając sobie sprawę z tego, na ile bezsensowna jest ta uwaga.
- Wiem o tym - odparł.
Otworzył torebkę, włączył boczną lampkę i przysunął się bliżej światła, by obejrzeć zawartość. Jak można było oczekiwać po właścicielce w torbie panował idealny porządek. Paszport, portfel, portmonetka, klucze, a w tylnej kieszeni posegregowane notatki i listy. Szukał konkretnego, mianowicie tego w żółtej kopercie, wręczonej kobiecie przez recepcjonistę hotelu „Carillon du Lac”. Znalazł go, otworzył kopertę i wyjął złożony arkusz papieru. Był to telegram z Ottawy.

Codzienne sprawozdania pierwszorzędne. Urlop udzielony. Spotkamy się na lotnisku w środę 26. Numer lotu podaj telefonicznie lub telegraficznie. W Lyonie koniecznie bądź w Beau Meuniere. Wspaniała kuchnia.

Całuję Peter

Jason włożył telegram z powrotem do torebki. Zobaczył w niej małe reklamowe zapalki w białej błyszczącej oprawce z ozdobnym zakrętasem. Wyjął je i przeczytał napis. „Kronehalle”. Restauracja... Restauracja. Coś go zaniepokoiło. Jeszcze nie wiedział co, ale było to coś, co dotyczyło restauracji. Zatrzymał zapalki, zamknął torebkę, pochylił się i rzucił ją na przednie siedzenie.

- Tylko to chciałem zobaczyć - powiedział sadowiąc się z powrotem w kącie i przyglądając zapalkom. - Chyba wspominała pani coś o „kilku słowach z Ottawy” A wiec otrzymała je pani. Do dwudziestego szóstego jest ponad tydzień.

- Bardzo proszę...

Prośba zabrzmiała jak błaganie o pomoc. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale nie mógł na nią odpowiedzieć we właściwy sposób. Będzie potrzebował tej kobiety jeszcze przez jakąś godzinę, potrzebował tak, jak kulawy potrzebuje kuli, albo ujmując to trafniej: jak człowiek, który nie może sam prowadzić samochodu, potrzebuje kierowcy. Lecz nie tego samochodu.

- Niech pani zawróci - rozkazał. - Do hotelu „Carillon”.

- Do... hotelu?

- Tak - rzucił wpatrując się w zapalki, które wciąż obracał w palcach w świetle lampki. - Potrzebny nam jest nowy samochód.

- Nam? Nie, nie zrobi pan tego. Nie pojedę ani... - znów przerwała w połowie zdania, w połowie myśli. Najwyraźniej przysła jej do głowy inna myśl. W milczeniu kręciła zawzięcie kierownicą, aż samochód zawrócił na ciemnej drodze nad jeziorem. Nacisnęła pedał gazu tak mocno, że samochód pomknął jak strzała; koła nagle zawirowały z zawrotną szybkością. Zaraz potem, mocno trzymając kierownicę, usiłowała się opanować.

Bourne podniósł wzrok znad zapalek i spojrzał na tył jej głowy, na długie ciemnorude włosy, połyskujące w świetle. Wyjął rewolwer z kieszeni i ponownie pochylił się w jej stronę. Uniósł broń nad jej ramię i przytknął lufę do policzka.

- Niech pani uważnie mnie posłucha. Zrobi pani dokładnie to, co każe. Będzie się pani trzymała mojego boku, a ja w kieszeni będę miał ten rewolwer, wycelowany dokładnie w pani żołądek, podobnie jak teraz w pani głowę. Jak pani widziała, walczę o życie i nie zawaham się pociągnąć za spust. Niech pani traktuje to poważnie.

- Rozumiem - szepnęła w odpowiedzi. Oddychała przez rozchylone usta, była przerażona.

Jason odjął lufę od policzka kobiety uważając, że dostatecznie ją przekonał.

Był zadowolony, lecz zarazem odczuwał bunt.

Umyst twój musi się odprężyć... Zapalki. O co chodzi z tymi zapalkami? To nie chodzi o zapalki, lecz o coś, co wiąże się z restauracją, nie z „Kronehalle”, ale w ogóle z restauracją. Potężne belki, światło świec, czarne... czarne trójkąty na zewnątrz. Biały kamień i czarne trójkąty. Trzy?... Trzy czarne trójkąty.

Ktoś tam jest... w restauracji z trzema trójkątami od frontu. Obraz był taki wyraźny, taki żywy... i taki niepokojący. O co chodzi? Czy takie miejsce w ogóle istnieje?

Mogą ci przyjść do głowy konkretne rozwiązania, mogą się uruchomić pewne pomysły...

Czy to dzieje się teraz? O Chryste, nie wytrzymam tego!

W odległości kilkuset metrów widać było światła „Carillon du Lac”. Bourne nie przemyślał dokładnie swoich ruchów; działał opierając się na dwóch przypuszczeniach. Po pierwsze, zakładał, że mordercy nie pozostali w hotelu. Z drugiej strony jednak nie miał zamiaru wpaść w zastawioną przez siebie samą pułapkę. Znał dwóch morderców, ale jeżeli są tam teraz jacyś inni, na pewno ich nie rozpozna.

Główny parking położony był za kolistym podjazdem, po lewej stronie hotelu.

- Niech pani zwolni - rozkazał. - I skreśli w pierwszą w lewo.

- To jest tylko wyjazd - zaprotestowała pełnym napięcia głosem - Wjedziemy pod prąd.

- Ale nikt akurat nie wyjeżdża. No, śmiało! Niech pani wjedzie na parking i zatrzyma się tam, gdzie nie ma latarni.

Nikt nie zwracał na nich uwagi, a to dzięki scenie, jaka się rozgrywała przed zadaszonym wejściem do hotelu. Na kolistym podjeździe stały cztery samochody policyjne z sygnałami świetlnymi na dachach. Ich pulsujące światło stwarzało dookoła atmosferę sytuacji krytycznej. Wśród tłumu podekscytowanych gości hotelowych Jason dostrzegł

umundurowanych funkcjonariuszy. Zadawali pytania, odpowiadali na pytania zgromadzonych, sprawdzali tożsamość gości, którzy odjeżdżali, odprowadzani do samochodów przez pracowników hotelu w czarnych garniturach.

Marie St. Jacques przejechała przez parking docierając do jego nie oświetlonej części i zatrzymała się na otwartej przestrzeni po prawej stronie. Wyłączyła silnik i siedziała bez ruchu patrząc przed siebie.

- Niech pani uważa - powiedział Bourne opuszczając szybę w samochodzie - i robi wszystko powoli. Proszę otworzyć drzwi i wysiąść, stanąć przy moich i pomóc mi przy wysiadaniu. Niech pani pamięta, szyba jest opuszczona, a ja trzymam broń. Dzieli nas tylko kilkadziesiąt centymetrów, nie mogę więc chybić.

Zastosowała się do jego poleceń; poruszała się jak przerażony robot. Jason przytrzymał się ramy okna, podciągnął i wysunął na zewnątrz. Przerzucił ciężar ciała z jednej nogi na drugą i stwierdził, że łatwiej jest mu się poruszać. Mógł chodzić Niezbyt sprawnie, bo kulał, ale mógł.

- Co ma pan zamiar zrobić? - zapytała jak gdyby bojąc się usłyszeć jego odpowiedź.

- Czekać. Prędzej czy później ktoś tu podjedzie i zaparkuje samochód. Niezależnie od tego, co się wydarzyło w hotelu, jest teraz pora kolacji. Ludzie dokonali rezerwacji, umówili się na spotkania, z których wiele to spotkania w interesach. Na pewno nie zmienią planów.

- A kiedy rzeczywiście zatrzyma się tu jakiś samochód, jak go pan zajmie? - Zamilkła, po czym sama sobie odpowiedziała: - Och. Boże, pan chce zabić kierowcę tego samochodu.

Chwycił ją za ramię. Tuż obok widział jej przerażoną, białą jak kreda twarz. Musi mieć władzę nad tą kobietą utrzymując ją w ciągłym strachu, ale nie może przeholować, bo ona wpadnie w histerię.

- Zabiję, jeżeli będę musiał, ale chyba nie będzie to konieczne. Samochody odprowadza tu obsługa parkingu. Kluczyki zostawiają zazwyczaj albo za osłoną przeciwsłoneczną, albo pod fotelem. To ułatwia sprawę.

Na kolistym podjeździe wystrzeliły z ciemności światła reflektorów. Podjeżdżał szybko mały samochód coupé, prowadzony najwyraźniej przez kogoś z obsługi parkingu. Jechał wprost na nich. Bourne zaniepokoił się, ale widok wolnej przestrzeni obok rozwił jego obawy. Reflektory świeciły wydobywając ich z ukrycia.

Zarezerwowany stolik... W restauracji. Jason podjął decyzję: skorzysta z okazji.

Z samochodu wysiadł chłopak z obsługi i położył kluczyki pod fotelem. Przechodząc na tył samochodu spojrzął na nich i skinął głową. Nie bez zaciekawienia. Bourne odezwał się po francusku:

- Hej, młody człowieku! Może mógłby nam pan pomóc?

- Słucham, proszę pana. - Chłopak zbliżył się do nich z wahaniem, ostrożnie. Najwyraźniej był pod wrażeniem wydarzeń w hotelu.

- Nie czuję się zbyt dobrze, wypilem trochę za dużo tego waszego wspaniałego szwajcarskiego wina.

- Zdarza się, proszę pana. - Chłopak uśmiechnął się z ulgą.

- Moja żona była zdania, że zanim ruszę do miasta, lepiej zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

- To dobry pomysł, proszę pana.

- Czy tam w środku ciągle takie zamieszanie? Miałem wrażenie, że policjant nas nie wypuści, chyba że na własnym mundurze zobaczy dowód, jak bardzo mi niedobrze.

- Tak, proszę pana, okropne zamieszanie. Wszędzie policja... Ale polecono nam nie rozmawiać na ten temat.

- To rozumiem. Chcę pana tylko o coś zapytać, bo mamy problem. Mój współpracownik przyleciał dziś po południu i umówiliśmy się w restauracji, ale zapomniałem jej nazwy. Znam ją, nie pamiętam jednak, gdzie się znajduje ani jak się nazywa. Pamiętam

tylko, że od frontu są tam takie trzy dziwaczne kształty... jakby coś w rodzaju ozdoby. Chyba to trójkąty.

- Ach, to restauracja „Drei Alpenhäuser”, proszę pana. To znaczy „Trzy Alpejskie Chaty”. Mieści się na bocznej uliczce odchodzącej od Falkenstrasse.

- Tak, niewątpliwie to o nią chodzi! A żeby tam dojechać, musimy... - Bourne przeciągał słowa, jak ktoś, kto po wypiciu zbyt dużej ilości wina usiłuje się skoncentrować.

- Wyjeżdżając stąd należy skręcić w lewo. Potem jechać z sześć kilometrów Uto Quai aż do dużego moła i tam skręcić w prawo. Ta ulica doprowadzi państwa do Falkenstrasse. A kiedy już miniecie państwo Seefeld, bez trudu traficie na uliczkę z restauracją. Na rogu jest szyld.

- Dziękuję bardzo. Czy będzie pan tutaj, kiedy wrócimy za kilka godzin?

- Pracuję dziś do drugiej rano, proszę pana.

- Świetnie. Poszukam więc pana i w bardziej konkretny sposób wyrażę swoją wdzięczność.

- Dziękuję panu. Czy mam panu pomóc stąd wyjechać?

- Nie, dziękuję, już dostatecznie pan nam pomógł. Powinienem jeszcze trochę pospacerować.

Chłopak zasalutował i ruszył w stronę hotelu. Jason kuśtykając poprowadził Marie do małego coupé.

- Niech się pani pośpieszy. Kluczyki są pod fotelem.

- A co pan robi, jeżeli nas zatrzymają? Ten chłopak zobaczy, że odjeżdżamy nie swoim samochodem. Będzie wiedział, że go ukradliśmy!

- Wątpię. Jeżeli zaraz ruszymy, niczego nie zauważy; ledwie zdąży zmieszać się z tłumem.

- A jeżeli zauważy?

- Wtedy wszystko zależy od pani. Mam nadzieję, że umie pani szybko jeździć - powiedział Bourne popychając ją w stronę drzwi. - Niech pani wsiada.

Chłopak z obsługi skręcił za róg, nagle przyśpieszając kroku! Jason wyciągnął rewolwer i pokuśtykał szybko obchodząc maskę samochodu; oparł się o nią i wycelował broń w przednią szybę. Otworzył drzwi od strony miejsca pasażera i wsiadł.

- Do jasnej cholery! Powiedziałem, żeby pani wzięła kluczyki.

- Dobrze... nie potrafię teraz myśleć.

- To niech się pani postara!

- Och, Boże... - Sięgnęła pod fotel i zaczęła obmacywać wykładzinę na podłodze, aż w końcu natrafiła na małe skórzane etui.

- Niech pani włączy silnik, ale nie cofa samochodu, dopóki nie powiem.

Czekał, bo wydawało mu się, że na kolistym podjeździe pojawią się za chwilę światła reflektorów. Myślał, iż chłopak przyśpieszył nagle kroku dlatego, że zobaczył tam jakiś samochód, którym powinien się zająć i odstawić go na parking. Reflektory jednak się nie pokazały, czyli że chłopak musiał mieć inny powód do pośpiechu. Dwoje nieznanymi ludźmi na parking.

- Niech pani rusza. Szybko. Chcę stąd wyjechać.

Marie wrzuciła wsteczny bieg i po paru sekundach wyjeżdżali już na ulicę prowadzącą nad jeziorem. Nagle na łuku drogi przed nimi pojawiła się taksówka.

- Zwolnić - rozkazał.

Wstrzymał oddech, zerknął przez przeciwległe okno na to, co się dzieje przed wejściem do hotelu. Już rozumiał, dlaczego chłopak nagle zaczął prawie biec. Otóż przed hotelem wybuchła sprzeczka między policją a grupą gości. Musieli oni ustawić się w kolejce, żeby przed odjazdem policja sprawdziła ich tożsamość. Z tego powodu wszyscy spóźnią się na umówione spotkania, nic więc dziwnego, że ci niewinni ludzie wpadli w gniew.

- Jedźmy - rzucił Jason znów krzywiąc się z bólu, który przeszył mu klatkę piersiową.
- Jesteśmy czyści.

Wrażenie było obezwładniające, dziwne i niesamowite. Trzy trójkąty wyglądały dokładnie tak, jak je sobie wyobrażał: grube ciemne belki tworzyły coś w rodzaju płaskorzeźby na tle białego kamienia. Trzy identyczne trójkąty wyobrażały jakby dachy chat w dolinie zasypanej tak głębokim śniegiem, że niższych partii budynków nie było widać. Nad trzema wierzchołkami widniała nazwa restauracji wypisana gotyckim pismem. „Drei Alpenhäuser”. Pod belką tworzącą podstawę środkowego trójkąta było wejście - dwuskrzydłowe drzwi sklepione łukiem, z masywnymi kutymi pierścieniami z żelaza, typową ozdobą alpejskich zaników.

Okoliczne budynki z cegły stojące po obu stronach wąskiej uliczki były odrestaurowanymi zabytkami, świadectwem długiej historii Zurychu i Europy. Uliczkę zamknięto dla ruchu samochodowego; widać było na niej jedynie eleganckie powozy konne, z ubranymi w cylindry stangretami na wysokich kozłach. Wszędzie świeciły lampy gazowe. Jest to uliczka pełna śladów zapomnianych wspomnień, pomyślał mężczyzna, który nie miał żadnych wspomnień.

A jednak to nieprawda, jedno wspomnienie było żywe i niepokojące. Trzy ciemne trójkąty, ciężkie belki i światło świec. Miał rację. To wspomnienie Zurychu. Lecz z innego życia.

- Jesteśmy na miejscu - powiedziała kobieta.
- Wiem.
- Niech pan mi powie, co robić! - krzyknęła. - Właśnie mijamy tę uliczkę.
- Proszę jechać co następnej przecznicy i skręcić w lewo. Potem objechać cały kwartał i dopiero wtedy tu zatrzymać.
- Dlaczego?
- Sam chciałbym wiedzieć.
- Co?
- No więc dlatego, że tak powiedziałem.

Ktoś tam jest... w restauracji. Dlaczego nie pojawiają się inne obrazy? Inny obraz. Twarz.

Dwa razy przejechali mijając restaurację. Weszły do niej osobno dwie pary i czworo innych ludzi. Wyszedł jeden mężczyzna i skierował się w stronę Falkenstrasse. Sądząc po samochodach zaparkowanych przy krawężniku, w restauracji była umiarkowana liczba gości. Zwiększył się za dwie godziny, jako że większość woli jeść wieczorny posiłek raczej koło wpół do jedenastej niż o ósmej. Nie było sensu dłużej zwlekać. Nic więcej nie przyszło Bourne'owi do głowy. Mógł tylko siedzieć i obserwować mając nadzieję, że coś mu się nasunie. Coś. No bo jednak, coś się nasunęło. Zapalki przywołały obraz z rzeczywistości. W tej rzeczywistości kryje się jakaś prawda, którą musi odkryć.

- Niech pani się zatrzyma przed ostatnim samochodem. Wrócimy tam pieszo.

Marie wykonała rozkaz w milczeniu, nie komentując go ani nie wyrażając protestu. Jason spojrział na nią, bo jej reakcja była zbyt potulna, inna niż poprzednie. Zrozumiał. Dostała nauczkę. Niezależnie od tego, co się mogło wydarzyć w „Drei Alpenhäuser”, potrzebował tej kobiety aż do końca. Musi wywieźć go z Zurychu.

Samochód zatrzymał się, opony zaszurały o krawężnik. Wyłączyła silnik i zaczęła wyjmować kluczyki - powolnym, zbyt powolnym ruchem. Wyciągnął rękę i chwycił ją za nadgarstek. Kobieta patrzyła na niego w mroku, wstrzymując oddech. Przesunął palce po jej ręce, aż natrafił na etui z kluczykami.

- Wezmę je - powiedział.
- Naturalnie - odparła trzymając z boku lewą rękę w jakiś nienaturalny sposób, opartą

o tapicerkę drzwi.

- Niech pani wysiada i stanie przy masce - rozkazał. - Tylko bez głupstw.

- Po co miałabym robić głupstwa? Przecież by mnie pan zabił.

- No dobrze. - Sięgnął do klamki udając, że jest mu trudno ją nacisnąć. Odwrócił głowę od kobiety i otworzył gwałtownie drzwi.

Nagle rozległ się szelest jedwabiu, powietrze wtargnęło do samochodu bardziej raptownie. Drzwi od strony Marie otworzyły się z hukiem, już prawie wysiadła na ulicę. Lecz Bourne był na to przygotowany, wiedział swoje. Odwrócił się gwałtownie, wyciągnął lewe ramię, zacisnął dłoń jak kleszcze na jedwabiu jej sukni między łopatkami. Wciągnął kobietę z powrotem do środka i chwytając ją za włosy szarpnął do siebie, tak że dotykała głową jego piersi, twarz mając odwróconą ku górze, tuż przy jego twarzy,

- Już więcej tego nie zrobię - załkała; łzy pociekły jej z oczu. - Przysięgam, że nie takiego już nie zrobię.

Sięgnął ręką do jej drzwi, zatrzasnął je i patrzył na nią bacznie, usiłując zrozumieć własną reakcję. Pół godziny temu w innym samochodzie, kiedy przyłożył Marie lufę do policzka grożąc, że w razie niebezpieczeństwa ją zabije, ogarnęło go uczucie mdłości. Teraz jednak nic podobnego nie odczuwał - tą jawnie przeprowadzoną akcją kobieta przekroczyła granicę. Stała się wrogiem, zagrożeniem. W razie konieczności potrafiłby ją zabić, zabić z zimną krwią, bo ze względów praktycznych byłoby to jedynym wyjściem.

- Niech pan coś powie - szepnęła. Ciałem jej wstrząsnął dreszcz, ciemny jedwab sukni napinał się na falujących piersiach, oddech miała ciężki. Chwyciła się za nadgarstek chcąc zapanować nad sobą i po chwili trochę się uspokoiła. W końcu znów się odezwała, tym razem nie szeptem, jej głos brzmiał monotonicznie: - Powiedziałam, że już tego nie zrobię, i dotrzymam słowa.

- Niestety, wiem, że znów będzie pani próbowała - odpowiedział spokojnie. - Przyjdzie taka chwila, kiedy pomyśli pani, że tym razem może się udać, i wtedy spróbuje pani. Ale niech mi pani wierzy, jak mówię, że to się pani nie uda. Przy następnej próbie zabiję panią. Nie chciałbym zabić, bo można by tego uniknąć, naprawdę można. Ale jeżeli zacznie mi pani zagrażać... a próba ucieczki to właśnie dla mnie zagrożenie... będę musiał się bronić.

Wyraził prawdę tak, jak ją rozumiał. U podstaw decyzji leżały powody podobnie zdumiewająco nieskomplikowane dla niego, jak proste okazało się podjęcie samej decyzji. Zabicie stanowiło kwestię wyłącznie praktyczną.

- Mówił pan, że mnie puści - odezwała się. - Ale kiedy?

- Kiedy będę bezpieczny. Kiedy już nie będzie miało znaczenia to, co pani powie czy zrobi.

- A kiedy to nastąpi?

- Mniej więcej za godzinę. Kiedy wyjedziemy z Zurychu i będę już w drodze dokądś. Ale pani nie będzie wiedziała, dokąd pojedę ani jak.

- Dlaczego miałabym panu wierzyć?

- Nic mnie to nie obchodzi, czy pani wierzy, czy nie. - Puścił ją. - Niech się pani pozbiera. Wytrze oczy i uczesze się. Zaraz wchodzimy do restauracji.

- A co tam jest?

- Sam chciałbym to wiedzieć - odparł zerkając przez tylną szybę na drzwi „Drei Alpenhäuser”.

- Już pan to mówił.

Spojrzał na nią, na szeroko otwarte brązowe oczy, które szukały jego wzroku. Szukały w przerażeniu i oszołomieniu.

- Wiem. Niech się pani pośpieszy.

Wysoki sufit alpejskiej restauracji był belkowany, drewniane stoły i krzesła wyglądały

masywnie, pod ścianami mieściły się gabinety, a salę oświetlało światło świec. Wędrował po niej akordeonista grając bawarską *Musik*, której stłumione, przebijające się przez szum głosów tony tworzyły specjalną atmosferę.

Bourne znał tę dużą salę: belki i świece wryły mu się w pamięć, podobnie jak dźwięki muzyki. Był tu w innym życiu. Teraz, stanęli w niewielkim foyer przed stanowiskiem *maitre d'hôtel*, który im się uklonił.

- *Haben Se einen Platz reserviert, mein Herr?*

- Jeżeli pyta pan o to, czy mam zarezerwowany stolik, to obawiam się, że nie. Ale ktoś mi bardzo polecał tę restaurację. Mam więc nadzieję, że znajdzie pan dla nas jakieś miejsca. Jeżeli to możliwe, chciałbym dostać, gabinet.

- Ależ oczywiście, proszę pana. Jeszcze jest wcześnie, nie mamy kompletu. Proszę tędy.

Zaprowadził ich do gabinetu zajmującego najbliższy narożnik. Na środku stołu stała migocząca świeca. Zaproponował im ten najbliższy gabinet, bo zauważył, że mężczyzna kuleje i wspiera się na ramieniu kobiety. Jason dał ruchem głowy znak Marie, żeby usiadła, po czym sam wsunął się za stół i usiadł naprzeciwko niej.

- Niech się pani przesunie pod ścianę - rozkazał, kiedy *maitre d'hôtel* odszedł. - Niech pani pamięta, że w kieszeni mam rewolwer i wystarczy, bym podniósł stopę, a znajdzie się pani w sytuacji bez wyjścia,

- Mówiłam, że nie będę próbowała nic robić.

- Mam nadzieję, że dotrzyma pani słowa. Proszę zamówić drinka, nie mamy czasu na jedzenie.

- I tak nic bym nie przełknęła. - Znów chwyciła się za nadgarstek. Widać było, jak drży jej ręka. - Ale dlaczego nie mamy czasu? Na co pan czeka?

- Nie wiem.

- Dlaczego wciąż to pan powtarza? Wciąż tylko „nie wiem” albo „sam chciałbym to wiedzieć”. Po co tu przyjechaliśmy?

- Bo już tu kiedyś byłem.

- To żadna odpowiedź!

- Nie ma powodu, bym pani odpowiadał.

Podszedł kelner. Marie zamówiła wino, a Bourne szkocką, bo czuł, że musi się napić czegoś mocniejszego. Rozejrzał się po restauracji usiłując się skupić „na wszystkim i na niczym”. Jak gąbka. Ale znalazł tylko nic. W umyśle jego nie pojawił się żaden obraz, ani jedna myśl nie wypełniła pustki w głowie. Nic.

Aż nagle po przeciwnej stronie sali zobaczył twarz. Szeroką twarz, dużą głowę, otyłe ciało oparte o ścianę w ostatnim gabinecie, tuż przy zamkniętych drzwiach. Tęgi mężczyzna pozostawał w mroku swojego stanowiska obserwacyjnego, jak gdyby mrok był jego zabezpieczeniem, a nie oświetlona część podłogi jego sanktuarium. Wzrok miał wbity w Jasona, a w jego oczach malował się w takim samym stopniu strach co niedowierzanie. Bourne nie znał tej twarzy, ale jej właściciel wiedział, kim on jest. Grubas podniósł palce do ust, wytarł ich kąciki i zaczął przenosić wzrok z jednego gościa na drugiego. Tak lustrował stolik po stoliku. Dopiero potem rozpoczął najwyraźniej bolesną wędrówkę przez salę do gabinetu Jasona i Marie.

- Idzie tu do nas jakiś mężczyzna - rzucił Jason nad płomykiem świecy. - To tęgi facet, boi się. Niech się pani nie odzywa niezależnie od tego, co będzie mówił, proszę trzymać język za zębami, i nie patrzeć na niego. Niech pani podniesie głowę i oprze się swobodnie na łokciu, i patrzy na ścianę, nie na niego.

Kobieta ściągnęła brwi i podniosła prawą rękę do twarzy. Palce jej drżały. Usta ułożyły się tak, jakby chciała o coś spytać, ale nie powiedziała ani słowa. Jason jednak odpowiedział na to nie zadane pytanie.

- Dla pani własnego dobra. Po co miałby panią później rozpoznać.

Grubas wyłonił się zza krawędzi gabinetu. Bourne zdmuchnął świecę, przez co przy stoliku zrobiło się dość ciemno. Tamten spojrział na niego z góry i odezwał się niskim, pełnym napięcia głosem.

- *Lieber Gott!* Po co pan tu przyszedł? Co takiego zrobiłem, że stawia mnie pan w takiej sytuacji?

- Jak pan wie, smakuje mi tutejsza kuchnia.

- Czy jest pan wyzuty z wszelkich uczuć? Mam rodzinę: żonę i dzieci. Zrobiłem tylko to, co mi kazano. Dałem panu kopertę, nie zaglądałem do niej, więc nic nie wiem!

- I zapłacono panu za to, prawda? - spytał wiedziony instynktem Jason.

- Tak, ale nic nie powiedziałem. Nigdy się nie spotkaliśmy, nie podałem nikomu pańskiego rysopisu. Z nikim nie rozmawiałem!

- To dlaczego pan się boi? Jestem przecież zwykłym gościem, który czeka, żeby zamówić obiad.

- Błagam niech pan stąd wyjdzie.

- Denerwuje mnie pan. I proszę mi lepiej powiedzieć, o co chodzi. Grubas podniósł rękę do twarzy i znów wytarł palcami kropelki potu, które zrosiły mu skórę wokół ust. Przechylił głowę, zerknął na drzwi i ponownie zwrócił się do Bourne'a:

- Może inni coś powiedzieli, może inni wiedza, kim pan jest. Ja już swoje oberwałem od policji, która oczywiście przyjdzie prosto do mnie.

Marie St. Jacques straciła panowanie nad sobą. Spojrzała na Jasona.

- Policja... To była policja - wymknęło jej się.

Bourne przeszył ją pełnym wściekłości wzrokiem, po czym zwrócił się ponownie do zdenerwowanego grubasa:

- Mówi pan, że policja wyrządzi krzywdę pańskiej żonie i dzieciom?

- Nie bezpośrednio, jak sam pan dobrze wie. Ale przez to, że będzie się mną interesowała, inni nie dadzą mi spokoju. Ani mojej rodzinie. Ilu ludzi pana szuka, rnein Herr? I kim oni są? Ja nie potrzebuję panu na to odpowiadać. Nie cofną się przed niczym... śmierć żony czy dziecka to dla nich drobiazg. Proszę... Zaklinam pana na moje życie, niech pan stąd wyjdzie. Nic nikomu nie mówiłem.

- Przesadza pan. - Jason podniósł drinka do ust, dając tym samym znak, że chce zakończyć rozmowę.

- W imię Boże, niech pan tego nie robi! - Mężczyzna pochylił się chwytając za krawędź stołu. - Chce pan, bym udowodnił, że milczałem. Oto dowód: wiadomość rozpowszechniła „Verbrecherwelt”. Wszyscy posiadający jakiegokolwiek informacje powinni dzwonić pod numer wskazany przez policję w Zurychu. Utrzymane to zostanie w najgłębszej tajemnicy. Co do tego „Verbrecherwelt” nie będzie kłamać. Wyznaczono wysokie nagrody, policja kilku krajów prześle na nie fundusze przez Interpol. Dawne zatargi z prawem rozpatrzone zostaną w nowym świetle. - Konspirator wyprostował się, znów wytarł usta, jego potężna postać górowała nad stołem. - Taki człowiek jak ja mógłby wiele zyskać na lepszych stosunkach z policją. A jednak nic nie zrobiłem. Mimo gwarancji zachowania ścisłej tajemnicy nic nie zrobiłem!

- A inni? Niech mi pan powie prawdę, bo i tak się dowiem, czy pan kłamał.

- Znam tylko Chernaka. To jedyny facet, z którym rozmawiałem, przyznający się do tego, że pana w ogóle widział. Ale pan o tym wie. To przez niego przekazano mi kopertę. On nie zdradzi się słowem.

- A gdzie jest teraz Chernak?

- Tam gdzie zawsze. W swoim mieszkaniu przy Löwenstrasse.

- Nigdy tam nie byłem. Pod którym numerem?

- Nigdy pan nie był?... - Grubas zamilkł, usta mu się ściągnęły, w oczach pojawił się

strach. - Czy pan mnie sprawdza?
 - Niech pan odpowie na pytanie.
 - Pod trzydziestym siódmym. Zna pan ten adres równie dobrze jak ja.
 - No więc rzeczywiście sprawdzam pana. Kto dał kopertę Chernakowi?
 Mężczyzna zamarł; jego problematyczna uczciwość została wystawiona na próbę.
 - Nie mam pojęcia, i nigdy się nie dowiem.
 - Nie był pan ciekaw?
 - Oczywiście że nie. Kozioł nie pcha się z własnej woli do kryjówki wilka.
 - Kozły stąpają pewnie po ziemi i mają doskonały węch.
 - Ale są ostrożne, mein Herr. Bo wilk jest szybszy, zdecydowanie bardziej agresywny.
 Skończyłoby się na jednym polowaniu. Dla kozła ostatnim.
 - Co było w kopercie?
 - Już mówiłem, że jej nie otwierałem.
 - Ale wie pan, co w niej było.
 - Myślę, że pieniądze.
 - Myśli pan?
 - No więc dobrze, pieniądze. Dużo pieniędzy. Jeżeli coś się nie zgadzało, ja nie miałem z tym nic wspólnego. A teraz proszę, niech pan stąd wyjdzie!
 - Na co były te pieniądze?
 Tłuszcioch patrzył z góry na Bourne'a głośno sapiąc; na jego policzkach błyszczały kropelki potu.
 - Zadaje mi pan katusze, mein Herr, ale ja je zniosę. Można to nazwać odwaga nic nie znaczącego kozła, któremu udało się przeżyć. Czytam codziennie gazety. W trzech językach. Pół roku temu zabito człowieka. O jego śmierci donosiły na pierwszych stronach wszystkie gazety.

7

Okrążywszy kwartał uliczek wyjechali na Falkenstrasse i skręcili w stronę Limmat Quai i kościoła Grossmünster. Löwenstrasse położona była po drugiej stronie rzeki, w zachodniej części miasta. Najszybciej można się było tam dostać przez most Münster i Nuscheierstrasse. Jak się dowiedzieli od pary wchodzącej do „Drei Alpenhäuser”, ulice te przecinały się.

Marie St. Jacques milczała zaciskając dłonie na kierownicy tak samo mocno, jak podczas dramatycznych wydarzeń w hotelu „Carillon” ścisnęła pasek torebki. Najwidoczniej pomagało jej to zachować zdrowa zmysły. Bourne spojrzał na nią ze zrozumieniem.

„...zabito człowieka! O jego śmierci donosiły na pierwszych stronach wszystkie gazety”.

Jasonowi Bourne'owi zapłacono za zamordowanie jakiegoś człowieka, a Policja w kilku krajach przesłała przez Interpol fundusze mające skłonić do mówienia opornych informatorów, żeby rozszerzyć pole poszukiwań. Co oznaczało, że tamten człowiek został zabity...

„Ilu ludzi pana szuka, mein Herr? I kim oni są?... Nie cofną się przed niczym. Śmierć żony czy dziecka to dla nich drobiazg!”

Kim oni są? A więc to nie policja, lecz jacyś inni ludzie.

Na nocnym niebie rysowały się bliźniacze wieże kościoła Grossmünster; światła reflektorów wydobywały tajemnicze cienie. Jason patrzył na starą budowlę - znał ją, podobnie jak wiele innych, a jednocześnie wcale nie znał. Widział ją już kiedyś, a mimo to patrzył na nią jak gdyby po raz pierwszy w życiu.

„Znam tylko Chernaka... To przez niego przekazano mi kopertę... Löwenstrasse

trzydzieści siedem. Zna pan ten adres równie dobrze jak ja”.

Znał ten adres? Czy to możliwe?

Przedostawszy się przez most wjechali w ruchliwe ulice nowszej części miasta. Panował tam tłok. Na każdym skrzyżowaniu samochody szły o lepsze z pieszymi. Czerwone i zielone światła zachowywały się całkiem nieobliczalnie; czasem mijała wieczność, nim światło się zmieniło. Bourne usiłował skupić się na wszystkim... i na niczym. Pomału objawiały mu się zarysy prawdy; jeden tajemniczy kształt wyłaniał się po drugim, a każdy wydawał się bardziej zaskakujący od poprzedniego. Bourne wcale nie był pewien, czy jego umysł cokolwiek jeszcze zdoła wchłonąć.

- *Sie! Fräulein. Ihre Scheinwerfer! Und Sie signalisieren. Unrechter Weg!*

Podniósł wzrok. Świdrujący ból ścisnął mu żołądek. Obok nich zatrzymał się samochód policyjny. Policjant krzychał coś przez otwarte okno. Wszystko stało się nagle jasne. Jasona ogarnęła furia. Ta St. Jacques zobaczyła w bocznym lusterku wóz policyjny, po czym zgasiła reflektory i włączyła lewy kierunkowskaz, sygnalizując skręt w lewo, w ulicę jednokierunkową, choć znak na skrzyżowaniu wyraźnie wskazywał, że w tym miejscu wolno skręcać tylko w prawo. Skręcając w lewo i to tuż przed maską samochodu policyjnego, popełniłaby kilka wykroczeń naraz - byłaby wśród nich jazda bez świateł, a może nawet umyślnie zderzenie z innym samochodem. Zostaliby zatrzymani, a kobieta miałaby okazję, żeby narobić wrzasku.

Bourne błyskawicznie włączył reflektory i przechylając się nad kolanami dziewczyny zgasił kierunkowskaz; drugą ręką chwycił ją mocno za ramię, dokładnie w tym samym miejscu co przedtem.

- Zabiję panią, pani doktor - rzekł cicho, po czym krzyknął przez okno do policjanta:

- Przepraszam! Jesteśmy trochę skołowani, jak to turyści! Mieliśmy zamiar skręcić w następną przecznicę!

Policjant znajdował się niewiele ponad pół metra od Marie St. Jacques; nie odrywał wzroku od jej twarzy, wyraźnie zdumiony brakiem jakiegokolwiek reakcji ze strony kobiety.

Na skrzyżowaniu zmieniło się światło.

- Niech pani rusza, ale pomału. Żadnych głupstw - powiedział Jason. Przez zamknięte okno machnął ręką do policjanta. - Raz jeszcze przepraszam! - wrzasnął.

Policjant wzruszył ramionami i odwrócił się do kolegi, wznowiając przerwana rozmowę.

- Kiedy ja naprawdę byłam skołowana - powiedziała dziewczyna. Jej łagodny głos zadrżał. - Tyle tu samochodów... O Boże, złamał mi pan rękę!... Łajdak!

Bourne puścił ją, zaniepokojony jej wybuchem gniewu. Wolał, kiedy się bała.

- Nie myśli chyba pani, że w to uwierzę? - spytał.

- W to, że złamał mi pan rękę?

- Że była pani skołowana.

- Mówił pan, że niedługo mamy skręcać w lewo, więc myślałam tylko o tym, żeby skręcić.

- Na drugi raz niech pani patrzy, co się dzieje na jezdni. - Odsunął się, ale nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Pan naprawdę zachowuje się jak zwierzę - szepnęła, zamykając na chwilę oczy. Natychmiast je otworzyła, znów ogarnięta trwogą.

Wjechali w Löwenstrasse. Była to szeroka ulica, przy której stały niskie domki z cegły i masywnych belek, wciśnięte między okazy nowoczesnej architektury z gładkiego betonu i szkła. Pełne uroku dziewiętnastowieczne kamieniczki bynajmniej nie traciły w zestawieniu z funkcjonalną nijakością współczesnych budynków. Jason bacznie śledził numery domów: osiemdziesiąt ileś, a dalej coraz niższe numery. Z każdą chwilą rosła liczba starych kamieniczek, natomiast nowoczesne wieżowce mieszkalne stawały się coraz rzadsze, aż

wreszcie cała ulica wróciła w zamierzchłe czasy. Teraz ciągnął się wzdłuż niej już tylko szereg schludnych, dwupiętrowych kamieniczek. Ich dachy i okna obramowane były drewnem. Kamienne schodki z poręczami prowadziły do drzwi ukrytych w niszach, omywanych światłem powozowych latarni. Bourne rozpoznał obraz, którego nie mógł znikąd pamiętać. Nie to jednak go zdumiało, lecz co innego; ten szereg domów przywołał inną scenę - bardzo wyraziste wspomnienie innego szeregu kamienic, podobnych w zarysie, a jednak dziwnie odmiennych. Tamte były zniszczone, starsze, bynajmniej nie tak schludne i zadbane... miały popękane szyby w oknach, a z uszkodzonych poręczy sterczało poszczerbione żelazo. Gdzieś dalej, w innej dzielnicy... Zurychu - tak, bo przecież byli właśnie w Zurychu. W niewielkiej dzielnicy, do której prawie nigdy nie zaglądali ludzie nie będący jej stałymi mieszkańcami, i która pozostała w tyle za resztą miasta, ale nie zachowała staroświeckiego wdzięku.

- Steppdeckstrasse - powiedział sam do siebie, skupiwszy się na obrazie, który ukazał mu się we wspomnieniu. Widział drzwi pokryte resztkami czerwonej farby, tak ciemnej, jak jedwabna suknia kobiety siedzącej obok niego. - Pensjonat... na Steppdeckstrasse.

- Co? - spytała z niepokojem Marie St. Jacques. Najwidoczniej odniosła jego słowa do siebie i wpadła w panikę.

- Nic. - Przestał przyglądać się jej sukience i wyjrzał przez okno. - Tam jest numer trzydzieści siedem - powiedział, wskazując piąty dom w rzędzie. - Niech pani zatrzyma samochód.

Wysiadł pierwszy, a jej kazał przesunąć się na siedzeniu i także wysiąść prawymi drzwiami. Rozruszał nogi na próbę i wziął od niej kluczyki.

- Może pan chodzić - powiedziała dziewczyna. - A skoro tak, to mógłby pan także prowadzić samochód.

- Pewnie mógłbym.

- No to proszę mnie puścić! Zrobiłam wszystko, czego pan ode mnie żądał.

- Jeszcze jeden drobiazg.

- Nikomu nic nie powiem. Czy pan tego nie rozumie? Jest pan ostatnim człowiekiem, którego chciałabym jeszcze raz oglądać na oczy, ostatnim, z jakim chciałabym mieć w jakikolwiek sposób do czynienia. Nie chcę być świadkiem na rozprawie, nie chcę mieć nic wspólnego z policją, nie chcę zeznawać, nic z tych rzeczy! Nie chcę nawet otrzeć się o to, o co pan się ociera! Boję się śmiertelnie... a mój strach gwarantuje panu bezpieczeństwo, nie rozumie pan? Niech pan mnie puści, proszę.

- Nie mogę.

- Pan mi nie wierzy.

- To bez znaczenia. Pani jest mi potrzebna.

- Do czego?

- Musi mi pani pomóc załatwić pewną sprawę, to zupełne głupstwo. Nie mam prawa jazdy. Bez prawa jazdy nie można wynająć samochodu, a ja muszę go mieć.

- Przecież ma pan ten, którym przyjechaliśmy.

- Wystarczy najwyżej na godzinę. Niedługo ktoś wyjdzie z „Carillon du Lac” i zacznie go szukać. Wszystkie radiowozy dostaną opis tego samochodu.

Spojrzała na niego. W jej błyszczących oczach malowała się śmiertelna trwoga.

- Nie chcę tam iść z panem. Słyszałam, co mówił ten człowiek, w restauracji, jeżeli usłyszę coś jeszcze, pan mnie zabije.

- To, co pani dotąd usłyszała, jest dla mnie równie pozbawione sensu jak dla pani, a może nawet bardziej. Chodźmy!

Ujął ją za ramię, drugą ręką opierając się o poręcz, żeby w miarę możliwości oszczędzić sobie bólu przy wchodzeniu po schodach.

Kobieta patrzyła na niego wzrokiem, w którym osłupienie mieszało się ze strachem.

Pod drugą skrzynką na listy widniało nazwisko M. Chernak, a niżej dzwonek. Bourne nie dotknął go, lecz nacisnął sąsiednie cztery. W ciągu paru sekund rozległa się kakofonia głosów, dobywających się z głośniczków zakrytych ażurowymi płytkami. Głosy te, mówiące szwajcarską niemczyzną, dopytywały, kto dzwoni. Jeden z lokatorów nie odezwał się, lecz od razu nacisnął brzęczyk otwierający drzwi. Jason wszedł, popychając przed sobą Marie St. Jacques.

Pchnął ją pod ścianę i odczekał chwilę. Z góry dobiegał odgłos otwieranych drzwi, a potem kroków, zmierzających w stronę schodów.

- *Wer ist da?*

- *Johann?*

- *Wie bitte?*

Cisza, a po chwili słowa wypowiedziane zirytowanym tonem. Znów kroki. Drzwi się zamknęły. M. Chernak mieszkał na pierwszym piętrze, pod numerem 2C. Bourne ujął dziewczynę za ramię, dokuśtykał wraz z nią do schodów i zaczął mozolną wspinaczkę. Kobieta oczywiście miała rację. Byłoby znacznie lepiej, gdyby poszedł bez niej, ale nic nie mógł na to poradzić - naprawdę potrzebował jej pomocy.

Podczas tygodni spędzonych w Port Noir studiował mapy samochodowe - do Lucerny była najwyżej godzina jazdy, a do Berna dwie i pół godziny, może trzy. Mógł pojechać do któregoś z tych dwóch miast, wysadzić dziewczynę po drodze w jakimś odludnym miejscu i zniknąć. Była to wyłącznie kwestia koordynacji wszystkich posunięć. Miał dość pieniędzy, żeby wyrobić sobie odpowiednie kontakty. Potrzebował tylko kanału, którym mógłby wydostać się z Zurychu, a właśnie ona była takim kanałem.

Przed wyjazdem musiał jednak poznać prawdę. Musiał porozmawiać z człowiekiem, który nazywał się...

M. Chernak. Nazwisko to wypisane było na prawo od dzwonka u drzwi. Jason stanął obok nich, pociągając za sobą kobietę.

- Mówi pani po niemiecku? - spytał.

- Nie.

- Niech pani nie kłamie.

- Mówię prawdę.

Bourne rozejrzał się po krótkim korytarzu. Pomyślał chwilę.

- Proszę zadzwonić - powiedział. - Jeżeli drzwi się otworzą, niech pani po prostu stanie w progu. Jeżeli nikt nie otworzy, tylko odezwie się ze środka, proszę powiedzieć, że ma pani wiadomość - pilną wiadomość - od przyjaciela z „Drei Alpenhäuser”.

- A jeśli ten ktoś powie, żebym wsunęła kartkę pod drzwi?

Jason spojrzał na nią.

- Bardzo dobrze - stwierdził.

- Po prostu nie chcę więcej przemocy - powiedziała. - Nie chcę już nic wiedzieć, niczego oglądać. Chcę tylko...

- Wiem - przerwał. - Wrócić do podatków Cezara i wojen punickich. Jeżeli każą pani włożyć kartkę pod drzwi, proszę powiedzieć, że wiadomość jest ustna i może ja pani przekazać tylko komuś, kto będzie odpowiadał znanemu pani rysopisowi.

- A jeśli spyta o ten rysopis? - spytała lodowatym tonem. Zmysł analityczny na moment wzięł górę nad strachem.

- Głowa pracuje, pani doktor - powiedział Jason.

- Jestem po prostu dokładna. Boję się. Już przecież panu mówiłam. Co mam zrobić, jeśli każą mi podać rysopis?

- Niech ich pani pośle do diabła i powie, że kto inny przekaże wiadomość. Potem ma pani iść w stronę schodów.

Podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Z wnętrza dobiegł jakiś dziwny odgłos.

Chrobot - coraz głośniejszy, równomierny. Po chwili dźwięk umilkł, rozległ się natomiast donośny głos.

- *Was ist los?*

- Niestety, nie mówię po niemiecku - powiedziała kobieta.

- *Englisch*. O co chodzi? Kim pani jest?

- Mam pilną wiadomość od przyjaciela z „Drei Alpenhäuser”.

- Proszę wsunąć kartkę pod drzwi.

- To niemożliwe. Nie dano mi nic na piśmie. Muszę osobiście powtórzyć wiadomość człowiekowi, którego wygląd mi opisano.

- To chyba nic trudnego - odparł głos. Szczęknął zamek i drzwi otworzyły się. Bourne odsunął się od ściany i stanął w progu.

- Pan zwariował! - krzyknął mężczyzna mający zamiast nóg dwa kikuty. Siedział na wózku inwalidzkim. - Proszę wyjść! Proszę się stąd wynosić!

- Nie mam ochoty więcej tego słuchać - powiedział Jason, wciągając dziewczynę do mieszkania i zamykając drzwi.

Nietrudno było namówić Marie St. Jacques, żeby podczas rozmowy obu mężczyzn pozostała w niewielkiej alkowie. Posłuchała z ochotą. Beznogi Chernak bliski był paniki. Jego wyniszczona twarz przybrała kolor kredy. Kaleka miał brudne, szpakowate włosy, zmierzwił na czole i karku.

- Czego pan ode mnie chce? - spytał. - Przy ostatniej transakcji przysiągł pan, że to już naprawdę ostatnia! Nic więcej nie mogę zrobić. Nie mogę ryzykować. Byli u mnie posłańcy. Mimo zachowania wszelkiej ostrożności, mimo tylu ogniw pośrednich jednak i tu dotarli! Jeżeli któryś zostawi jeden adres w niewłaściwym miejscu, będzie po mnie!

- Jak na to, ile musiał pan ryzykować, nie jest z panem aż tak źle - powiedział Bourne stojąc przed kaleką. Gorączkowo zastanawiał się nad jakimś słowem czy zdaniem, które mogłoby uruchomić potok informacji. Przypomniawszy sobie o kopercie. „Jeżeli coś się nie zgadzało, ja nie miałem z tym nic wspólnego”. Grubas z „Drei Alpenhäuser”.

- To tylko drobne korzyści w porównaniu z ryzykiem, jakie podjąłem - odparł Chernak, kręcąc głową. Piersi mu falowała. Kikuty nóg wysunięte poza krawędź wózka poruszały się obrzydliwie w tę i z powrotem. - Zanim pojawił się pan w moim życiu, byłem zadowolony, miałem powody do zadowolenia, mein Herr, bo byłem naprawdę drobną płotką. Stary żołnierz, który zdołał jakoś dotrzeć do Zurychu - ofiara wybuchu, kaleka, do niczego niezdatny, posiadający jedynie pewne informacje, których zatajenie skąpo opłacali dawni koledzy. Był to przyzwoity dochód, niewielki, ale wystarczający. A potem pan mnie odnalazł...

- Jestem wzruszony... - przerwał mu Jason. - Porozmawiajmy o kopercie, tej, którą przekazał pan naszemu wspólnemu znajomemu z „Drei Alpenhäuser”. Kto ją panu dał?

- Posłaniec. Któż by inny?

- Skąd ta koperta pochodziła?

- Nie mam pojęcia. Przyszła w pudełku, tak jak wszystkie. Rozpakowałem ją i posłałem dalej. Przecież sam pan chciał, żebym tak zrobił. Mówił pan, że już nie może pan tu przychodzić.

- Ale pan ją otworzył - rzekł Bourne z naciskiem.

- Ależ skąd!

- A gdybym panu powiedział, że zginęła pewna suma.

- Odpowiedziałbym, że nie została wypłacona. Nie było jej w kopercie! - Kaleka podniósł głos. - Ale ja panu nie wierzę. Gdyby było tak, jak pan mówi, nie przyjąłby pan zlecenia. Ale pan przyjął to zlecenie. Więc po co pan teraz przyszedł?

Bo muszę poznać prawdę. Bo już wariuję. Widzę i słyszę rzeczy, których nie rozumiem.

Jestem sprawnym, zaradnym... warzywem! Pomocy!

Bourne odsunął się od wózka. Bez żadnego konkretnego zamiaru podszedł do półki z książkami, na której stało parę fotografii opartych o ścianę. Wyjaśniały one przeszłość człowieka, którego Jason miał za plecami. Żołnierze niemieccy z owczarkami na smyczach, stojący grupami obok baraków ogrodzonych drutem kolczastym...

I przed bramą z takiegoż drutu, nad którą wisiała tablica z napisem, częściowo widocznym na zdjęciu. DACH...

Dachau.

Człowiek za jego plecami. Wykonał jakiś ruch? Jason odwrócił się: kaleka trzymał rękę w płócienną torbie, przymocowanej do wózka; oczy mu płonęły, wyniszczoną twarz ściągnął grymas. Szybko wyjął z torby rękę, w której trzymał rewolwer o krótkiej lufie; zanim Bourne zdążył sięgnąć po broń, inwalida wystrzelił. Strzały padły jeden po drugim. Lodowaty ból przeszył głowę, a potem lewe ramię Jasona - o Boże! Dał nura w prawo, wykonując piruet na dywanie, pchnął w stronę kaleki ciężką lampę stojącą na podłodze, znowu wykonał skręt, aż znalazł się z tyłu za wózkiem. Przykucnął i skoczył przed siebie, wpierając prawy bark w plecy kaleki. Ten wypadł z wózka na podłogę. Bourne sięgnął do kieszeni po broń.

- Zapłacą mi za twojego trupa! - wrzeszczał Chernak, wijąc się na podłodze. Próbował przyjąć pozycję, z której mógłby oddać celny strzał. - Nie pošlesz mnie do grobu! Ja pierwszy ciebie w nim zobaczę! Carlos zapłaci! Jak Boga kocham, zapłaci!

Jason rzucił się w lewo i strzelił. Chernakowi głowa odskoczyła do tyłu, a z gardła trysnęła krew. Nie żył.

Za drzwiami alkowy dobiegł krzyk. Narastał - głuchy, przeciągły skowyt, w którym przeplatały się lęk i odraza. Krzyk kobiety... ależ oczywiście, kobieta! Jego zakładniczka - ta, dzięki której miał się wydostać z Zurychu! O Chryste - na niczym nie może skoncentrować wzroku! Skroń przeszywa mu potworny ból!

Nie docierało do jego świadomości, że ból rozrywa mu czaszkę. Stopniowo odzyskał wzrok. Zobaczył otwarte drzwi łazienki, a za nimi ręczniki, umywalkę i szafkę z lustrem. Wbiegł do łazienki i szarpnął lustro z taką siłą, że wyskoczyło z zawiasów, gruchnęło na podłogę i rozprysło się w drobny mak. Półki. Paczki gazy, plastry i... niczego więcej nie zdążył chwycić. Musiał się czym prędzej wynieść z tego mieszkania. Strzały. Huk wystrzałów mógł kogoś zaalarmować. Bourne wiedział, że musi się stąd wydostać - zabrać zakładniczkę i uciekać! Alkowa, alkowa. Gdzież ona jest?

Krzyk, zawroscenie... trzeba iść za tym dźwiękiem! Dotarł do drzwi i otworzył je kopniakiem. Kobieta... zakładniczka - jakżeż ona ma na imię, do diabła? - stała pod ścianą. Twarz miała zalaną łzami, usta rozchylone. Jason wbiegł do alkowy, złapał kobietę za rękę w przegubie i pociągnął za sobą.

- Mój Boże, zabiłeś go! - krzyczała kobieta. - Starca bez...

- Zamknij się! - krzyknął. - Pchnął ją w stronę drzwi, otworzył je i wypchnął kobietę za próg. Widział zamazane sylwetki w drzwiach mieszkań, przy poręczach, w korytarzach. Wszyscy zaczęli biegać, pojawiać się i znikać. Słyszał trzask zamykanych raptownie drzwi, krzyki. Lewą ręką chwycił kobietę za ramię. Kiedy zacisnął dłoń, ostry ból przeszył mu łopatkę. Popchnął kobietę w stronę klatki schodowej i zmusił, żeby z nim zeszła. Opierał się na niej, w prawej ręce trzymając broń.

Dowlekli się do sieni i do masywnych drzwi.

- Otwieraj! - rozkazał. Posłuchała. Minąwszy rząd skrzynek na listy doszli do drzwi frontowych. Puścił ją na chwilę. Sam otworzył drzwi i wyjrzał na ulicę, nasłuchując ryku syren, wycia karetek. Cisza.

- Chodź! - powiedział, ciągnąc ją w dół po kamiennych stopniach i dalej na chodnik. - Sięgnął do kieszeni krzywiąc się z bólu i wyjął kluczyki do samochodu. - Wsiadaj!

W samochodzie rozpakował gazę i przytknął cały zwój do skroni. Gaza zaczęła

wchłaniać strużkę krwi. Z głębi świadomości Jasona wyłoniło się poczucie dziwnej ulgi. A więc to tylko draśnięcie. Wpadł w panikę, gdy kula trafiła go w głowę, ale pocisk na szczęście nie wniknął do wnętrza czaszki. Nie, nie wniknął. Nie miały więc powtórzyć się męczarnie, jakie znosił w Port Noir.

- Ruszaj, do cholery! Musimy się stąd wynosić!

- Dokąd? Nie powiedział pan, dokąd jechać. - Kobieta nie krzyczała. Przeciwnie - była całkiem spokojna. Dziwnie spokojna. Patrzyła na niego... ale czy rzeczywiście na niego?

Znów zaczynało mu się kręcić w głowie. Wszystko zamazywało się przed oczami.

- Steppdeckstrasse...

Usłyszał to słowo, lecz nie był pewien, kto je wymówił. Jeszcze raz ujrzał w myślach drzwi pokryte ciemnoczerwoną farbą, popękane szyby... poszczerbione żelazo.

- Steppdeckstrasse - powtórzył.

Co się działo? Czemu silnik nie zapalił? Czemu samochód nie ruszył z miejsca? Czy ona nie słyszy, co się do niej mówi?

Dotychczas oczy miał zamknięte. Teraz je otworzył. Rewolwer! Broń leżała na jego kolanach. Położył ją tam, kiedy przykładał sobie bandaż do skroni... dziewczyna uderzyła ręką w rewolwer, raz po raz! Broń spadła z hukiem na podłogę. Sięgnął, żeby ją podnieść, a wtedy kobieta popchnęła go tak, że głową uderzył w okno. Otworzyła drzwi z lewej strony, wyskoczyła na chodnik i rzuciła się do ucieczki. Z każdą chwilą coraz bardziej się oddalała! Jego zakładniczka - ta, dzięki której miał opuścić miasto, uciekała chodnikiem Löwenstrasse!

Nie mógł pozostać w samochodzie, nie ośmieliłby się go prowadzić. Była to stalowa pułapka, która ściągnęłaby na niego uwagę otoczenia. Schował broń do kieszeni, w której miał już zwój plastra, i chwycił gazę; zacisnął ją w lewej pięści, gotów natychmiast przyłożyć sobie opatrunek do skroni, gdyby krew znów popłynęła. Wysiadł z samochodu i pokuśtykał chodnikiem, starając się iść jak najszybciej.

Prędzej czy później musiał przecież dotrzeć do jakiegoś rogu ulicy, a potem do taksówki. Steppdeckstrasse.

Marie St. Jacques biegła środkiem szerokiej, opustoszałej ulicy, przecinając kolejne kręgi światła padającego z latarni. Machając rękami bezskutecznie usiłowała zatrzymać któryś z samochodów pędzących Löwenstrasse. Ilekroć omywało ją światło reflektorów jakiegoś nadjeżdżającego z tyłu pojazdu, odwracała się ku niemu twarzą i podnosiła ręce w błagalnym geście, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Samochody przyspieszały i mijały ją. Bądź co bądź działo się to w Zurychu, a Löwenstrasse nocą każdemu wydawała się za szeroka, za ciemna, położona za blisko wyludnionego parku i rzeki Sihl.

Mężczyźni jadący którymś z kolejnych aut zwrócili jednak na nią uwagę. Kierowca zgasił reflektory, z daleka zauważywszy kobietę. Zwrócił się do swego towarzysza, mówiąc szwajcarską niemczyzną:

- To może być ona. Chernak mieszka niedaleko stąd, na tej samej ulicy.

- Hamuj. Niech podejdzie. Miała być ubrana w jedwabną... tak, to ona.

- Upewnijmy się, nim zawiadomimy resztę.

Wysiedli z samochodu. Pasażer dyskretnie obszedł maskę, żeby stanąć po tej samej stronie co kierowca. Obaj mieli na sobie urzędowe garnitury w konserwatywnym stylu. Ich twarze przybrały wyraz uprzejmy, zarazem jednak poważny i rzeczowy. Kobieta, ogarnięta paniką, podeszła do nich. Mężczyźni szybkim krokiem wyszli na środek jezdni.

- *Fräulein! Was ist los?* - zawołał kierowca.

- Na pomoc! - krzyknęła Marie St. Jacques. - Nie... nie mówię po niemiecku. *Nicht sprechen*. Proszę wezwać policję... *Polizei!*

Towarzysz kierowcy przemówił autorytatywnym tonem, który natychmiast ją uspokoił.

- My właśnie jesteśmy z policji - rzekł po angielsku. - *Züriche Sicherheit*. Z początku nie byliśmy pewni. To pani jest tą kobietą z „Carillon du Lac”?

- Tak! - zawołała. - Ten człowiek nie chciał mnie puścić! Wciąż mnie bił i straszył bronią! To było straszne!

- Gdzie on się teraz znajduje?

- Jest ranny. Dostał postrzał. Uciekłam z samochodu... on w nim siedział, kiedy uciekałam! - wskazała za siebie, w głąb Löwenstrasse. - O, tam. Chyba dwie przecznice stąd. Gdzieś w połowie drogi między drugą a trzecią. Coupé, szare coupé. Jest uzbrojony.

- My też jesteśmy uzbrojeni, proszę pani - powiedział kierowca. - Proszę iść z nami. Niech pani usiądzie na tylnym siedzeniu. Nic a nic pani nie grozi. Będziemy bardzo ostrożni. No, proszę nie zwlekać.

Powoli, ze zgaszonymi światłami podjechali do szarego coupé. Nie było w nim nikogo. Natomiast na chodniku i kamiennych schodkach domu z numerem 37 stali ludzie rozmawiając z ożywieniem. Towarzysz kierowcy zwrócił się do przerażonej kobiety, która wcisnęła się w kąt tylnego siedzenia.

- Tu mieszka niejaki Chernak. Czy tamten coś o nim mówił? Czy wspominał, że się do niego wybiera?

- Ależ on tam był. Zmusił mnie, żebym z nim poszła! Zabił Chernaka! Zabił tego starego kalekę!

- *Radioapparat! Schnell!* - powiedział mężczyzna do kierowcy, chwytając mikrofon umocowany na tablicy rozdzielczej. Samochód skoczył do przodu. Kobieta uczepliła się oburącz oparcia przedniego fotela.

- Co panowie robią najlepszego? Przecież tam zabito człowieka!

- A my musimy znaleźć zabójcę - odparł kierowca. - Sama pani powiedziała, że jest ranny. Może nie zdążył zbyt daleko oddalić. Nasz samochód wygląda jak zwykłe auto cywilne. Może gdzieś zauważymy mordercę. Oczywiście zaczekamy, aż pojawią się ludzie z brygady śledczej, ale my mamy zupełnie inne obowiązki niż oni.

Samochód zwolnił, po czym podjechał do krawężnika i zatrzymał się o paręset metrów od domu z numerem 37 na Löwenstrasse.

Podczas gdy kierowca tłumaczył dziewczynie, na czym polegają ich obowiązki służbowe, siedzący obok niego mężczyzna mówił coś do mikrofonu. Z głośnika na tablicy rozdzielczej dobiegły trzaski, a potem słowa:

- *Aufenthalt, Zwanzig Minuten.*

- Nasz szef wkrótce tu przyjedzie - powiedział sąsiad kierowcy. - Mamy tu na niego czekać. Chce z panią rozmawiać.

Marie St. Jacques oparła się plecami, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko.

- O, Boże! Z jaką rozkoszą wypiłabym kieliszek!

Kierowca roześmiał się i skinął głową, dając znak swemu towarzyszowi. Ten wyjął z kieszeni w drzwiach niedużą butelkę i z uśmiechem podał ją kobiecie.

- Nie jesteśmy zbyt wytworni. Nie mamy kieliszków ani kubków, dysponujemy natomiast koniakiem. Oczywiście tylko w celach leczniczych, do użycia w nagłych wypadkach. Teraz chyba zdarzył się właśnie taki wypadek. Proszę uprzejmie.

Marie St. Jacques odwzajemniła uśmiech i przyjęła z rąk mężczyzny butelkę.

- Bardzo panowie są mili. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaka jestem wdzięczna. Jeśli kiedykolwiek przyjdziecie panowie do Kanady, przyrządę najlepszą potrawę według francuskiego przepisu, jaką tylko można zjeść w prowincji Ontario.

- Dziękuję pani - powiedział kierowca.

Bourne uważnie oglądał bandaż na swym ramieniu. Mrużąc oczy wpatrywał się w mętne odbicie w brudnym, umazanym lustrze, czekając, aż wzrok przystosuje się do słabego

światła w niechlujnym pokoju. Nie pomylił się co do Steppdeckstrasse. Obraz czerwonych drzwi z resztkami czerwonej farby dokładnie odpowiadał rzeczywistości. Podobnie jak popękane szyby okienne i zardzewiałe poręcze. Nie zadawano mu żadnych pytań, kiedy wynajmował pokój, choć było widać, że jest ranny. Niemniej jednak *Vermieter* powiedział przyjmując od niego pieniądze:

- Gdyby to było coś poważniejszego, dałoby się znaleźć lekarza, który potrafi trzymać język za zębami.

- Dam panu znać - odparł Bourne.

Rana nie była aż tak poważna: musi wystarczyć plaster, dopóki nie znajdzie lekarza, na którym można by polegać bardziej niż na tym, co prowadzi potajemną praktykę na Steppdeckstrasse.

Jeśli w wyniku jakiejś trudnej sytuacji doznasz obrażeń, musisz zdawać sobie sprawę, że mogą one mieć charakter nie tylko fizyczny, lecz również psychiczny. Możesz odczuwać rzeczywistą odrazę wobec bólu i obrażeń cielesnych. Nie podejmuj ryzyka, lecz o ile czas ci na to pozwoli, postaraj się przystosować do sytuacji. Nie wpadaj w panikę...

Bourne uległ jednak panice; ogarniał go jak gdyby częściowy paraliż. Choć rana w ramieniu i draśnięcie na skroni były rzeczywiste i sprawiały mu prawdziwy ból, żadne z tych obrażeń nie wydawało się na tyle poważne, żeby go unieruchomić. Nie mógł poruszać się tak szybko, jakby sobie życzył, ani z tą siłą, o której wiedział, że ją ma, był jednak w stanie panować nad swymi ruchami. Sygnały przebiegające między mózgiem a mięśniami były odbierane i nadawane; cały organizm mógł więc normalnie funkcjonować.

Funkcjonowałby jeszcze lepiej, gdyby Bourne trochę odpoczął. Ponieważ nie miał teraz żadnego sposobu na wydobycie się z Zurychu, musiał wstać na długo przed świtem, żeby rozejrzeć się za jakimś innym kanałem, który pozwoli mu wymknąć się z miasta. *Vermieter* ze Steppdeckstrasse lubi pieniądze. Za godzinę lub coś koło tego Jason zbudzi niechlujnego kamienicznika.

Bourne ostrożnie położył się na zapadniętym łóżku. Oparłszy głowę na poduszce wpatrywał się w gołą żarówkę pod sufitem, starając się nie słyszeć słów; chciał trochę wypocząć. Ale mimo wszystko słowa zabrzmiały, napęlniając mu uszy łoskotem przypominającym dudnienie kotłów.

„Zabito człowieka...”

„Ale pan przyjął to zlecenie...”

Odwrócił się do ściany i zamknął oczy, wznosząc barierę między sobą a słowami. Wtedy pojawiły się inne słowa; Bourne siadł raptownie, pot wystąpił mu na czoło.

„Zapłacą mi za twojego trupa!... Carlos zapłaci! Jak Boga kocham, zapłaci!”

Carlos.

Wielka limuzyna wjechała przed coupé i zatrzymała się przy krawężniku. Z tyłu przed dom z numerem 37 na Löwenstrasse kwadrans temu zajechał samochód policyjny, a przed niespełna pięcioma minutami - karetka pogotowia. Na chodniku w pobliżu klatki schodowej tłoczyli się mieszkańcy okolicznych domów, ale fala największego podniecenia już opadła. Ktoś poniósł śmierć nocą, ktoś został zabity w tej spokojnej części Löwenstrasse. Wszyscy byli w najwyższym stopniu zaniepokojeni: to, co stało się pod numerem 37, mogło powtórzyć się pod numerem 40 lub 53. Świat ogarniało szaleństwo i nawet Zurych zaczynał mu ulegać.

- Przyjechał szef. Czy możemy pania do niego zaprowadzić?

Towarzysz kierowcy wysiadł z samochodu i otworzył drzwiczki przed Marie St. Jacques.

- Oczywiście.

Wysiadła z auta i poczuła na ramieniu rękę mężczyzny. Był to dotyk o wiele delikatniejszy od chwytu zwierzęcia, które przedtem przystawiało jej do policzka łufę

rewolweru. Zadrzała na samo wspomnienie. Oboje podeszli do limuzyny od tyłu. Kobieta wsiadła. Oparła się wygodnie i spojrzała na swego sąsiada. Nagle zaparło jej dech; zastygła w bezruchu, jak gdyby sparaliżowana. Siedzący obok niej mężczyzna samym swym widokiem przypomniał jej chwile grozy.

Światło latarni ulicznej odbijało się od złotej oprawki jego okularów.

- To pan!... Był pan wtedy w hotelu, wśród tamtych!

Skinał głową ze znużeniem. Jego zmęczenie rzucało się w oczy.

- Zgadza się. Jesteśmy oddziałem specjalnym policji miejskiej. Przede wszystkim muszę panią zapewnić, że podczas wydarzeń w „Carillon du Lac” ani przez chwilę nie zagrażało pani niebezpieczeństwo z naszej strony. Jesteśmy dobrze wyszkolonymi snajperami. Nie padł ani jeden strzał, który mógłby wyrządzić pani krzywdę, a z oddania kilku zrezygnowano, ponieważ znajdowała się pani zbyt blisko człowieka, którego mieliśmy na muszce.

Spokojny, autorytatywny ton mężczyzny przywrócił jej spokój. Szok minął.

- Jestem panu za to wdzięczna - powiedziała.

- Nie wymagało to zbyt wielkich uzdolnień - odparł. - O ile dobrze zrozumiałem, ostatnio widziała go pani, kiedy oboje siedzieliście w samochodzie, który stoi za nami.

- Tak. Był ranny.

- Ciężko?

- Na tyle, że bełkotał coś bez związku. Przykładał sobie do skroni bandaże i miał pokrwawione ramię, to znaczy płaszcz. Kim on jest?

- Nazwiska są tu bez znaczenia. Ten człowiek ma ich wiele, ale jak zdążyła pani się przekonać, jest mordercą. Okrutnym mordercą. Trzeba go powstrzymać, zanim znów kogoś zabije. Tropimy go już od kilku lat. My i policje wielu innych krajów. Teraz trafia nam się okazja, jakiej nikt dotąd nie miał. Wiemy, że przebywa w Zurychu i że jest ranny. Nie mógł zostać w tej dzielnicy, ale jak daleko zdołał uciec? Czy mówił coś o tym, jak zamierza wydostać się z miasta?

- Miał zamiar wynająć samochód. Chyba na moje nazwisko. Nie ma prawa jazdy.

- Okłamał panią. Zawsze ma przy sobie najrozmaitsze fałszywe dokumenty. Była pani dla niego zakładniczką jednorazowego użytku. Proszę mi powtórzyć wszystko, co pani powiedział, od samego początku. Dokąd pani z nim jeździła, z kim się spotkał - wszystko co pani przychodzi na myśl.

- Jest taka restauracja, „Drei Alpenhäuser”. Był tam olbrzymi grubas, który śmiertelnie się bał... - Marie St. Jacques opowiadała wszystko, co była w stanie sobie przypomnieć. Oficer policji przerywał jej co pewien czas, zadając dodatkowe pytania w związku z jakimś zdaniem lub czyjąś reakcją, bądź też nagłą decyzją mordercy. Raz po raz zdejmował okulary w złotej oprawie i przecierał je w roztargnieniu, ściskając oprawkę palcami, jakby chciał w ten sposób zapanować nad rozdrażnieniem. Wypytywał kobietę przez prawie dwadzieścia pięć minut, po czym podjął decyzję.

- „Drei Alpenhäuser”. *Schnell!* - powiedział do kierowcy, a następnie zwrócił się do Marie St. Jacques:

- Wykorzystamy przeciwko niemu jego własne słowa. Umyślnie tak bełkotał. Wie znacznie więcej, niż powiedział przy stole.

- Bełkotał... - wymówiła to słowo półgłosem, przypomniawszy sobie, w jakim sensie sama go użyła. - Steppdeck... Steppdeckstrasse. Popękana szyba, pokoje.

- Co?

- „Pensjonat na Steppdeckstrasse”. Tak właśnie powiedział. Wszystko działo się błyskawicznie, ale jestem pewna, że dobrze usłyszałam. W ostatniej chwili, nim wyskoczyłam z samochodu, jeszcze raz powtórzył tę nazwę. Steppdeckstrasse.

- *Der Alte ist verrückt. Steppdeckstrasse gibt es!* - powiedział kierowca.

- Nie rozumiem - powiedziała Marie St. Jacques.
- To zaniedbana dzielnica, nie nadążająca za naszą epoką - wyjaśnił oficer. - Dawniej były tam fabryki włókiennicze. Bezpieczna przystań dla ludzi, którym niezbyt się powiodło... i różnych innych. *Los!* - powiedział do kierowcy.
Samochód ruszył.

Zaskrzybiało. Gdzieś na korytarzu. Jak strzał, którego echo przechodzi w ostrą frazę końcową, dźwięk przenikliwy, zamierający w dali. Bourne otworzył oczy.

Schody. Obskurna klatka schodowa. Ktoś wchodzi po schodach. Nagle przystanął, świadom hałasu, jaki pod jego ciężarem wydaje spaczne, popękane drewno. Zwykły gość ze Steppdeckstrasse nie miałby takich skrupułów.

Cisza.

Skrzypienie. Teraz bliżej. Zaryzykował. Najważniejsze to synchronizacja, i szybkość, bo szybkość to bezpieczeństwo. Jason zerwał się z łóżka, sięgnął po rewolwer, który miał przy głowie, i przyłgął do ściany koło drzwi. Przykucnął słysząc kroki - kroki jednego człowieka, który już nie dbał o hałas, chciał tylko dotrzeć do celu. Bourne nie miał wątpliwości, co to znaczy; nie mylił się.

Drzwi rozwarły się z hukiem; Jason odbił je z powrotem, a następnie rzucił się na nie całym ciężarem, przygwałdzając intruza do framugi i ciosami w żołądek, piersi i ramię wgniatając w uskok ściany. Przyciągnął drzwi i wkręcił duży palec prawej stopy w gardło napastnika, jednocześnie lewą ręką łapiąc go za jasne włosy i jednym szarpnięciem wciągając do pokoju. Dłoń mężczyzny zwiotczała, broń wypadła na podłogę - był to rewolwer z długą lufą i tłumikiem.

Jason zamknął drzwi nasłuchując odgłosów na schodach. Cisza. Spojrzał na nieprzytomnego mężczyznę. Złodziej? Morderca? Co to za jeden?

Policja? Czyżby *Vermieter* pensjonatu złamał kodeks Steppdeckstrasse dla nagrody? Bourne odwrócił intruza i wyjął mu portfel. Druga natura kazała mu zabrać pieniądze, choć wiedział, że to śmieszne; znalazł przy nim niewiele. Obejrzał różne karty kredytowe i prawo jazdy; uśmiechnął się, ale wkrótce jego uśmiech znikł. Nie było w tym nic zabawnego - karty kredytowe wystawione na różne nazwiska, a nazwisko na prawie jazdy nie pasowało do żadnej z nich. Nieprzytomny mężczyzna nie był policjantem.

Był to profesjonalista, który przyszedł na Steppdeckstrasse zabić Jasona. Ktoś go wynajął. Ale kto? Kto mógł wiedzieć, że on tutaj jest?

Czyżby ta kobieta? Czy wspomniał o Steppdeckstrasse, kiedy patrzył na rząd schludnych domków szukając numeru 37?... Nie, to nie ona; mógł wprawdzie coś powiedzieć, ale ona by i tak nie zrozumiała, A nawet gdyby, to zamiast zawodowego mordercy w jego pokoju byłaby policja otaczająca kordonem te rudere.

Wyobraźnia Bourne'a przywołała obraz stojącego przy stole i spływającego potem wielkiego tłustego mężczyzny. Ten sam mężczyzna ocierając pot ze swoich wydatnych warg mówił o „odwadze nic nie znaczącego kozła, któremu udało się przeżyć”. Czyżby to był przykład jego techniki pozostawiania przy życiu? Czy on wiedział o Steppdeckstrasse? Czy znał zwyczaje gościa, którego widok tak go przeraził? Czy był w tym obskurnym pensjonacie? Dostarczył tu kopertę?

Jason złapał się za głowę i zamknął oczy. Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć? Kiedy ustąpi ta mgła? I czy w ogóle kiedykolwiek ustąpi?

Przestań się zadrećzać...

Otworzył oczy i skoncentrował wzrok na leżącym blondynie. Mało nie wybuchnął śmiechem - miał w ręku wizę wyjazdowa z Zurychu i zamiast się cieszyć, tracił czas zadrećczając się. Schował portfel mordercy do kieszeni wtykając go za portfel markiza de Chambord, podniósł broń, wsunął ją za pasek, a następnie zawlókł nieprzytomną postać na łóżko.

W chwilę potem mężczyzna został przywiązany do wygniecionego materaca i zakneblowany kawałkiem podartego prześcieradła, którym Jason owiazał mu twarz. Nie ruszy

się z miejsca przez kilka godzin, a za kilka godzin Jasona już nie będzie w Zurychu, i to wszystko dzięki uprzejmości spoconego tłuściocha.

Jason spał w ubraniu, więc nie było co pakować, nie miał nic do zabrania poza płaszczem. Włożył go na siebie i wypróbował nogę - trochę późno. W podnieceniu ostatnich kilku minut zupełnie zapomniał o bólu; ale ból pozostał, tak jak i utykanie, choć ani jedno, ani drugie nie uniemożliwiało mu poruszania się. Z ramieniem było nieco gorzej - ogarniał je jak gdyby powolny paraliż: koniecznie musi iść do lekarza. A głowa... o głowie wołał nie myśleć.

Wyszedł na słabo oświetlony korytarz, zamknął za sobą drzwi i stał bez ruchu nasłuchując. Z góry doszedł go wybuch śmiechu; Jason przylgnął plecami do ściany, z bronią w pogotowiu. Śmiech ucichł - był to śmiech pijaka, bezsensowny, głupkowaty.

Pokuśtykał do schodów i trzymając się poręczy zaczął schodzić na dół. Znajdował się na najwyższym piętrze trzypiętrowego budynku - poprosił o najwyższej położony pokój, ponieważ instynktownie przywołał na pamięć „wysoki poziom”. *Dlaczego mu to przyszło do głowy? I co to miało znaczyć w kontekście wynajęcia obscurnego pokoju na jedna noc? Kryjówki?*

Dość tego!

Znalazł się na podeście pierwszego piętra, cały czas schodząc przy akompaniamencie skrzypienia drewnianych stopni. Gdyby *Vermieter* wyszedł teraz ze swojego mieszkania na parterze, żeby zaspokoić ciekawość, byłaby to na wiele godzin ostatnia potrzeba, jaką by zaspokoił.

Hałas. Szelest. Krótkie otarcie się delikatnej tkaniny o szorstką powierzchnię. Materiału o drewno. Ktoś się ukrywał na krótkim odcinku korytarza pomiędzy końcem jednych schodów a początkiem drugich. Nie zakłócając rytmu swego kroku wpatrzył się w mrok: w ścianie po prawej stronie było troje drzwi we wnękach, tak samo jak piętro wyżej. W jednej z tych wnęk...

Zrobił jeszcze krok. Nie w pierwszej, pierwsza była pusta, i nie w ostatniej - korytarz kończył się ślepo, nie było tam miejsca na jakikolwiek ruch. A więc druga z kolei, tak, drugie drzwi. Z tej wnęki można było rzucić się naprzód, w lewo czy w prawo, albo pchnąć niczego nie podejrzewającą ofiarę, tak żeby wywinęła kozła przez poręcz i spadła ze schodów.

Bourne skrzył w prawo, przekładając rewolwer do lewej ręki, a prawą sięgając do paska po pistolet z tłumikiem. Dwa kroki przed wnęką wycelował automat, który trzymał w lewej ręce w mrok i jednocześnie obrócił się stając plecami do ściany.

- *Was?* ... - Pojawiło się ramię. Jason wypalił - kula rozerwała dłoń. - Ach! - Postać wychyliła się w szoku, niezdolna złożyć się do strzału. Bourne strzelił ponownie trafiając mężczyznę w udo: ranny padł na ziemię, wijąc się i kuląc. Jason zbliżył się o krok i przyklęknął przyduszając mu piersi kolaniem i przykładając broń do głowy. Odezwał się szeptem:

- Czy tam na dole jest jeszcze ktoś?

- *Nein!* - odparł mężczyzna krzywiąc się z bólu. - *Zwei...* tylko nas dwóch. Zapłacili nam.

- Kto wam zapłacił?

- Wiesz kto.

- Mężczyzna imieniem Carlos?

- Nie odpowiem. Możesz mnie zabić.

- Skąd wiedzieliście, że tu jestem?

- Chernak.

- On nie żyje.

- Teraz. Ale wczoraj żył. Do Zurychu dotarła wiadomość, że żyjesz. Sprawdziliśmy każdego... wszędzie. Chernak wiedział.

Bourne zagrał.

- Łzesz! - Wcisnął mężczyźnie lufę pistoletu w szyję. - Nigdy nie mówiłem Chernakowi o Steppdeckstrasse.

Mężczyzna znów się skrzywił, odginając szyję do tyłu.

- Może nie musiałeś. Ta hitlerowska świnia miała wszędzie swoich kapusiów. Dlaczego Steppdeckstrasse miałyby być wyjątkiem? Tylko on cię potrafił opisać. Nikt inny.

- Owszem, mężczyzna z „Drei Alpenhäuser”.

- Nigdy nie słyszeliśmy o takim mężczyźnie.

- Co to za „my”?

Facet przełknął ślinę i jego wargi rozciągnęły się w grymasie bólu.

- Biznesmeni... tylko biznesmeni.

- A twój zawód to zabijanie, co?

- Nie powinienem z tobą gadać. Ale *nein*. Mieliśmy cię wziąć, nie zabijać.

- Dokąd?

- Mieli nam powiedzieć przez radio. Na częstotliwości samochodowej.

- Wspaniale - rzekł Jason bezbarwnym głosem. - Jesteś nie tylko kiepski, ale jeszcze usłużny. Gdzie masz samochód?

- Przed domem.

- Dawaj kluczyki! - Bourne pomyślał, że samochód zidentyfikuje po radiu.

Mężczyzna usiłował się opierać. Odepchnął kolano Bourne'a i zaczął się turlać w stronę ściany.

- *Nein!*

- Nie masz wyboru. - Jason walnął go kolbą pistoletu w głowę. Szwajcar stracił przytomność.

Bourne znalazł kluczyki - były trzy w skórzanym etui - zabrał mu broń i schował do kieszeni. Była mniejsza niż pistolet Bourne'a i nie miała tłumika, co nadawało wiarygodności zapewnieniom mężczyzny, że mieli Jasona wziąć żywego. Blondyn na gorze spełniał rolę czujki i dlatego w razie konieczności postrzelenia ofiary musiał mieć broń z tłumikiem. Głośny strzał mógłby spowodować komplikacje. Szwajcar na pierwszym piętrze go ubezpieczał - jego broń była głównie na postrach.

Ale wobec tego dlaczego pozostał na pierwszym piętrze? Dlaczego nie poszedł za kolegą? Nie czekał na korytarzu? Coś tu nie grało, trudno to było wytłumaczyć względami taktycznymi, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Na ulicy stał samochód, a Jason miał kluczyki.

Nic nie można przegapić. Trzeci rewolwer.

Podniósł się z trudem i znalazł automat, który zabrał Francuzowi w windzie w Gemeinschaft Bank. Uniósł lewą nogawkę spodni i wsunął broń za elastyczną skarpetkę. Tam była bezpieczna.

Zatrzymał się na chwilę, żeby nabrać tchu i złapać równowagę, a następnie ruszył, w stronę schodów, świadom bólu w lewym ramieniu, który coraz szybciej rozchodził się paralizującą falą. Bodźce przesyłane przez mózg do członków były coraz mniej klarowne. Prosił Boga, żeby tylko mógł prowadzić samochód.

Na piątym stopniu zatrzymał się nagle nasłuchując, tak jak nasłuchiwał zaledwie minutę temu, jakichś odgłosów z ukrycia; szelestu materiału, cichego wciągnięcia powietrza. Cisza. Ranny mężczyzna mógł być nieporadny w sprawach taktycznych, ale powiedział prawdę. Jason pospieszył na dół. Opuści Zurych - jakoś - i znajdzie lekarza - gdzieś.

Bez trudu znalazł samochód. Wyróżniał się na tle nędznych samochodów właściwych dla tej ulicy. Wielki, dobrze utrzymany, z wypukłością w miejscu, gdzie antena była przynitowana do maski bagażnika. Jason podszedł od strony fotela kierowcy i przejechał ręką dokoła szyby przedniej i lewego przedniego błotnika, żeby sprawdzić, czy nie ma alarmu - nie było.

Przekręcił kluczyk, a następnie otworzył drzwi wstrzymując oddech - a nuż się pomylił co do alarmu; nie pomylił się. Siadł za kierownicą, usadowił się wygodnie, szczęśliwy, że wóz ma automatyczną skrzynię biegów. Duży rewolwer za paskiem ograniczał mu ruchy. Położył go na siedzeniu obok siebie i sięgnął do stacyjki zakładając, że kluczyk, którym otworzył drzwi, jest właściwy.

Nie był. Spróbował następnego, ale i ten nie pasował. Uznał, że to kluczyk od bagażnika. A więc ten trzeci.

Ale czy rzeczywiście? Z uporem dźgał otwór, ale kluczyk nie chciał wejść; jeszcze raz spróbował drugiego - blokada, i znów pierwszy kluczyk. Żaden jednak nie pasował do stacyjki! A może sygnały wysyłane z mózgu do ręki, do palców, były fałszywe, może koordynacja ruchów niedoskonała? Do diabła! Spróbuj jeszcze raz!

Z jego lewej strony zabłysło ostre światło, rażąc w oczy, oślepiając. Sięgnął do broni, ale wtedy drugi promień światła strzelił z prawej strony. Drzwi otworzyły się gwałtownie i ciężka latarka z całą siłą wylądowała na dłoni Jasona; czyjaś ręka wzięła z siedzenia broń.

- Wyłaż! - rozkaz dobiegł z lewej, Bourne poczuł na szyi ucisk lufy.

Wysiadł z samochodu, przed oczami miał tysiące białych rozjarzonych kół. Kiedy powoli odzyskiwał zdolność widzenia, pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, była para kółek. Żółtych kółek - okulary mordercy, który go ścigał przez całą noc. Mężczyzna odezwał się:

- Podobno według praw fizyki każdemu działaniu towarzyszy równe mu, skierowane przeciwnie - przeciwdziałanie. Zachowanie pewnych ludzi w określonych okolicznościach jest równie łatwe do przewidzenia. W przypadku kogoś takiego jak ty wystarczy rzucić rękawicę - i powiedziec każdemu z uczestników, co ma mówić, jeśli ulegnie w walce. A jeśli nie ulegnie, to znaczy, że cię mamy. O ile natomiast ulegnie, to zostalesz wyprowadzony w pole, a twoja uśpiona czujność daje ci fałszywe poczucie sukcesu.

- To wielkie ryzyko - powiedział Jason - dla uczestników pojedynku.

- Są wysoko płatni. No i jeszcze jedno: oczywiście nie ma mowy o żadnych gwarancjach, a jednak jakaś gwarancja jest. Enigmatyczny Bourne nie zabija bez wyboru. Nie z delikatności oczywiście, ale z przyczyn znacznie bardziej praktycznych. Ludzie pamiętają, jeśli zostaną oszczędzeni - to przenika do armii wroga. Wyrafinowana taktyka partyzancka zastosowana w warunkach skomplikowanego pola bitwy. Wyrazy uznania.

- Kretyn. - To było wszystko, na co Jason potrafił się zdobyć. - Ale obaj twoi ludzie żyją, jeśli ci o to chodzi.

W polu widzenia Bourne'a pojawiła się następna postać - wyłoniła się z cienia budynku, prowadzona przez niskiego, krępego mężczyznę. Była to kobieta - Marie St. Jacques.

- To on - powiedziała cicho nie spuszczając wzroku.

- Boże... - Bourne z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Jak to możliwe, pani doktor?

- zapytał podnosząc głos. - Czy ktoś obserwował mój pokój w „Carillonie”? Czy winda była specjalnie zaprogramowana, a inne unieruchomione? Pani jest bardzo przekonująca. A ja myślałem, że pani wpadnie na wóz policyjny.

- Jak się okazało - odparła - nie było takiej potrzeby. To jest policja.

Jason spojrzął na stojącego przed nim mordercę; mężczyzna poprawiał sobie właśnie okulary w złotej oprawie.

- Wyrazy uznania - powiedział Bourne.

- Nie ma o czym mówić - odparł morderca. - Po prostu były odpowiednie warunki. Sam je zresztą stworzyłeś.

- Co dalej? Tamten facet powiedział, że mają mnie nie zabijać, tylko wziąć.

- Zapomniałeś o jednym: że on miał powiedziane, co ma mówić. - Szwajcar przerwał.

- A więc to tak wyglądasz. W ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat wielu z nas się nad tym zastanawiało. Aleśmy sobie łamali głowę! A ile było na ten temat sprzeczek... Jest wysoki,

nie, średniego wzrostu. Blondyn, nie, ma czarne włosy. Naturalnie oczy niebieskie, ale skąd, to jasne, że ma piwne oczy. Ostre rysy - nic podobnego, zupełnie pospolita twarz, nie do odróżnienia w tłumie. Ale nie przypisywali Ci nic zwykłego. Wszystko w tobie było niezwykle.

Twoje rysy zostały złagodzone, wszystkie ostrości rozmyte. Zmień kolor włosów, to zmienisz twarz... Niektóre rodzaje szkieł kontaktowych mają za zadanie zmienić kolor oczu... Zaczynaj nosić okulary, to staniesz się innym człowiekiem. Wizy, paszporty... możesz je zmieniać do woli.

A więc to o to chodziło. Teraz wszystko pasowało. Może nie na wszystkie pytania uzyskał odpowiedzi, ale w każdym razie dowiedział się więcej, niż chciał usłyszeć.

- Skończmy już z tym - powiedziała Marie St. Jacques robiąc krok do przodu. - Podpiszę, co mam podpisać - w pańskim biurze, jak się spodziewam, i zaraz wracam do hotelu. Chyba nie muszę mówić, co przeszłam tej nocy.

Szwajcar spojrział na nią przez swoje okulary w złotej oprawce. Krępy mężczyzna, który wyprowadził Marie z cienia, wziął ją pod rękę. Popatrzyła najpierw na obu mężczyzn, a następnie na trzymającą ją rękę.

I dopiero potem na Bourne'a. Zaparło jej dech - poraziło ją straszliwe skojarzenie. Oczy mało nie wyszły jej z orbit.

- Puśćcie ją - odezwał się Jason. - Ona jest w drodze do Kanady: Nigdy jej więcej nie zobaczycie.

- Bądź rozsądny, Bourne. Przecież ona nas widziała. Obaj jesteśmy profesjonalistami, ostatecznie obowiązują chyba jakieś reguły. - Mężczyzna błyskawicznie podbił Bourne'owi brodę lufą, a następnie Jason poczuł jej ucisk na gardle. Facet obmacał go, znalazł broń w kieszeni, wyjął. - Tak przypuszczałem - powiedział i zwrócił się do krępego mężczyzny. - Weź ją do tego drugiego wozu. Limmat.

Bourne zamarł. Zamierzają zabić Marie St. Jacques i wrzucić jej ciało do rzeki Limmat.

- Chwileczkę. - Jason zrobił krok do przodu, ale nadział się szyją na lufę, która rzuciła go na maskę samochodu. - Jesteś głupi! Ona pracuje dla rządu kanadyjskiego. Za chwilę będzie ich tu w Zurychu pełno.

- Ciebie chyba głowa o to nie boli. Ciebie tu nie będzie.

- Bo to niepotrzebna strata! - wykrzyknął Bourne. - Jesteśmy zawodowcami, już zapomnialeś?

- Nudzisz mnie. - Morderca zwrócił się do krępego mężczyzny: - *Machen Sie mal los! Der Guisan Quai.*

- Drzyj się wniebogłosy! - krzyknął Jason. - Wrzeszcz! Nie przestawaj ani na chwilę.

Spróbowała krzyknąć, ale paraliżujący cios w gardło położył kres jej wysiłkom. Upadła na chodnik, a jej przyszły kat powlókł ją w stronę niewielkiego czarnego samochodu nieokreślonej marki.

- To dopiero było głupie - rzekł morderca wpatrując się w twarz Bourne'a przez swoje złote okulary. - W ten sposób po prostu przyspieszasz to, co i tak nieuchronne. Z drugiej strony tylko nam ułatwiłeś sytuację. Mogę zluzować jednego człowieka, który zajmie się naszymi rannymi. Strasznie to wszystko brzmi po wojskowemu, co? Prawdziwe pole bitwy. - Zwrócił się do mężczyzny z latarką: - Daj sygnał Johannowi, żeby szedł tam do budynku. Wrócimy po nich później.

Facet dwukrotnie zapalił i zgasił latarkę. Czwarty mężczyzna, który otworzył skazanej drzwi samochodu, skinął głową. Marie St. Jacques została wrzucona na tylne siedzenie, a drzwi samochodu dokładnie zamknięte. Mężczyzna imieniem Johann ruszył ku betonowym stopniom, kiwając teraz głową w stronę tego, który miał wykonać wyrok.

Jasonowi zrobiło się niedobrze, kiedy widział, jak mały samochód na pełnym gazie

oddala się od krawężnika, a jego pogięty, błyszczący zderzak znika w mrocznej perspektywie Steppdeckstrasse. A w tym samochodzie kobieta, którą po raz pierwszy w życiu zobaczył dopiero trzy godziny temu. Zabił ją.

- Widzę, że nie cierpisz na brak żołnierzy - powiedział.

- Gdyby się znalazło i stu ludzi, którym mógłbym zaufać, zapłaciłbym im z ochotą. Jak to się mówi, jak cię widzą, tak cię piszą.

- A gdybym tak ja zapłacił tobie; byłeś w banku, wiesz, że mam forszę.

- Prawdopodobnie miliony, ale ja bym nie tknął banknotu frankowego.

- Dlaczego? Boisz się?

- Jasne. Bogactwo jest proporcjonalne do czasu, w jakim możesz z niego korzystać. Ja bym nie miał nawet pięciu minut. - Morderca zwrócił się do swego podwładnego: - Weź go do samochodu, i rozbierz. Chcę mieć jego zdjęcie nago - zanim nas opuści i potem. Znajdziesz przy nim kupę forsy; niech przy nim zostanie. Ja poprowadzę. - Spojrzał na Bourne'a. - Carlos weźmie pierwszą odbitkę. A ja nie mam wątpliwości, że resztę dobrze sprzedam na wolnym rynku. Pisma ilustrowane płacą bajońskie sumy.

- A dlaczego niby Carlos miałby ci wierzyć? Dlaczego ktokolwiek miałby ci wierzyć? Przecież nikt nie wie, jak ja naprawdę wyglądam.

- Zabezpieczyłem się - odparł Szwajcar - wystarczająco. Dwóch bankierów z Zurychu zidentyfikuje cię jako Jasona Bourne'a. Tego samego Jasona Bourne'a, który spełnił najsurowsze warunki, jakimi prawo szwajcarskie obwarowało dostęp do konta specjalnego. To wystarczy. - Tym razem zwrócił się do bandziora: - Pospiesz no się, prędzej! Mam jeszcze nadać depesze, i odebrać od wierzycieli pieniądze.

Potężne ramię ujęło szyję Bourne'a w żelazne imadło, a pchnięcie lufą w plecy załaziło jego klatkę piersiową falą bólu, kiedy wciągano go do samochodu. Mężczyzna, który się nim zajmował, był zawodowcem; nawet gdyby Jason nie był ranny, nie mógłby marzyć o wyrwaniu mu się. Sprawność fachowca nie zadowoliła jednak szefa tej akcji. Usiadł za kierownicą i wydał następne polecenie:

- Połam mu palce.

Na chwilę ucisk potężnego ramienia pozbawił Jasona tchu, podczas gdy lufa pistoletu raz po raz spadała na jego dłoń - dłonie. Bourne instynktownie lewą ręką osłonił prawą. Kiedy trysnęła krew, splótł palce tak, żeby przeciekła i na prawą rękę. Zdławił krzyk - uchwyt zelżał i wtedy Bourne wrzasnął:

- Moje ręce! Połamaliście mi ręce!

- *Gut.*

Ale dłonie Jasona nie były połamane. Lewa wprawdzie została zmasakrowana w stopniu praktycznie uniemożliwiającym posługiwanie się nią, ale nie prawa. Poruszył palcami w mroku; prawa ręka była w porządku.

Samochód mknął jakiś czas Steppdeckstrasse, a następnie skręcił w boczną ulicę kierując się na południe. Jason jęcząc opadł na oparcie siedzenia. Bandzior zaczął go szarpać za ubranie, rozdarł mu koszulę, zerwał pasek. Jeszcze kilka sekund i będzie do pasa nagi, a paszport, papiery, karty kredytowe i pieniądze, jednym słowem wszystko, co niezbędne do tego, żeby mógł się wydostać z Zurychu, zostanie mu zabrane. Teraz albo nigdy. Wrzasnął.

- Moja noga! Moja cholerna noga! - I rzucił się do przodu, jednocześnie prawą ręką rozpaczliwie manipulując w ciemności i macając wewnątrz nogawki spodni. Jest. Kolba automatu.

- *Nein!* - ryknął facet za kierownicą. - Uważaj na niego! - Wiedział; wiedział instynktownie.

Ale było już za późno. Bourne trzymał broń w ciemności przy podłodze, gdy potężny żołnierz go pchnął. Jason poleciał do tyłu trzymając automat na poziomie pasa, wycelowany prosto w pierś napastnika.

Strzelił dwa razy; mężczyzna wygiął się do tyłu. Jason poprawił - tym razem cel miał pewny. Mężczyzna, z kulą w sercu, zwałił się na składane siedzenie.

- Rzuć to! - wrzasnął Bourne, przekładając automat przez oparcie fotela kierowcy i wciskając mu wylot lufy w nasadę czaszki. - Rzuć to!

Kierowca rzucił broń, oddychając nierówno.

- Pogadamy - powiedział ujmując kierownicę. - Obaj jesteśmy zawodowcami. Pogadamy. - Wielka limuzyna wyrwała do przodu nabierając szybkości, w miarę jak kierowca cisnął gaz.

- Wolniej!

- Co ty na to? - Samochód przyspieszył. Widzieli przed sobą światła pojazdów; opuszczali rejon Steppdeckstrasse i wjeżdżali w bardziej ruchliwą dzielnicę miasta. - Chcesz się wydostać z Zurychu i ja cię mogę z Zurychu wywieźć. Beze mnie ci się nie uda.

Wystarczy, że skręcę kierownicę i walnę w krawężnik. Nie mam nic do stracenia, Herr Bourne. Wszędzie tu dokoła jest pełno policji. Nie sądzę, żebyś miał ochotę na spotkanie z policją.

- Pogadamy - skłamał Jason. Wszystko zależało od synchronizacji, precyzyjnej, co do ułamka sekundy. Dwóch zabójców w pędzącej pułapce. Żaden z nich nie zasługiwał na zaufanie, i obaj o tym wiedzieli. Jeden wykorzysta te pół sekundy, które drugi straci. Zawodowcy. - Noga na hamulec!

- Rzuć broń na siedzenie koło mnie.

Jason wypuścił automat z ręki. Upadł na broń mordercy wydając brzęk, kiedy ciężki metal zetknął się z metalem.

- Załatwione.

Kierowca zdjął nogę z pedału gazu i przeniósł ją na pedał hamulca. Najpierw powoli zwiększał nacisk, a potem zaczął pompować, tak że wielka limuzyna kilka razy zakołysała się w tył i w przód. Naciski na hamulec stały się coraz wyraźniejsze; Bourne zrozumiał - była to strategia kierowcy - wyważanie szans życia i śmierci.

Strzałka szybkościomierza przesunęła się w lewo: trzydzieści kilometrów, osiemnaście, dziewięć kilometrów. Już się prawie zatrzymali, był to właśnie ten moment, owe ekstra pół sekundy na dodatkowy ruch - na ocenę szans, szansy na życie.

Jason złapał mężczyznę za szyję, ścisnął go za gardło i podniósł z siedzenia, a następnie lewą zakrwawioną dłoń przejechał mu po oczach. Potem poluzował ucisk na gardle mężczyzny i prawą ręką sięgnął po broń. Złapał za kolbę odpychając jednocześnie rękę mężczyzny; morderca wrzasnął, niemal oślepiony, nie mogąc dosięgnąć broni. Jason rzucił się na piersi przeciwnika, przyparł go do drzwi, lewym łokciem przygniatając mu gardło i krwawiącą lewą dłoń łąpiąc za kierownicę. Spojrzał przez szybę i skręcił w prawo kierując samochód w stertę śmieci na chodniku.

Samochód zarył się w kupie odpadków - jak wielki, leniwy owad wpełzał w śmieci, swoim wyglądem zadając kłam aktom gwałtu, jakie się dokonywały w jego skorupie.

Mężczyzna wyrwał się spod Jasona i przeturlał na siedzeniu. Jason trzymał automat w ręce szukając palcami spustu - znalazł go. Zgiął rękę w przegubie i wypalił.

Niedoszły zabójca zwiotczał, a na jego czole ukazał się ciemnoczerwony otwór.

Na ulicy przechodnie spieszyli ku wypadkowi, spowodowanemu, jak zapewne uznali, karygodną lekkomyślnością. Jason cisnął trupa w poprzek siedzenia, a sam usiadł za kierownicą. Wrzucił wsteczny bieg, niezdarnie wymanewrował samochód ze śmieci, przez krawężnik na ulicę. Opuścił szybę i do nadbiegających niedoszłych wybawicieli krzyknął:

- Przepraszam bardzo! Wszystko w porządku! Po prostu trochę za dużo wypłem!

Grupa zainteresowanych rozeszła się szybko - jedni gestami przywoływali Bourne'a do porządku, inni wracali do pozostawionych partnerów. Jason oddychał głęboko usiłując opanować mimowolne drżenie, które ogarnęło całe jego ciało. Wrzucił jedynekę: samochód

skoczył do przodu. Z pamięci, która mu nie dopisywała, usiłował odtworzyć obraz Zurychu.

Orientował się z grubsza, gdzie jest - gdzie był - a co ważniejsze, dokładnie wiedział, jak się ma Guisan Quai do Limmat.

Machen Sie mal los! Der Guisan Quai!

Marie St. Jacques miała zostać zamordowana na Guisan Quai, a jej ciało wrzucone do Limmat. Było tylko jedno miejsce, w którym Guisan i Limmat się spotykały, a mianowicie ujście rzeki do Jeziora Zuryskiego od strony zachodniej. Gdzieś na pustym parkingu albo w opustoszałym ogrodzie z widokiem na wodę krępy, niski mężczyzna miał na rozkaz martwego pracodawcy dokonać egzekucji. Być może do tej pory zdążył już oddać strzał albo zatopić nóż po rękojeść - tego Jason nie mógł wiedzieć, ale musiał sprawdzić. Obojętne, kim czy też czym był, nie mógł ot tak po prostu sobie odejść.

Jako profesjonalista czuł jednak, że przede wszystkim powinien zboczyć w szeroką, ciemną aleję, którą miał przed sobą. Wiózł w samochodzie dwa trupy; stanowiły one ryzyko i obciążenie, które nie sposób było zlekceważyć. Cenne sekundy, które poświęci na pozbycie się niewygodnego ładunku, oszczędzą mu może spotkania z policjantem, który zaglądając do samochodu przez szybę zobaczyłby śmierć.

Ocecił to na trzydzieści dwie sekundy; wywleczenie z samochodu jego niedoszłych zabójców zajęło mu niespełna minutę. Kiedy utykając obchodził maskę samochodu zmierzając ku drzwiom, jeszcze raz na nich spojrzął. Leżeli koło siebie nieprzyzwoicie powykęceni pod obskurnym murem z cegieł. W ciemności.

Usiadł za kierownicą i wycofał samochód z alei.

Der Guisan Quai!

Dojechał do skrzyżowania i stanął na światłach. Światła. Po lewej stronie, kilka przecznic na wschód, widział światła wznoszące się łagodnym łukiem ku mrocznemu niebu. Most! Rzeka Limmat! Kiedy zapaliło się zielone światło, wykonał skręt w lewo.

Ponownie znalazł się na Bahnhofstrasse; po kilku minutach dotarł do General Guisan Ufer. Szeroka aleja biegła najpierw wzdłuż jeziora, a następnie rzeki. Wkrótce po lewej ręce dojrzał ciemne zarysy parku, latem stanowiącego raj dla spacerowiczów, teraz jednak całkiem wyludnionego i pogrążonego w mroku. Minął wjazd dla samochodów; nad białą nawierzchnią drogi wisiał ciężki łańcuch przymocowany do dwóch kamiennych słupków. Po chwili minął drugi wjazd, również zagrodzony łańcuchem, niby dokładnie taki sam, a jednak... Bourne zatrzymał samochód i rozejrzał się uważnie; podniósł leżącą na siedzeniu latarkę, którą zabrał swojemu niedoszłemu zabójcy, i włączył ją kierując snop światła na łańcuch. O co mogło chodzić? Co było nie tak?

Nie chodziło o łańcuch, lecz o to, co znajdowało się pod nim, na białej nawierzchni utrzymywanej w idealnej czystości przez służby parkowe. Widniały na niej ślady opon, wyraźnie nie pasujące do panującego wokół porządku. Latem nie zwróciłby na nie uwagi, ale teraz rzucały się w oczy. Miał wrażenie, jakby brudy ze Steppdeckstrasse przywędrowały aż tu.

Zgasił latarkę i odłożył ją na siedzenie. Nagle dojmujące pieczenie w rozbitej lewej ręce zlało się z koszmarnym bólem promieniującym z ramienia; Bourne wiedział, że musi starać się o nim zapomnieć, i w miarę możliwości zatamować krwawienie. Koszulę miał podartą; szarpnął za połę i oderwał kawałek materiału, którym owinał lewą dłoń, zaciągając supeł zębami i palcami prawej ręki. Więcej już nic nie mógł zrobić.

Sięgnął po pistolet, własność swojego niedoszłego zabójcy, i sprawdził magazynek. Był pełen. Odczekał, aż przejadą dwa zbliżające się samochody, następnie wyłączył reflektory i zawrócił; zatrzymał wóz tuż przy łańcuchu. Wysiadł, odruchowo sprawdzając, czy może stać na rannej nodze, po czym dokuśtykał do najbliższego słupka i z zamocowanego do niego stalowego kółka zdjął hak. Opuścił łańcuch na ziemię, najciszej jak potrafił, i wrócił do samochodu.

Wrzucił bieg, leciutko nacisnął na pedał gazu i wolno wjechał na rozległy, nie oświetlony parking; biała nawierzchnia skończyła się przechodząc w czarny asfalt, który sprawiał, że panujący wokół mrok wydawał się jeszcze gęstszy. Mniej więcej w odległości dwustu metrów biegła ciemna, prosta linia falochronu osłaniającego brzeg przed naporem wpadającej do Jeziora Zuryskiego rzeki Limmat. Dalej Jason widział światła statków kołyszących się majestatycznie na wodzie, a za nimi nieruchome światła Starego Miasta oraz niewyraźny blask reflektorów palących się na ciemnych przystaniach. Ogarniał to wszystko wzrokiem, ale horyzont go nie interesował - to, czego szukał, musiało znajdować się gdzieś w pobliżu.

Na prawo. Tak, na prawo. Ciemny kształt, ciemniejszy od falochronu, czarna plama na tle nieco jaśniejszej czerni, niewyraźna, ledwo dostrzegalna, ale jednak prawdziwa, w odległości stu metrów... teraz już dziewięćdziesięciu... osiemdziesięciu pięciu... Jason zgasił silnik i zatrzymał wóz. Siedział bez ruchu, wyglądając przez otwarte okno i usiłując dojrzeć coś więcej. Wiedział, że wiatr wiejący znad wody zagłuszył warkot jego silnika.

Jakiś dźwięk. Krzyk. Niski, stłumiony... krzyk przerażenia. Potem mocne pacnięcie, jakby odgłos ciosu, po nim drugie i trzecie. Znow krzyk, urwany w połowie, niosący się echem wśród ciszy.

Bourne wysiadł bezszelestnie z samochodu, z pistoletem w prawej ręce, z latarką w zakrwawionej i obolałej lewej, po czym najciszej jak umiał zaczął się skradać, kuśtykając, w

stronę mającego niewyraźnie czarnego kształtu.

Najpierw dostrzegł to, co widział wówczas, kiedy niewielki czarny wóz zniknął w mroku Steppdeckstrasse: błyszczący, pogięty zderzak, który lśnił teraz w blasku księżyca.

Cztery szybkie pacnięcia, odgłosy uderzeń dłoni o gołe ciało, odgłosy razów zadawanych w dzikim szale, i następujące po nich okrzyki przerażenia. Okrzyki natychmiast tłumione, przechodzące w ciche jęki, odgłosy szamotaniny - to wszystko dochodziło z wnętrza wozu!

Jason pochylił się najniżej jak mógł i okrążywszy tył samochodu zakradł się do prawego bocznego okna. Powoli wyprostował się i używając głosu jako straszaka, ryknął w całej sile, jednocześnie kierując do środka potężny snop światła.

- Jeszcze jeden ruch i strzelam!

Widok, jaki ujrział, napełnił go odrazą i wściekłością. Marie St. Jacques leżała na wpół obnażona, ubranie miała podarte na strzępy. Ręce napastnika niczym szpony wbijały się w jej nagie ciało, ugniatały jej piersi, rozchylały uda. Z rozporoka wystawał członek; przed wykonaniem wyroku śmierci zabójca dopuszczał się aktu ostatecznej zniewagi.

- Wyłaż, ty skurwysynu!

Nagle szyba pękła na drobne kawałki. Gwałcieciel w mig pojął, że Bourne nie użyje pistoletu z obawy przed zabiciem dziewczyny; zsunął się więc ze swojej ofiary, mocno waląc obcasem w okno. Szkło rozprysło się, ostre odłamki posypały się prosto w twarz Jasona. Zamknął oczy i odsunął się w tył.

Drzwi samochodu otworzyły się gwałtownie i rozległ się wystrzał, któremu towarzyszył krótki, oślepiający błysk. Rozdzierający ból przeszył prawy bok Bourne'a. Kula rozerwała płaszcz i resztki koszuli, na którą trysnęła krew. Bourne pociągnął za spust, choć zamroczony ledwie widział toczącego się po ziemi zbira. Ponownie wystrzelił - kula trafiła w asfaltową nawierzchnię; zbir turlając się i czołgając, znikł mu z pola widzenia, chroniąc się w najczarniejszym mroku.

Jason wiedział, że zginie, jeśli nie ruszy się z miejsca. Powłócząc nogą, czym prędzej rzucił się w stronę otwartych drzwi samochodu i skrył się za nimi.

- Nie wychodź! - krzyknął do Marie St. Jacques, która w popłochu usiłowała wydostać się na zewnątrz. - Do jasnej cholery, nie ruszaj się!

Huk wystrzału; kula trafiła w drzwi pojazdu, i wtem nad krawędzią falochronu zamajaczyła sylwetka biegnącej postaci. Bourne oddał dwa strzały i poczuł satysfakcję, kiedy w oddali usłyszał jęk. Zranił napastnika; nie zabił go, ale przynajmniej wróg będzie teraz mniej sprawny niż przed minutą.

Światła. Przyćmione światła... kwadratowe, jakby w ramkach!

Skąd się wzięły? Co znaczyły? Spojrzał w lewo i zobaczył coś, czego nie dostrzegł wcześniej. Mały, murowany budynek przy falochronie. Stróżówka. Wewnątrz zapalono światło; ktoś usłyszał strzały.

- Was ist! Ist da jemand?

W oświetlonych drzwiach pojawiła się postać starego, zgarbionego człowieka. Po chwili silny błysk jego latarki przeciął ciemności tam, gdzie mrok był najgęstszy. Bourne odwrócił głowę z nadzieją, że może światło padnie na napastnika.

I padło. Stał pochylony przy falochronie. Jason wyprostował się i pociągnął za spust. Na dźwięk wystrzału starzec ze stróżówki skierował latarkę w stronę pojazdu. Teraz Bourne stanowił idealny cel. Z ciemności rozległy się dwa strzały: jedna kula odbiła się od listwy biegnącej wzdłuż okna. Rykoszet trafił Jasona w szyję, trysnęła krew.

Odgłos biegnących kroków. Wróg pędził w stronę stróżówki, skąd dochodziło światło.

- Nein!

Dobiegł. Rzucił się na postać w drzwiach, otaczając ją ramieniem i unieruchamiając niczym w klatce. Latarka zgasła. W świetle padającym z okna Jason widział, że zabójca

ciągnie starca w mrok, używając go jako tarczy.

Z bronią daremnie wycelowaną nad maską samochodu Bourne patrzył za nim, dopóki jeszcze rozróżniał kształty. Czuł się bezradny i pozbawiony sił.

Usłyszał ostatni strzał, a po nim chrapliwy jęk i znów odgłos biegnących nóg. Kat wykonał wyrok śmierci, nie na skazanej kobiecie, lecz na niewinnym starcu, i teraz uciekał.

Bourne nie mógł już biec, ból wreszcie zmógł go do końca: wszystko wirowało mu przed oczami, zgasł jego instynkt przetrwania. Osunął się na asfalt. Pograżył się w pustce, nic go nie obchodziło.

To nieważne kim jest. Nieważne.

Marie St. Jacques wyczołgała się z samochodu, przytrzymując swoje podarte ubranie: każdy jej ruch świadczył o szoku, jaki przeżyła. Spojrzała na Jasona i w jej oczach pojawił się wyraz zaskoczenia, strachu i dezorientacji.

- Niech pani ucieka - szepnął Jason mając nadzieję, że go słyszy. - Tam dalej stoi mój wóz, kluczyki są w środku. Niech pani ucieka. On może tu wrócić z innymi.

- Pan wrócił po mnie - powiedziała tonem bezbrzeżnego zdumienia.

- Uciekaj, kobieto! Wsiadaj do samochodu i zmykaj stąd czym prędzej! Gdyby ktoś próbował, cię zatrzymać, rozjedź go. Musisz dotrzeć na policję... do prawdziwych glin, w mundurach... - W gardle go paliło, a wnętrzości przenikał mu dojmujący chłód. Ogień i lód; już kiedyś doświadczył takiego uczucia. Gdzie to było?

- Uratował mi pan życie... - ciągnęła dalej tym samym tonem; miał wrażenie, że jej słowa same unoszą się w powietrzu. - Wrócił pan po mnie. Wrócił tu po mnie... i uratował mi życie.

- Niech pani nie robi ze mnie bohatera.

Nie o panią mi chodziło, pani doktor. Moje zachowanie było odruchowa reakcją na stres, podyktowaną przez instynkt zrodzony z zapomnianych wspomnień. Widzi pani? Umieję to wytłumaczyć... ale nic mnie już nie obchodzi. Co za ból... o mój Boże, co za ból...

- Był pan wolny. Mógł uciec, ale nie zrobił tego. Wrócił pan po mnie.

Słyszał jej głos poprzez warstwy bólu. Otworzył oczy i to, co zobaczył, wydało mu się całkiem pozbawione sensu, równie bezsensowne jak ból, który go przeszywał. Kobieta klęczała tuż obok niego, dotykała jego głowy, jego twarzy. *Przestań! Nie ruszaj! Zostaw mnie!*

- Dlaczego? - to był jej głos, nie jego.

Kobieta zadała mu pytanie. Czy nic nie rozumiała? Nie mógł jej odpowiedzieć.

Co ona robi? Oderwała od sukienki kawałek materiału i owinęła mu wokół szyi; po chwili oderwała drugi, większy. Poluzowała mu pasek u spodni i zaczęła wsuwać cienką, miękką tkaninę na jego rozpalone prawe biodro.

- Wcale nie chodziło o panią. - Odnalazł właściwe słowa i szybko je wypowiedział. Pragnął spokoju, jaki niesie z sobą ciemność; już kiedyś go pragnął, ale nie pamiętał kiedy. Zdawał sobie jednak sprawę, że znajdzie go dopiero wówczas, gdy zostanie sam. - Tamten facet... On mnie widział. Mógł mnie rozpoznać. Chodziło o niego. Wróciłem po to, żeby go wykończyć. Niech sobie pani idzie!

- Nie on jeden pana widział - odparła jakby z przekorą. - Nie wierzę panu.

- Ależ mówię prawdę!

Wstała, a po chwili znikła. Odeszła! Wreszcie go zostawiła! Wkrótce ogarnie go spokój, pograży się w ciemnej, wzburzonej wodzie, która zmyje z niego ból. Oparł głowę o samochód i zaczął odpływać wraz ze swymi myślami.

Jakiś hałas przerwał ciszę. Miarowy, denerwujący warkot silnika. Przeszkadzał mu, zakłócał spokój fal, na których się kołysał. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś rękę, potem drugą; delikatnie usiłowały go podnieść.

- Proszę - odezwał się głos. - Niech pan spróbuje wstać.

- Puść! - krzyknął tonem rozkazującym, ale rozkaz nie został spełniony. Ogarnął go gniew; rozkazy powinno się wykonywać!... Ale nie zawsze, szepnął jakiś wewnętrzny głos. Znow wiał wiatr, ale nie tu, w Zurychu, tylko gdzieś indziej, wysoko na nocnym niebie. Nagle ujrzał jakiś znak, błysk światła i ciśnięty przez potężną nową falę poderwał się na nogi.

- Świetnie. Bardzo proszę - powiedział irytujący głos, który lekceważył jego rozkazy.
- A teraz proszę podnieść nogę. No, do góry! O tak. Znakomicie. A teraz niech pan wsunie się do środka i usiądzie... powoli... bardzo dobrze.

Leciał... spadał z czarnego jak smoła nieba. A potem lot się zakończył, wszystko się skończyło i zapanowała cisza; słyszał tylko własny oddech... i kroki, tak, słyszał też kroki... a potem odgłos zatraskiwanych drzwi... i miarowy, denerwujący warkot, który rozlegał się gdzieś pod nim, przed nim... wszędzie.

Ruch, kołysanie się. Stracił równowagę i ponownie zaczął spadać, lecz wtem ktoś go przytrzymał, czyjeś ciało było przy jego ciele, czyjaś ręka dotykała jego dłoni, zmuszała go, żeby się położył. Poczuł chłód na twarzy, a po chwili nie czuł już nic. Znow unosił się na wodzie; fale były teraz łagodniejsze, mrok pełny.

Gdzieś nad sobą, niezbyt daleko, słyszał głosy. W świetle padającym z lamp przedmioty powoli zaczynały nabierać ostrości. Leżał w dość obszernym pokoju, na wąskim łóżku, przykryty kocami. Na drugim końcu pomieszczenia zobaczył dwie osoby, mężczyznę w płaszczu i kobietę... w białej bluzce i rudawej spódnicy... rudawej tak jak jej włosy...

Marie St. Jacques? Tak, to była ona; stała przy drzwiach i rozmawiała z mężczyzną, który w lewej ręce trzymał skórzaną walizeczkę. Mówili po francusku.

- Najważniejszy jest wypoczynek - powiedział mężczyzna. - Jeśli zdecydują się państwo wcześniej wyjechać, szwy może usunąć każdy. Sądzę, że mniej więcej za tydzień można je będzie zdjąć.

- Dziękuję, panie doktorze.

- To ja dziękuję. Była pani nad wyraz hojna. A teraz muszę iść. Może znow się zobaczymy, a może już nie.

Otworzył drzwi; kiedy wyszedł, kobieta zasunęła zasuwę, po czym odwróciła się i spostrzegła, że Bourne się jej przygląda. Ostrożnie, wolnym krokiem, zbliżyła się do łóżka...

- Słyszysz mnie pan? - spytała. Skinął głową.

- Jest pan ranny - rzekła. - Ciężko ranny. Musi pan poleżeć kilka dni, wtedy obejdzie się bez szpitala. Ten człowiek, który tu był przed chwilą, to, jak się pan zapewne domyśla, lekarz. Zapłaciłam mu z pieniędzy, które miał pan przy sobie: znacznie więcej niż normalnie się płaci lekarzowi, ale powiedziano mi, że można mu zaufać. Zresztą to był pański pomysł. Przez całą drogę powtarzał pan; że trzeba znaleźć lekarza, który za odpowiednią zapłatą będzie trzymał język za zębami. Miał pan rację. Znalezienie go poszło dość łatwo.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał. Usłyszał swój głos, cichy i słaby, ale wyraźny.

- W Lenzburg; to taka mała wioska trzydzieści pięć kilometrów od Zurychu. Lekarz mieszka w pobliskim miasteczku, w Wohlen. Wpadnie do pana za tydzień, o ile pan tu jeszcze będzie.

- A jak... - Usiłował się podnieść, ale zabrakło mu sił. Kobieta położyła rękę na jego ramieniu, nakazując mu, żeby się nie ruszał.

- Opowiem panu wszystko i może wówczas znajdzie pan odpowiedź na swoje pytania... przynajmniej taką mam nadzieję, bo jeśli nie, to obawiam się, że nie będę umiała panu pomóc. - Stała bez ruchu, przyglądając mu się; po chwili opanowanym głosem mówiła dalej. - Jakiś bydlak mnie gwałcił, potem zgodnie z poleceniem miał mnie zabić. Nie było dla mnie żadnego ratunku. Na Steppdeckstrasse próbował ich pan powstrzymać, a kiedy to się panu nie udało, kazał mi pan krzyczeć, wrzeszczeć na całe gardło. Nic więcej nie mógł pan zrobić, a wołając do mnie, żebym krzyczała, ryzykował pan własne życie. Później uwolnił się

pan... Nie wiem jak, ale wiem, że choć został pan ciężko ranny, wrócił pan, żeby mnie odszukać.

- Jego, nie panią - przerwał jej Jason.

- Już mi pan to mówił i moja odpowiedź brzmi tak samo jak poprzednio: nie wierzę panu. Nie dlatego, że kiepski z pana łgarz, ale dlatego, że nie zgadza się to z faktami. W pracy mam do czynienia ze statystyką, panie Washburn, panie Bourne, czy jak tam panu. Szanuję dane, potrafię też wyłapać najmniejsze nieścisłości. Tego mnie nauczono. Dwaj mężczyźni weszli za panem do tamtego budynku i sama słyszałam, jak pan mówi, że obaj żyją. Oni też mogliby pana rozpoznać. Podobnie jak właściciel „Drei Alpenhäuser”. Takie są fakty i wie pan o nich równie dobrze jak ja... Nie, pan wrócił po mnie. Wrócił pan i uratował mi życie.

- Niech pani mówi dalej - poprosił trochę już silniejszym głosem. - Co było potem?

- Potem podjęłam decyzję, najtrudniejszą decyzję w moim życiu. Wydaje mi się, że taką decyzję może podjąć tylko osoba, która była o krok od straszliwej śmierci i która zawdzięcza życie innemu człowiekowi. Postanowiłam panu pomóc... Poświęcić choć kilka godzin, ale pomóc panu w wydostaniu się z miasta.

- Dlaczego nie pojechała pani na policję?

- Chciałam; sama nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam. Może z powodu gwałtu, naprawdę nie wiem. Jestem z panem szczerą. Mówi się, że gwałt to najstraszniejsza rzecz, jaka może spotkać kobietę. Teraz wiem, że to prawda. Kiedy pan wrzasnął na tego drania, usłyszałam w pańskim głosie wściekłość i obrzydzenie. Choćbym bardzo chciała, do końca życia nie zapomnę tego, co mi się przydarzyło.

- Dlaczego nie pojechała pani na policję? - powtórzył.

- Ten człowiek w „Drei Alpenhäuser” powiedział, że policja pana szuka. Że podano numer telefonu, pod który należy dzwonić, gdyby się pana widziało. - Na moment zamilkła. - Nie mogłam pana oddać w ręce policji. Nie po tym, co pan dla mnie zrobił.

- Mimo że wiedziała pani, kim jestem?

- Wiedziałam tylko to, co usłyszałam, a to, co usłyszałam, nijak nie przystawało do obrazu rannego człowieka, który uratował mi życie narażając własne.

- Niezbyt mądre rozumowanie.

- Myli się pan, panie... Bourne, prawda? Tak on pana nazwał... Potrafię bardzo mądrze rozumować.

- Uderzyłam panią. Groziłam śmiercią.

- Gdybym była na pana miejscu i jakieś typy próbowałyby mnie zabić, to jeśli dałabym radę, postąpiłabym dokładnie tak samo...

- Więc wywiozła mnie pani z Zurychu...

- Ale nie od razu. Przez pół godziny jeździłam bez celu, musiałam się uspokoić, podjąć decyzję. Jestem osobą działającą metodycznie.

- Zaczynam to dostrzegać.

- Byłam roztrzęsiona, w opłakanym stanie. Potrzebne mi było jakieś ubranie, szczotka do włosów, kosmetyki. Nie mogłam się nikomu pokazać na oczy. Zatrzymałam się przy budce telefonicznej nad rzeką, nikt nie kręcił się w pobliżu, więc wysiadłam i zadzwoniłam do hotelu...

- Z kim pani rozmawiała? Z tym Francuzem? Z Belgiem?

- Nie. Oni byli na odczycie Bertinellego i pomyślałam sobie, że jeśli rozpoznali mnie wtedy na scenie, to na pewno podali moje nazwisko policji. Rozmawiałam z kobietą, która jest członkiem naszej delegacji. Nie poszła na odczyt, bo nie cierpi Bertinellego. To moja przyjaciółka, pracujemy razem od kilku lat. Powiedziałam jej, żeby się nie przejmowała, jeśli cokolwiek dziwnego o mnie usłyszy. Że nic mi nie jest, a jeśli ktoś zacznie o mnie wypytywać, niech powie, że spędzam wieczór... a gdyby co, to nawet noc... ze znajomym. Że po prostu wyszłam wcześniej z odczytu.

- Istotnie, działa pani bardzo metodycznie.
- Tak. - Pozwoliła sobie na lekki uśmiech. - Poprosiłam, żeby poszła do mojego pokoju... mieszkamy na tym samym piętrze, i pokojówka, która pracuje na nocną zmianę, wie, że się przyjaźnimy... więc poprosiłam, by tam poszła i jeśli nikogo w pokoju nie będzie, to żeby spakowała mi do walizki trochę ciuchów i kosmetyków. Powiedziałam, że zadzwonię do niej za pięć minut.
- I co, bez protestu zastosowała się do pani poleceń?
- Mówiłam panu, że to moja przyjaciółka. Wiedziała, że nic mi nie jest... byłam może podekscytowana, ale to nie powód do obaw. Prosiłam ją tylko o drobną przysługę. - Na moment zamilkła. - Pewnie myślała, że mówię prawdę.
- Co dalej?
- Zadzwoniłam; miała już moje rzeczy, spakowane.
- Czyli panowie delegaci nie zawiadomili policji. W przeciwnym razie pokój byłby zamknięty i pod obserwacją.
- Może, nie wiem. Jeśli zawiadomili później, to policja przesłuchała moją znajomą, a ona powiedziała im to, co usłyszała ode mnie.
- No dobrze, znajoma z pani rzeczami była w hotelu, a pani nad rzeką. W jaki sposób...
- To było łatwe. Trochę jak z kiepskiego romansu, ale łatwe. Powiedziała pokojówce, że chcę uniknąć spotkania z pewnym facetem z hotelu, bo umówiłam się z innym na mieście, że potrzebuję torby ze zmianą bielizny, że czekam w samochodzie przy rzece i czy nie wie, jak można by mi tę torbę dostarczyć... Przywiózł ją kelner, który właśnie skończył służbę.
- Nie zdziwił go pani wygląd?
- Nie miał okazji mi się przyjrzeć. Bagażnik otworzyłam wcześniej, a później nie ruszając się z samochodu poprosiłam, żeby wrzucił tam torbę. Na kole zapasowym zostawiłam banknot dziesięciofrankowy.
- Jest pani kobietą nie tylko działającą metodycznie, ale i bardzo niezwykłą.
- Przesadza pan.
- A jak znalazła pani lekarza?
- Zapytałam konsjerża... tak się tu na nich mówi, prawda? Zanim ruszyliśmy w drogę, okryłam pana najlepiej jak mogłam, zatamowałam krwawienie na tyle, na ile to było możliwe. Jak większość osób znam podstawowe zasady udzielania pierwszej pomocy. Musiałam pana częściowo rozebrać; właśnie wtedy trafiłam na plik pieniędzy, jaki miał pan przy sobie i zrozumiałam, o co panu chodziło z lekarzem, który trzymałby język za zębami. Mój Boże, ma pan dziesiątki tysięcy dolarów. Znam tutejszy kurs wymiany.
- To tylko drobna część.
- Słucham?
- Nie, nic. - Znów usiłował się podnieść i znów okazało się to dla niego zbyt dużym wysiłkiem. - Nie boi się mnie pani? I tego, co pani zrobiła?
- Boję się. Ale wiem, co pan zrobił dla mnie.
- Na pani miejscu nie byłbym taki ufny.
- Pan chyba nie do końca zdaje sobie sprawę z własnego położenia. Jest pan nadal bardzo osłabiony, a ja mam broń. Poza tym jest pan całkiem nagi.
- Całkiem?
- Całkiem. Wyrzuciłam wszystko, nawet pańskie slipy. Wyglądałby pan dość zabawnie biegnąc po ulicy w samym pasku na pieniądze.
- Mimo bólu Bourne roześmiał się, przypominając sobie markiza de Chambord w La Ciotat.
- Bardzo metodycznie pani działa.
- Owszem.

- I co teraz?

- Zapisałam panu nazwisko lekarza i opłaciłam pokój na tydzień. Koksierż będzie przynosił panu posiłki, w południe otrzyma pan pierwszy. Ja wyjadę za kilka godzin; dochodzi już szósta, niedługo powinno się rozwidnić. Wrócę do hotelu po resztę swoich rzeczy i po bilet lotniczy i postaram się nikomu nie pisać o panu słówka.

- A jeśli to będzie niemożliwe? Jeśli ktoś panią rozpoznał?

- Zaprzeczę wszystkiemu. Było ciemno. W sali wybuchła panika.

- Rozumuje pani teraz niezbyt metodycznie, a już na pewno nie tak metodycznie, jak będzie to robiła policja szwajcarska. Mam lepszy pomysł. Niech pani zadzwoni do przyjaciółki z prośbą, żeby spakowała wszystkie pani bagaże i zapłaciła za hotel. Potem niech pani weźmie ode mnie pieniądze, ile pani chce, i wsiaździe w pierwszy samolot lecący do Kanady. Łatwiej zaprzeczać na odległość.

Spojrzała na niego w milczeniu i skinęła głową.

- To bardzo kusząca propozycja.

- I bardzo rozsądna.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, a jej oczy zdradzały napięcie, jakie coraz silniej w niej narastało. Wreszcie odwróciła się od łóżka i podeszła do okna, spoglądając w kierunku pierwszych promieni wschodzącego słońca. Obserwował twarz Marie, na którą służywało blade, żółtawe światło poranka, czuł jej zdenerwowanie i wiedział, skąd się brało. Nie mógł kobiecie w niczym pomóc; wybawiona od strachu, od potwornego poniżenia, jakiego żaden mężczyzna nigdy nie zrozumie, od śmierci, robiła to, co uważała za słusne. A swoim postępowaniem łamała wszelkie prawo.

Odwróciła się gwałtownie od okna, oczy jej płonęły.

- Kim pan jest?

- Słyszała pani, co mówili.

- Ale co innego widziałam! Co innego czuję!

- Proszę nie szukać usprawiedliwień dla swoich czynów. Postąpiła pani tak, a nie inaczej. Nie wnikajmy w pobudki, dajmy temu spokój.

Spokój. Boże, dlaczego nie zostawiła mnie pani w spokoju? Czuję teraz tylko pustkę. A tak, odzyskam wkrótce siły i znów będę musiał walczyć, znów stawić wszystkiemu czoło.

Nagle stanęła w nogach łóżka, z bronią w ręce. Wycelowała pistolet w Jasona; głos jej drżał.

- Chce pan, żebym zmieniła zdanie? Żebym zadzwoniła na policję i podała im ten adres?

- Jeszcze kilka godzin temu powiedziałbym, że tak. Ale teraz nie potrafię się na to zdobyć.

- Więc kim pan jest?

- Podobno nazywam się Bourne. Jason Charles Bourne.

- Co to znaczy „podobno”?

Spojrzał na pistolet, na ciemny wylot lufy. Nie pozostało nic innego, jak wyznaczyć prawdę... taką, jaką zdołał poznać.

- Co to znaczy? - powtórzył jej pytanie. - Wie pani o mnie prawie tyle co ja sam.

- Nie rozumiem.

- Dobrze, opowiem pani swoją historię. Może poczuje się pani lepiej. Może gorzej. Nie mam pojęcia. Ale opowiem pani, bo to wszystko, co wiem.

Opuściła pistolet.

- Słucham.

- Moje życie zaczęło się pięć miesięcy temu na Île de Port Nor, niewielkiej wysepce na Morzu Śródziemnym...

Słońce sięgało już koron rosnących przed domem drzew, a jego promienie prześwitujące między targanymi wiatrem gałęziami rzucały na ściany świetliste, nieregularne plamy, kiedy Bourne, całkiem wyczerpany, opadł z powrotem na poduszkę. Skończył swoją opowieść; nie miał już nic do dodania.

Marie, z podkurczonymi pod siebie nogami, siedziała w głębokim, obitym skórą fotelu po drugiej stronie pokoju; na stoliku obok leżał pistolet i paczka papierosów. Kobieta siedziała niemal bez ruchu, ze spojrzeniem utkwionym w Jasonie; nawet kiedy paliła, jej oczy ani razu nie przesunęły się po pokoju, ani razu nie oderwały od twarzy mężczyzny. Słuchała go z uwagą analityka, który szacuje dane, ocenia fakty.

- Ciągłe pan to powtarzał - powiedziała cicho, kolejne słowa wymawiając bardzo powoli: - „Nie mam pojęcia”... „Sam chciałbym to wiedzieć”. Często wpatrywał się pan w coś tak intensywnie, że ogarniał mnie lęk. Kiedy pytałam pana, o co chodzi, co pan dalej zamierza, znów padała ta sama odpowiedź: „Nie mam pojęcia”. Mój Boże, to straszne, co pan przeżył... i nadal przeżywa.

- Po tym, jak z panią postąpiłem, pani mi jeszcze współczuje?

- To dwie całkiem różne sprawy - odparła marszcząc w zadumie czoło.

- Różne?

- Wywodzące się z jednego źródła, lecz rozwijające się niezależnie od siebie... bywają takie absurdy w ekonomii... Wtedy na Löwenstrasse, zanim poszliśmy do mieszkania Chernaka, błagałam, żeby pan mnie z sobą nie zabierał. Byłam pewna, że jeśli cokolwiek więcej usłyszę, zabije mnie pan. I wówczas powiedział pan najdziwniejszą rzecz pod słońcem: „To, co pani dotąd usłyszała, jest dla mnie równie pozbawione sensu jak dla pani, a może nawet bardziej...” Pomyślałam sobie, że nie jest pan przy zdrowych zmysłach.

- Amnezja jest pewną formą obłędu. Zdrowy człowiek ma pamięć. Ja nic nie pamiętam.

- Dlaczego się pan nie przyznał, że Chernak chciał pana zabić?

- Nie było czasu na wyjaśnienia i nie wydawało mi się to istotne.

- Może panu nie... ale dla mnie miało to znaczenie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że żywiłam nadzieję, że nie będzie pan pierwszy strzelał do kogoś, kto nie próbuje pana zabić.

- Ależ próbował. Zostałem ranny.

- Nie znałam kolejności wypadków; nie powiedział mi pan o tym.

- Nie rozumiem...

Marie zapaliła papierosa.

- To trudno wytłumaczyć, ale przez cały ten czas, kiedy byłam pańską zakładniczką, nawet wówczas, kiedy mnie pan uderzył czy ciągnął za sobą przytykając mi broń do brzucha, do głowy, bałam się, piekielnie się bałam, ale widziałam coś w pańskich oczach... jakby pewne wahanie, niechęć... Nie umiem tego lepiej określić.

- No dobrze, ale do czego pani zmierza?

- Nie jestem pewna. Przypominam sobie również inną scenę, kiedy siedzieliśmy przy stoliku w „Drei Alpenhäuser”. Na widok tego grubasa, który szedł w naszą stronę, kazał mi pan przysunąć się do ściany i zasłonić ręką twarz. „Dla pani własnego dobra. Po co miałyby panią później rozpoznać”.

- No właśnie, po co.

- „Dla pani własnego dobra”. Morderca psychopata nie myśli tymi kategoriami. Przypominałam sobie te słowa i to dziwne spojrzenie w pańskich oczach... żeby nie zwariować.

- Wciąż nie rozumiem, do czego pani zmierza.

- Ten człowiek w okularach w złotej oprawie, który udawał policjanta, powiedział, że jest pan okrutnym mordercą i że trzeba pana powstrzymać, zanim pan znów kogoś zabije. Gdyby nie ta historia z Chernakiem, nie uwierzyłabym mu. Ani w to, że jest policjantem, ani w to, że pan jest mordercą. Policjanci inaczej się zachowują, nie strzelają w ciemnych uliczkach pełnych ludzi. Pan po prostu starał się... i nadal stara... ocalić własną skórę, ale na pewno nie jest pan mordercą.

Bourne podniósł rękę.

- Pani wybaczy, ale mam wrażenie, że pani ocena sytuacji wynika z nieuzasadnionego poczucia wdzięczności. Twierdzi pani, że szanuje fakty. W porządku, spójrzmy na fakty. Słyszała pani, co o mnie mówili; bez względu na to, co pani sądzi i czuje, liczą się tamte słowa. Jedno jest pewne: otrzymywałem wypchane pieniędzmi koperty, żeby wykonać konkretne zlecenia, i chyba jest to dość oczywiste, o jakiego typu zlecenia mogło chodzić. Mam konto z szyfrem numerycznym w Gemeinschaft Bank, a na nim ponad cztery miliony dolarów. Skąd się wzięło tyle forsy? W jaki sposób taki człowiek jak ja, umiejący posługiwać się bronią, dochodzi do tak wielkiej fortuny? - Wpatrywał się w sufit; ból powracał, a wraz z nim uczucie beznadziejności. - To są fakty, droga pani. Pora się pożegnać.

Marie wstała z fotela i zgasiła papierosa, następnie podniosła ze stolika pistolet i podeszła do łóżka.

- Czy nie sądzi pan, że zbyt pochopnie pan się potępia?

- Szanuję fakty.

- A zatem jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, również i mnie czeka pewne konkretne zadanie do spełnienia... jako praworządny i prawomyślny obywatel powinnam zadzwonić na policję i donieść, gdzie się pan ukrywa.

Uniosła wyżej pistolet. Bourne odwrócił głowę.

- Myślałem, że...

- Że co? - przerwała mu. - Przecież uważa się pan za zbira, z którym jak najszybciej należałoby skończyć, nieprawdaż? Leży pan tu, mówiąc o sobie z taką ostatecznością, a jednocześnie chyba rozczulając się nad sobą i licząc na moje... - jak to pan określił? - nieuzasadnione poczucie wdzięczności, tak? Powiem panu coś. Nie jestem idiotką. Gdybym choć przez chwilę wierzyła w to, co o panu mówią inni, nie byłoby mnie tu; pana też nie. Fakty nie poparte dowodami nie są faktami. Pan nie przedstawił mi żadnych faktów, tylko konkluzje, wnioski, jakie pan wyciągnął na podstawie słów ludzi, których sam pan uważa za śmieci.

- I na podstawie tajemniczego konta z czterema milionami dolarów. Proszę o nim nie zapominać.

- Jakżebym mogła? Uchodzę za geniusza od spraw finansowych. Nie wiem, czy ucieszy się pan, kiedy pozna rzeczywisty powód, dla którego założono panu to konto, ale przynajmniej jest ono zaopatrzone w klauzulę nadającą wszystkiemu w miarę normalny charakter. Zgodnie z nią każdy upoważniony dyrektor korporacji Tread coś tam może mieć w nie wgląd, a przypuszczalnie nawet naruszyć jego zawartość. Płatni mordercy nie miewają takich kont.

- Co z tego, że nazwa korporacji figuruje w klauzuli, skoro nie znalazłem jej w żadnej książce telefonicznej?

- W książce telefonicznej? Ależ pan naiwny... Wracajmy jednak do przerwane go wątku. To jak, mam dzwonić na policję czy nie?

- Zna pani moją odpowiedź. Wolałbym nie, ale nie mogę pani powstrzymać.

Opuściła pistolet.

- W porządku, nie zadzwonię. Z tego samego powodu, dla którego pan wolałby, żebym nie dzwoniła. Oboje nie wierzymy, że jest pan tym, za kogo tamci pana uważają.

- Więc w co pani wierzy?

- Nie wiem, nie jestem pewna. Wiem tylko to, że siedem godzin temu leżało na mnie wstrętne bydle; czułam na sobie jego usta, ręce, i byłam przekonana, że za chwilę zginę, i że przyszedł mi na ratunek człowiek, który zamiast uciekać, wrócił po mnie, narażając własne życie. Chyba po prostu wierzę w tego człowieka.

- A jeśli się pani myli?

- Jeśli się mylę, to znaczy, że popełniam wielki błąd.

- Dziękuję. Gdzie są moje pieniądze?

- Na biurku. W portfelu, obok paszportu. Wsunęłam tam również kartkę z nazwiskiem lekarza i opłacony rachunek za pokój.

- Mogłaby mi je pani podać? To są franki szwajcarskie.

- Wiem. - Wręczyła mu portfel. - Konsjerż dostał trzysta za pokój i dwieście za nazwisko lekarza. Honorarium lekarza wyniosło czterysta pięćdziesiąt, dodałam mu sto pięćdziesiąt za zachowanie dyskrecji. W sumie wydałam tysiąc sto franków.

- Nie musi się pani wyliczać.

- Ale chcę. Co pan zamierza?

- Dać pani pieniądze na powrót do Kanady.

- Chodziło mi o to, co pan później zamierza.

- Zobaczę, jak się będę czuł. Myślę, że za odpowiednią zapłatą konsjerż kupi mi jakieś ubranie. Dam sobie radę.

Wyjął z portfela plik banknotów o wysokich nominałach i wręczył je kobiecie.

- Ależ to ponad pięćdziesiąt tysięcy franków.

- Wiele pani wycierpiała.

Spojrzała na pieniądze, a potem na pistolet, który wciąż trzymała w lewej ręce.

- Nie wezmę ich - oświadczyła, kładąc broń na stoliku nocnym.

- Jak to?

Odwróciła się w stronę fotela; siadając popatrzyła na mężczyznę.

- Chcę panu pomóc.

- Ale pani nie...

- Proszę - przerwała mu - ...proszę mnie o nic teraz nie pytać, i przez chwilę nic do mnie nie mówić.

CZĘŚĆ II

Nie wiedzieli, kiedy się nawiązała, ani prawdę rzekłszy, czy w ogóle. A jeśli tak, to do jakiego stopnia będą się starali tę więź utrzymać lub pogłębić. Przestało dochodzić między nimi do spięć, znikły konflikty, problemy. Nastąpiło porozumienie wyrażające się w słowach, w spojrzeniach i - nie mniej od nich ważnych - częstych wybuchach serdecznego śmiechu.

Ich wzajemne stosunki były jednak tak sterylne, jakby przebywali w szpitalu, a nie w małym wiejskim pensjonacie, gdzie wynajmowali pokój. W ciągu dnia Marie zajmowała się takimi przyziemnymi sprawami, jak kupowanie ubrań, map, gazet, i dostarczanie posiłków. Od razu na samym początku wybrała się do odległego o szesnaście kilometrów miasteczka o nazwie Reinach; tam porzuciła skradziony samochód i wróciła do Lenzburg taksówką. Bourne zaś, kiedy zostawał sam, poświęcał czas na odpoczynek i gimnastykę. Coś z zapomnianej przeszłości mówiło mu, że szybki powrót do zdrowia zależy od jednego i drugiego, więc do obu rzeczy przykładał się z żelazną dyscypliną. Już kiedyś to robił... jeszcze przed Port Noir.

Kiedy byli razem, na ogół rozmawiali; z początku szło im to opornie, toczyli szermierkę słowna jak dwoje obcych ludzi, którzy zetknęli się na skutek okoliczności i jeszcze nie całkiem wrócili do równowagi po przeżytych szoku. Starali się zachowywać normalnie, choć o normalności nie mogło być mowy, i dopiero kiedy zaakceptowali nienormalność sytuacji, ich kontakt stał się łatwiejszy. Prawie wszystko, o czym mówili, siłą rzeczy obracało się wokół niedawnych wydarzeń. Tematy neutralne zaś pojawiały się tylko wtedy, gdy wyczerpani roztrząsaniem tego, przez co przeszli, na moment milkli; cisza, jaka zapadała, stanowiła odskocznnię do nowych słów i innych myśli.

Właśnie podczas jednej z takich przerw Jason dowiedział się kilku ważnych faktów o kobiecie, której zawdzięczał życie. Pewnego dnia zaprotestował, że ona wie o nim tyle samo co on, a on o niej zupełnie nic. Skąd pochodzi? Jak to się stało, że taka atrakcyjna kobieta o kasztanowych włosach, i cerze świeżej jakby całe życie spędziła na farmie, została doktorem ekonomii?

- Bo znudziła się jej farma.

- Serio? Naprawdę mieszkałaś na wsi?

- Tak, na małym ranczo, to znaczy małym w porównaniu z tymi wielkimi posiadłościami, jakie widuje się w Albercie. W czasach młodości mojego ojca, kiedy Kanadyjczyk francuskiego pochodzenia wyruszał na zachód, żeby kupić ziemię, ograniczały go pewne niepisane prawa. Jedno z nich brzmiało: nie staraj się być lepszy od tych, co stoją w hierarchii wyżej od ciebie. Ojciec często mawiał, że gdyby miał na nazwisko St. James zamiast St. Jacques, byłby dziś znacznie bogatszym człowiekiem.

- Był ranczerem?

Marie roześmiała się.

- Został nim. Z księgowego przekwalifikował się na ranczera pod wpływem latania na bombowcach. W czasie wojny służył w Królewskim Lotnictwie Kanadyjskim. Podejrzewam, że praca księgowego wydała mu się tak nudna w porównaniu z lataniem w przestworzach, że nie umiał do niej wrócić.

- Taka decyzja wymagała wiele odwagi.

- Bardzo wiele. Zanim dorobił się rancza, sprzedawał cudze bydło na ziemi, która też nie należała do niego. Francuz z krwi i kości, mawiali o nim ludzie.

- Chybaby mi się spodobał.

- Jestem tego pewna.

Marie mieszkała w Calgary z rodzicami i dwoma braćmi, dopóki nie skończyła, osiemnastu lat, po czym dostała się na McGill University w Montrealu i rozpoczęła nowe

życie, o jakim nigdy nie śniła. Przeciętna uczennica, która wolała konne przejażdżki po rozległych polach niż nudny ład w prowadzonej przez zakonnice szkole z internatem w Albercie, nagle odkryła przyjemność płynącą z wysiłku umysłowego.

- To przyszło samo z siebie. Zawsze traktowałam książki z wrogością i nagle znalazłam się wśród ludzi, którzy byli nimi pochłonięci i cudownie się tym bawili. Toczyły się nieustanne dyskusje, dniami, nocami, w salach wykładowych, na seminariach, przy zatłoczonych stolikach nad kuflami piwa. To chyba te dyskusje zmieniły moje nastawienie. Rozumiesz, prawda?

- Rozumiem, choć sam nic takiego nie pamiętam. Żadnych studiów czy znajomych, ale te wspomnienia gdzieś we mnie muszą tkwić. - Uśmiechnął się. - Dyskusje nad kuflami piwa... dość wyrazisty obraz.

Odpowiedziała mu uśmiechem i ciągnęła dalej.

- Przyznam ci się, że byłam całkiem niezła w te klocki. Taka silna, krzepka dziewczucha z Calgary, która całe życie usiłowała dorównać dwóm starszym braciom... nic dziwnego, że potrafiłam wypić więcej niż połowa facetów na uniwersytecie.

- Mieli do ciebie pretensje?

- Zazdrościli mi.

Przed Marie St. Jacques stanął otworem zupełnie nowy świat i do starego już nigdy nie wróciła. Poza wypadami do Calgary w czasie przerw semestralnych, dłuższe pobyty w domu stawały się coraz rzadsze. Krąg znajomych w Montrealu powiększał się, a letnie miesiące wypełniała jej praca na terenie uniwersytetu lub poza nim. Z początku pociągala ją historia, później zrozumiała, iż historię kształtują siły ekonomiczne - żeby państwo było potężne, musi mieć czym płacić - więc postanowiła poznać teorie ekonomii. Pochłonęły ją bez reszty.

Studiowała na McGill pięć lat, zwieńczeniem studiów był tytuł magisterski oraz stypendium rządu kanadyjskiego na studia doktoranckie w Oksfordzie.

- Co to był za dzień! Myślałam, że ojciec dostanie ataku apopleksji. Wyobraź sobie, że zostawił swoje ukochane bydło pod opieką moich braci, a sam przyleciał do Montrealu, żeby wybić mi pomysł z głowy.

- Wybić ci pomysł z głowy? Ale dlaczego? Przecież kiedyś sam był księgowym, a ty zamierzałaś pisać doktorat z ekonomii...

- Popelniasz ten sam błąd co wszyscy! - zawołała. - Wbrew pozorom, księgowi i ekonomiści to najwięksi wrogowie. Jedni widzą pojedyncze drzewa, drudzy cały las, więc ich oceny rzadko bywają zbieżne. Poza tym mój ojciec był nie tylko Kanadyjczykiem, ale Kanadyjczykiem francuskiego pochodzenia, a to różnica. Uznał mnie wręcz za zdrajczynię. Dał się udobruchać dopiero wówczas, gdy dowiedział się, że po powrocie z Anglii do kraju każdy stypendysta musi przepracować minimum trzy lata w administracji państwowej. Ucieszył się, że „będziemy mieli w rządzie swojego człowieka”. Vive Québec, vive la France!

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Trzyletni okres pracy w Ottawie ze zrozumiałych względów wydłużył się: ilekroć bowiem Marie zamierzała odejść; otrzymywała awans, a co za tym idzie, większy gabinet oraz liczniejszy personel.

- Poczucie władzy działa oczywiście jak narkotyk - rzekła z uśmiechem. - I nikt tego lepiej nie wie niż urzędnik państwowy, o którego względy zabiegają różne banki i spółki. Chyba Napoleon ujął go najtrafniej: „Dajcie mi dość orderów, a wygram wam każdą bitwę”. W każdym bądź razie zostałam. Praca, którą wykonuję, sprawia mi ogromną przyjemność. Może dlatego, że dobra jestem w tym, co robię.

Jason wpatrywał się w nią uważnie, kiedy opowiadała mu o sobie.

Pod zewnętrzną warstwą opanowania kryło się w niej coś z dziecka: tryskająca radość

życia. Była osobą pełną werwy, która starała się hamować swój zapał, ilekroć jej zdaniem stawał się nazbyt widoczny. Jason nie wątpił, że Marie jest świetnym fachowcem; podejrzewał, że wszystko, do czego się bierze, wykonuje z pełnym poświęceniem.

- Jestem tego pewien - rzekł. - Ale czy masz czas na inne sprawy?

- Jakie sprawy?

- No wiesz... mąż, dzieci, domek z białym płotkiem.

- Może kiedyś założę rodzinę. Nie wykluczam tej możliwości.

- Ale dotąd nie założyłaś?

- Nie. Kilka razy byłam zakochana, ale do zaręczyn, pierścionków z diamentami i tak dalej nie doszło.

- Kto to jest Peter?

Uśmiech znikł jej z twarzy.

- Zapomniałam, że czytałeś telegram.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, już to sobie wyjaśniliśmy, a Peter... Uwielbiam Petera! Mieszkaliśmy razem przez dwa lata, potem się rozstaliśmy.

- Sądząc po telegramie, nie czuje do ciebie żadnej urazy.

- Niechby tylko spróbował! - zawołała ze śmiechem. - Jest dyrektorem mojego wydziału i liczy, że wkrótce wejdzie do rządu. Jeśli tylko zaczniesz stroić fochy, natychmiast opowiem w Ministerstwie Skarbu o wszystkich jego niedociągnięciach i może się pożegnać z ambicjami.

- Napisał, że dwudziestego szóstego wyjdzie po ciebie na lotnisko. Zadepeszuj do niego.

- Tak, będę musiała.

Na temat jej wyjazdu nigdy nie rozmawiali, starannie go unikali, wiedząc, że prędzej czy później musi nastąpić. Rozstanie było sprawą przyszłości, a ich rozmowy obracały się wokół tego, co się zdarzyło w przeszłości. Kiedy Marie oznajmiła, że pragnie mu pomóc, Jason zgodził się, myśląc, iż kierowana owym nieuzasadnionym poczuciem wdzięczności, chce z nim zostać jeszcze dzień lub dwa dłużej, i bardzo się z tego powodu ucieszył. Cokolwiek innego nie wchodziło w rachubę.

I dlatego nie mówili o przyszłości. Wymieniali słowa i spojrzenia, wybuchali cichym śmiechem, nawiązywali przyjazny kontakt. Zdarzały się chwile nieśmiałej czułości, ale wtedy oboje świadomi niebezpieczeństwa szybko się wycofywali. Cokolwiek innego nie wchodziło w rachubę.

Powracali więc w rozmowach do nienormalności sytuacji, do minionych wydarzeń. Częściej oczywiście dyskutowali o tym, co przydarzyło się jemu, nie jej, bo to on stanowił irracjonalną przyczynę ich bycia razem... razem w jednym pokoju w małym szwajcarskim pensjonacie. W racjonalnym, uporządkowanym świecie Marie St. Jacques nie występowały takie anormalne sytuacje i właśnie dlatego, że nie występowały, jej chłodny, analityczny umysł został pobudzony do działania. Niedorzeczności należało zbadać, rozwikłać, wyjaśnić. Zaczęła bezlitośnie drążyć pamięć Jasona; była równie nieustępliwa jak Geoffrey Washburn z Île de Port Noir, lecz pozbawiona jego cierpliwości. Wiedziała, że na cierpliwość, nie ma czasu i to sprawiało, że niekiedy posuwała się za daleko.

- Co cię uderza, kiedy czytasz gazety?

- Chaos. Który jest chyba zjawiskiem uniwersalnym.

- Nie żartuj. Czy cokolwiek wydaje ci się znajome?

- Prawie wszystko, ale nie umiem powiedzieć dlaczego.

- Na przykład co?

- Dziś rano przeczytałem artykuł o wysyłce drogą morską amerykańskiej broni do

Grecji i o debacie, jaka później miała miejsce w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Rosjanie wyrazili protest. Rozumiem powagę sytuacji, znam powody walki o władzę w krajach śródziemnomorskich, wiem o kryzysie na Bliskim Wschodzie.

- Podaj inny przykład.

- Był artykuł o ingerencji rządu wschodnioniemieckiego w sprawy ambasady zachodnioniemieckiej w Warszawie. Państwa bloku wschodniego, zachodniego... to też rozumiem.

- Wiesz, o czym to świadczy, prawda? Że twój umysł jest wyczulony na sprawy związane z polityką, z geopolityką.

- Albo że posiadam zwykłą, normalną wiedzę o tym, co się dzieje we współczesnym świecie. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek był dyplomata. Wysokość mojego konta w Gemeinschaft Bank raczej wyklucza pracę na państwowej posadzie.

- Zgadzam się, ale jednak orientujesz się w polityce. A co z mapami? Prosiłeś, żeby ci je kupić. O czym myślisz, kiedy na nie patrzysz?

- Czasem nazwy miejscowości przywodzą mi na myśl pewne obrazy, tak jak to miało miejsce w Zurychu. Widzę budynki, hotele, ulice... rzadziej twarze, które zawsze są bezimiennie.

- Dużo podróżowałeś.

- Chyba tak.

- Na pewno tak.

- No dobrze, masz rację.

- Jak podróżowałeś?

- Jak to jak?

- Czym częściej? Samolotem czy samochodem? Nie chodzi mi o taksówki, tylko pojazd własnoręcznie prowadzony.

- Jednym i drugim. A dlaczego?

- Gdybyś powiedział, że samolotem, oznaczałoby to, że częściej odbywałeś dalekie podróże. Czy w trakcie wyjazdów spotykałeś się z ludźmi? Na lotnisku? Może w hotelu?

- Na ulicy - odparł niemal odruchowo.

- Na ulicy? Dlaczego na ulicy?

- Nie wiem. Spotykaliśmy się na ulicy... i w cichych, ciemnych pomieszczeniach.

- W restauracjach? Kawiarniach?

- Tak... i w pokojach.

- Hotelowych?

- Tak.

- Nie w biurach? Gabinetach?

- Może czasem. Ale rzadko.

- W porządku. Spotkania. Twarze. Czyje? Mężczyzn? Kobiet? Jednych i drugich?

- Na ogół mężczyzn. Niekiedy kobiet, ale przeważali mężczyźni.

- O czym mówili?

- Nie wiem.

- Postaraj się sobie przypomnieć.

- Nie mogę. Nie pamiętam żadnych głosów, słów.

- To nie były przypadkowe spotkania, prawda? Spotykałeś się z ludźmi, to znaczy, że byłeś z nimi umówiony. Oczekiwali ciebie, a ty ich. Kto wyznaczał te spotkania? Bo ktoś musiał.

- Przesyłano telegramy albo dzwoniło...

- Kto przysyłał? I skąd?

- Nie wiem. Wiadomość zawsze do mnie docierała.

- Do hotelu?

- Nie pamiętam. Chyba tak.
- Powiedziałeś, że z tego, co mówił zastępca dyrektora hotelu „Carillon”, wynikało, że zostawiano ci wiadomości w recepcji.
- Tak, rzeczywiście.
- Kto zostawiał? Ludzie z tego Tread coś tam?
- Treadstone-71.
- Treadstone-71. Czy to tam pracowałeś?
- Nazwa nic mi nie mówi. Nie figuruje w żadnym spisie.
- Skup się!
- Jestem skupiony. Ale powtarzam: ta nazwa nigdzie nie figuruje. Specjalnie dzwoniłem do Nowego Jorku.
- Dziwi cię to, a nie ma w tym nic dziwnego.
- Jak to?
- Treadstone może być samodzielnym wydziałem albo filią zajmującą się skupem towarów na rzecz macierzystego koncernu, którego nazwa nie pada podczas transakcji, gdyż mogłoby to podbić cenę. Takie praktyki stosowane są na każdym kroku.
- Kogo ty chcesz przekonać?
- Ciebie. Całkiem możliwe, że jesteś pełnomocnikiem swojej firmy upoważnionym do prowadzenia samodzielnych negocjacji finansowych. Wskazuje na to wysokość konta oraz klauzula, z której nigdy dotąd nie skorzystano, pozwalająca upoważnionym osobom mieć wgląd w jego stan. Te dwa fakty oraz twoje rozeznanie w przetarasowaniach politycznych świadczą o tym, że jesteś zaufanym pracownikiem o szerokich kompetencjach, zapewne udziałowcem, a może nawet i współwłaścicielem macierzystego koncernu.
- Zbyt szybko wyciągasz wnioski.
- Ale wszystko, co powiedziałam, trzyma się kupy.
- Z wyjątkiem jednej czy dwóch rzeczy.
- Jakich?
- Po pierwsze z konta nie podejmowano pieniędzy, tylko je wpłacano. A zatem nic nie kupowałem, raczej coś sprzedawałem.
- Tego nie wiesz na pewno, bo nie pamiętasz. A zresztą, płacić można na różne sposoby.
- To znaczy?
- Ktoś dobrze obeznany w strategiach finansowych na pewno by wiedział. Co ci się jeszcze nie zgadza?
- Nie próbuje się zabić faceta tylko dlatego, że kupuje coś po niższej cenie. Demaskuje się go, ale nie próbuje zabić.
- Próbuje, jeśli się popełniło, jakiś gigantyczny błąd. Albo jeśli się wzięło tego faceta za kogoś innego. Słuchaj, Jasonie, usiłuję ci jedynie wytłumaczyć, że nie jesteś tym, kim myślisz. Bez względu na to, co mówią inni.
- Jesteś o tym przekonana?
- Najzupełniej. Spędziłam z tobą trzy dni. Rozmawialiśmy, uważnie ci się przysłuchiwałam. Zdarzyła się jakaś straszna pomyłka... albo jest to spisek.
- Spisek? Przeciwno komu? Czemu?
- Tego właśnie musisz się dowiedzieć.
- Wspaniale.
- Powiedz, co przychodzi ci do głowy, kiedy myślisz o pieniądzach?
- Przestań. Mylisz się. Nie dręcz mnie. Czy nic nie rozumiesz? Kiedy myślę o pieniądzach, myślę o zabijaniu.*
- Nie wiem. Jestem zmęczony. Chce mi się spać. Jutro rano wyślij telegram.

Było już sporo po północy; zaczynał się czwarty dzień ich pobytu w pensjonacie, a sen wciąż nie nadchodził. Bourne wpatrywał się w sufit, w ciemne, drewniane belki, w których odbijał się blask lampy stojącej na stoliku w przeciwnym rogu pokoju. Marie nie gasiła jej na noc; nie pytał o powód, a ona nie tłumaczyła dlaczego.

Rano miała wyjechać, on zaś musiał ustalić dalszy plan działania. Zamierzał pozostać w pensjonacie kilka dni dłużej i pod koniec tygodnia umówić się z lekarzem z Wohlen na zdjęcie szwów. A potem udać się do Paryża. W Paryżu były pieniądze... oraz coś jeszcze; czuł, że tam właśnie znajdzie ostateczną odpowiedź.

Nie jesteś bezradny. Poradzisz sobie.

Czego się dowie? Czy spotka człowieka zwanego Carlosem? Kim jest ów Carlos i co go łączy z Jasonem Bourne'em?

Usłyszał szelest pościeli na kanapie przy ścianie. Odwrócił głowę i zdumiony spostrzegł, że Marie nie śpi. Leżała wpatrując się w niego intensywnie.

- Mylisz się - powiedziała.

- W czym?

- To nie jest tak, jak myślisz.

- Skąd wiesz, co myślę?

- Bo już widziałam to spojrzenie w twoich oczach; myślisz o sprawach, których nie jesteś pewien, i boisz się, że te różne przypuszczenia, które przychodzą ci do głowy, mogą okazać się prawdziwe.

- Niektóre są prawdziwe. Inaczej skąd bym wiedział o Steppdeckstrasse? Albo o grubasie w „Drei Alpenhäuser”?

- Nie mam pojęcia, ale ty też nie.

- Ta ulica istnieje, grubas również. Nie wymyśliłem ich.

- Musisz poznać prawdę, Jasonie. Nie jesteś taki, jak twierdzą. Postaraj się znaleźć odpowiedź.

- W Paryżu.

- Tak, w Paryżu.

Podniosła się z kanapy; jasnokremowa, niemal wpadająca w biel koszula nocna zapinana pod szyją na guziczki z masy perłowej falowała nad podłogą, kiedy Marie boso zbliżała się do łóżka. Stała przy nim, patrząc w dół na Jasona i powoli zaczęła rozpinąć guziki; pozwoliła, żeby koszula zsunęła się jej z ramion, po czym przysiadła obok mężczyzny. Widział nad sobą jej piersi. Po chwili schyliła się, delikatnie ujmując w swoje dłonie jego twarz; spojrzenie miała nieruchome, oczy - tak jak często podczas ostatnich kilku dni - utkwione w jego oczach.

- Dziękuję za uratowanie mi życia - szepnęła.

- Ja tobie również - odparł.

Pragnął jej i wiedział, że ona czuje to samo, i zastanawiał się tylko, czy jej pragnieniu również towarzyszy ból. Nie miał wspomnień dotyczących kobiet i może dlatego, że ich nie miał, Marie utożsamiała dla niego wszystko, co mógł sobie wymarzyć, a nawet o wiele więcej. Rozproszyła mrok, który go otaczał. Odjęła mu ból.

Bał się powiedzieć jej, co czuje. A teraz ona mówiła mu, że się zgadza, choćby na bardzo krótko, że gotowa jest poświęcić resztę nocy na przywracanie mu pamięci, bo sama również łaknie wytchnienia od wiejącej wokół grozy. Na godzinę czy dwie mogą zapomnieć o napięciu i rozkoszować się błogim spokojem. Jason nie prosił o nic więcej; Boże, jakże strasznie pragnął Marie!

Dotknął ręką jej piersi i zbliżył usta do jej ust; ich wilgotność podnieciła go, rozwiąła wszelkie wątpliwości.

Kobieta uniosła kołdrę i wsunęła się w jego ramiona.

Leżała w objęciach Jasona, z głową na jego piersi, uważając, by nie dotknąć postrzelonego ramienia. Po chwili zsunęła się delikatnie i podparła na łokciu. Jason spojrział na nią; ich oczy się spotkały i oboje się uśmiechnęli. Podniosła rękę i położyła palec na jego ustach.

- Mam ci coś do powiedzenia - rzekła cicho - i nie chcę, żebyś mi przerywał. Nie wyślę telegramu do Petera. Jeszcze nie teraz.

- Ale... - Zdjął jej rękę ze swojej twarzy.

- Proszę cię, nie przerywaj. Powiedziałam: jeszcze nie teraz. To nie znaczy, że wcale nie wyślę; wyślę, ale później. Na razie zostaję z tobą. Jadę z tobą do Paryża.

- A jeśli nie chcę twojego towarzystwa? - spytał wbrew sobie. Pochyliła się, całując go lekko w policzek.

- Nie wierzę. Mój komputer ma inne dane.

- Na twoim miejscu nie byłbym taki pewien.

- Ale nie jesteś na moim miejscu... słuchaj, czułam, jak mnie tulisz, jak usiłujesz powiedzieć mi tyle różnych rzeczy, których nie potrafisz ująć w słowa, a które od kilku dni obojgu nam leżą na sercu. Nie umiem wytłumaczyć tego, co się stało. Pewnie istnieją jakieś mętne psychologiczne teorie objaśniające więź, jaka powstaje między dwojgiem w miarę inteligentnych ludzi, którzy znaleźli się w piekle i razem próbują się z niego wydostać. Może nic więcej się za tym nie kryje. Ale w tej chwili ta więź jest zbyt silna, żebym mogła ją zerwać i cię tak po prostu zostawić. Ocaliłeś mi życie i chcę ci pomóc.

- A może ja wcale nie potrzebuję twojej pomocy?

- Słuchaj, jestem w stanie zająć się paroma sprawami, z którymi sam sobie nie poradzisz. Myślałam o tym przez ostatnie dwie godziny. - Nie zakrywając się, przysiadła na łóżku. - Sytuacja, w jaką jesteś zamieszany, wiąże się z większą sumą pieniędzy, a coś mi się wydaje, że ty nawet nie wiesz, czym się różnią aktywa i pasywa. Może kiedyś wiedziałeś, ale teraz nie masz o tym zielonego pojęcia. W przeciwieństwie do mnie. I jeszcze jedno. Pracuję dla rządu kanadyjskiego, mam dostęp do tajnych akt oraz wielu zastrzeżonych informacji. Posiadamy własny wywiad gospodarczy. Świat finansów to jedno wielkie bagno, a ponieważ Kanada kilka razy została wykołowana, musieliśmy zorganizować wywiad, który chroniłby nasze interesy. Biorę w tym udział. Dlatego właśnie przyjechałam do Zurychu. Nie po to, żeby dyskutować na temat różnych abstrakcyjnych teorii, tylko po to, żeby obserwować tworzące się sojusze i powiadamiać o nich mój rząd.

- Czy to, że masz dostęp do tajnych informacji, może być mi w czymkolwiek przydatne?

- Chyba tak. Ale najważniejsze jest to, że możemy liczyć na pomoc ambasady kanadyjskiej. Obiecuję ci jednak, że jeśli pojawi się najmniejsze niebezpieczeństwo, natychmiast wysyłam telegram i zmykam czym prędzej. Już pomijając własny strach, nie chcę być dla ciebie dodatkowym ciężarem.

- Najmniejsze niebezpieczeństwo - powtórzył za nią, przyglądając się jej uważnie. - W porządku, ale to ja będę decydował, co jest niebezpieczne.

- Dobrze. Pod tym względem, mam ograniczone doświadczenie, więc nie będę się spierać.

Wpatrywał się jej głęboko w oczy; chwila wydłużała się, a milczenie sprawiało, że zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Wreszcie spytał:

- Dlaczego to robisz? Sama powiedziałaś, że jesteśmy dwojgiem w miarę inteligentnych ludzi, którzy wydostali się z piekła, i że może nic więcej się za tym nie kryje. Więc czy warto?

Siedziała bez ruchu.

- Nie pamiętasz? Powiedziałam również coś innego: że cztery dni temu pewien mężczyzna, który mógł bezpiecznie uciec, wrócił i uratował mi życie narażając własne.

Wierzę w tego człowieka. Chyba bardziej, niż on sam w siebie wierzy, i ta wiara to jedyne, co mu mogę ofiarować.

- Dziękuję - powiedział i wyciągnął do niej rękę. - Nie powinienem jej przyjąć, ale przyjmuję. Jest mi bardzo potrzebna.

- A teraz możesz mi wreszcie zamknąć usta - szepnęła wchodząc pod kołdrę i przytulając się do niego. - Kochaj mnie. Ja też mam potrzeby.

Minęły kolejne trzy dni i trzy noce, podczas których cieszyli się ze swojej bliskości i radowali poznawaniem siebie. Żyli na podwyższonych obrotach niczym dwoje ludzi świadomych tego, że zmiana musi nadejść i że nie nastanie powoli, lecz gwałtownie. Rozmawiali więc o wszystkim, gdyż żadnych tematów nie mogli dłużej unikać ani odkładać na później.

Dym z papierosa unosił się nad stolikiem, łącząc się z parą bijącą znad filiżanki gorącej, gorzkiej kawy. Kilka minut temu konsjerż, tryskający energią Szwajcar, który widział więcej, niż dawał po sobie poznać, przyniósł na górę *petit déjeuner* oraz gazety zuryskie. Jason i Marie siedzieli naprzeciw siebie wertując prasę.

- Znalazłaś coś ciekawego?

- Tylko to, że wczoraj był pogrzeb tego starca z parku. Policja nie znalazła jeszcze żadnych dowodów. Piszą, że dochodzenie wciąż trwa.

- U mnie podają trochę więcej - powiedział, niezdarnie przekręcając stronę obandażowaną ręką.

- Jak ręka? - spytała wskazując na opatrunek.

- Lepiej. Mogę już sprawniej poruszać palcami.

- Zauważyłam.

- Jedno ci w głowie! - zażartował, składając gazetę. - O tutaj... te same informacje co wczoraj. Że w laboratorium badają krew i kule. - Podniósł wzrok. - Ale jest nowy szczegół. Znalezione strzępy ubrania; wcześniej o tym nie pisali.

- Czy to nam coś komplikuje?

- Do mnie tym śladem nie dotrą. Ubranie kupiłem w Marsylii, na wieszaku wisiało pełno identycznych. A co z twoją sukienką? Mam nadzieję, że nie była od Diora.

- Nie pesz mnie. Wszystkie moje stroje szyje krawcowa w Ottawie.

- Czyli też nie powinni dojść.

- Wykluczone. Materiał nabyłam od znajomego z pracy, który przywiózł całą belę z Hongkongu.

- A czy przypadkiem nie miałaś na sobie czegoś, co kupiłaś w jednym z tych sklepów na terenie hotelu? Jakiegoś drobiazgu, chustki, broszki?

- Nie. Nie bawią mnie tego rodzaju sprawunki.

- W porządku. A twoja przyjaciółka... nikt jej o nic nie pytał, kiedy oddawała klucze?

- W recepcji nikt. Zaczepili ją tylko ci dwaj faceci, z którymi jechałam windą.

- Ten Francuz i Belg?

- Tak. Wszystko poszło gładko.

- Zastanówmy się jeszcze raz.

- Nie ma nad czym. Paul, ten z Brukseli, na pewno nic nie widział. Spadł z krzesła i leżał na podłodze, dopóki całe zamieszanie się nie skończyło. A Claude... to ten, który próbował nas zatrzymać, pamiętasz?... więc z początku Claude sądził, że ta kobieta na scenie to ja, ale zanim znalazł policjanta, został tak poturbowany w tym ścisku, że musiano go zawieźć do szpitala...

- A kiedy doszedł do siebie, ogarnęły go wątpliwości - wtrącił Jason, przywołując jej wcześniejsze słowa.

- Tak. Podejrzewam, że Claude wiedział, po co naprawdę przyjechałam na

konferencję. Nie wydaje mi się, żeby mój referat go zmylił. A jeśli wiedział, to tym bardziej wolał się trzymać ode mnie z daleka.

Bourne podniósł filiżankę kawy.

- Wyjaśnij mi to jeszcze raz. Przyjechałaś obserwować zawiązujące się sojusze?

- Raczej szukać ich śladów. Nikt się przecież otwarcie nie przyzna, że grupy finansowe w jego kraju wchodzi w tajne porozumienia z grupami finansowymi innych krajów, żeby opanować kanadyjski rynek surowcowy. Ale można się sporo dowiedzieć patrząc, kto się z kim spotyka na drinka albo kto kogo zaprasza na kolację. Czasem ktoś się zdradzi jakimś głupim posunięciem, na przykład podchodzi do ciebie delegat z Rzymu, facet, o którym wiesz, że jest na usługach Angellego, i pyta, czy rząd w Ottawie bardzo rygorystycznie przestrzega praw celnych.

- Chyba wciąż nie rozumiem.

- A powinieneś, bo Stany Zjednoczone są bardzo czułe na tym punkcie. Kto czym zawiaduje? Ile banków amerykańskich uzależnionych jest od pieniędzy OPEC-u? W jakim stopniu różne gałęzie przemysłu należą do europejskich i japońskich konsorcjów? Ile setek tysięcy akrów ziemi kupiono za pieniądze napływające z Anglii, Włoch i Francji? Wszyscy się tym przejmujemy.

- Naprawdę? Roześmiała się.

- Naprawdę. Nic tak silnie nie wywołuje nastrojów nacjonalistycznych jak świadomość, że ojczyzna znajduje się w rękach obcego kapitału. Można przywyknąć do myśli o przegranej wojnie, bo to jedynie znaczy, że wróg był potężniejszy, ale utrata gospodarki oznacza, że wróg jest mądrzejszy. Okupacja trwa wówczas dłużej i dłużej leczą się rany.

- Często o tym myślisz, prawda?

Na moment z oczu kobiety znikła wesołość.

- Tak - odpowiedziała z powagą. - Bo to są bardzo ważne sprawy.

- Odkryłaś coś w Zurychu?

- Żadnych rewelacji. Ale pieniędzy jest od cholery i różne syndykaty próbują je inwestować wszędzie tam, gdzie machina biurokratyczna przymyka oko na podobne sprawy.

- W tym telegramie, który dostałaś, Peter napisał, że twoje codzienne sprawozdania są pierwszorzędne. Co miał na myśli?

- Dowiedziałam się, że bardzo dziwni partnerzy wchodzi w układy, żeby za pośrednictwem podstawionych firm kanadyjskich skupować akcje kanadyjskich przedsiębiorstw. Nie chcę wdawać się w szczegóły, bo niewiele byś z tego zrozumiał.

- A ja nie chcę być wścibski, ale coś mi się wydaje, że i mnie podejrzewasz o takie działanie. Niekoniecznie wymierzone w Kanadę, lecz...

- Nie wykluczam tej możliwości; zresztą wiele na to wskazuje. Mogłaś pracować w jakimś konsorcjum zajmującym się wszelkiego rodzaju nielegalnymi transakcjami. Akurat tego typu rzecz jestem w stanie dyskretnie sprawdzić, ale wolę nie wysyłać telegramu. Będzie lepiej, jeśli porozumiem się telefonicznie.

- A jednak jestem wścibski... jak chcesz to sprawdzić?

- Jeżeli Treadstone-71 to utajniona filia jakiegoś międzynarodowego koncernu, istnieją sposoby, żeby dowiedzieć się którego. Kiedy znajdziemy się w Paryżu, zadzwonię do Petera z centrum telefonicznego. Powiem mu, że natknęłam się na nazwę Treadstone-71, która nie daje mi spokoju; niech przeprowadzi nieoficjalne dochodzenie i czeka na mój kolejny telefon.

- Jeśli odkryje...

- Jeśli Treadstone istnieje, na pewno coś odkryje.

- W porządku, wówczas skontaktuję się z tymi upoważnionymi dyrektorami i ujawnię się.

- Tylko bardzo ostrożnie. Przez pośredników. Choćby przeze mnie.

- Dlaczego ostrożnie?
- Ze względu na to, co zrobili, a raczej to, czego nie zrobili.
- To znaczy?
- Przez pół roku nie próbowali nawiązać z tobą żadnego kontaktu.
- Tego nie wiemy, nie możemy być pewni.

- A bank? Te nietknięte miliony dolarów nieznanego pochodzenia, którymi najwyraźniej nikt się nie interesował? Coś mi tu nie gra, Jasonie. Wygląda to tak, jakby nie chciano się do ciebie przyznać. Jakbyś popełnił duży błąd.

Bourne oparł się wygodniej; patrząc na swoją obandażowaną dłoń, przypomniał sobie, jak mu ją miażdżono kolbą w samochodzie pędzącym po Steppdeckstrasse. Podniósł wzrok i spojrzał na Marie.

- A więc twoim zdaniem, jeśli dyrektorzy Treadstone nie chcą się do mnie przyznać, to dlatego, że uważają, iż popełniłem jakiś poważny błąd?

- Niewykluczone. Może myślą, że wpłatałeś ich w nielegalną transakcję o charakterze kryminalnym, która będzie ich kosztować wiele milionów dolarów, że może nawet dojść do konfiskaty całego mienia ich zagranicznych filii przez rozgniewane rządy obcych państw? Albo uważają, że nieświadomie przyłączyłeś się do jakiejś międzynarodowej mafii przestępczej? Wszystko jest możliwe. To by tłumaczyło, dlaczego trzymają się z dala od banku. Nie chcą, żeby ktokolwiek posądził ich o współudział.

- Czyli bez względu na to, czego dowie się twój przyjaciel, wciąż będę w punkcie wyjściowym.

- Nie ty, tylko my, i nie w punkcie wyjściowym, tylko na czwartym albo piątym szczeblu dziesięcioszczelowej drabiny.

- Nawet gdybym był na dziewiątym, i tak nic by się nie zmieniło. Jacyś ludzie chcą mnie zabić, a ja nie wiem dlaczego. Inni mogliby ich powstrzymać, ale tego nie robią. Ten facet w „Drei Alpenhäuser” powiedział, że Interpol zastawił na mnie sieci; jeśli w nie wpadnę, nie zdołam się wytłumaczyć. Nie wiedząc, co rzeczywiście zrobiłem, będę winny tego, o co mnie oskarżają. Zanik pamięci to kiepska linia obrony, a żadnej innej mogę po prostu nie mieć.

- Nie wierzę; nie wolno ci tak myśleć.

- No jasne...

- Przestań, Jasonie. Ja wcale nie żartuję.

Przestań, ileż to razy powtarzałem sobie to słowo. Kocham cię, jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek w życiu znałem, i ty wierzysz w moją niewinność. Dlaczego sam nie potrafisz w nią uwierzyć?

Wstał z fotela, odruchowo badając, czy może już normalnie chodzić. Sprawność w nogach powracała, rany okazały się mniej groźne, niż sobie wyobrażał. Umówił się na wieczór z lekarzem z Wohlen na zdjęcie szwów. Nazajutrz wszystko miało się zmienić.

- Paryż... - tak, gdzieś w Paryżu znajdę odpowiedź. Wiem o tym, tak jak wiedziałem o tych trójkątach w Zurychu. Ale nie mam pojęcia, od czego zacząć. To istny obłęd, takie czekanie na jakiś znak, na jakieś słowo, na cokolwiek... choćby na głupie pudełko zapalek, które nasunie mi pewne skojarzenia i wskaże kierunek działania..

- Nie czekaj na znaki, tylko na wiadomość od Petera. Jutro zadzwonię do niego z Paryża.

- To nic nie zmieni, nie widzisz tego? Bez względu na to, co Peter odkryje, nie powie mi tej jednej najważniejszej rzeczy. Kim jestem? Dopiero odpowiedź na to pytanie mogłaby wyjaśnić, dlaczego nikt z Treadstone nie interesował się kontem, dlaczego jacyś ludzie próbują mnie zabić i dlaczego ktoś o imieniu Carlos obiecuje fortunę za mojego tru...

Głośny brzęk, jaki rozległ się przy stoliku, przerwał mu w pół słowa. Marie upuściła filiżankę i siedziała z szeroko wytrzeszczonymi oczami, z twarzą białą, jakby odpłynęła z niej

cała krew.

- Co powiedziałeś?
- Że muszę wiedzieć dlaczego...
- Nie; to imię. Powiedziałeś przed chwilą: Carlos.
- Zgadza się.

- Tyle godzin przegadaliśmy, tyle czasu spędziliśmy razem i nigdy słowem o nim nie wspomniałeś.

Spojrzał na nią, odtwarzając w pamięci kilka ostatnich dni. To prawda. Opowiedział jej o wszystkim, co mu się przydarzyło, ale pominął Carlosa... jakby specjalnie chciał wymazać go ze swoich myśli.

- Chyba rzeczywiście nie. Kto to jest?
- Żarty sobie stroisz? Jeśli tak, to są w bardzo kiepskim stylu.
- Nie stroję żadnych żartów. Nie jestem w nastroju do żartów. Kim jest Carlos?
- Mój Boże, ty naprawdę nie wiesz - powiedziała, wpatrując mu się w oczy. - To część

tego, co straciłeś.

- Kim jest Carlos?!

- Mordercą. Zwał go zamachowcem Europy. Poszukiwany od dwudziestu lat, ma na swoim koncie pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt zabójstw na politykach i wojskowych. Nikt nie wie, jak wygląda... ale mówi się, że ma bazę w Paryżu.

Bourne poczuł, jak przenika go zimny dreszcz.

Taksówka marki Ford, którą udali się do Wohlen, należała do zięcia konsjerżera. Jason i Marie siedzieli na tylnym siedzeniu, obserwując pograżony w mroku krajobraz, który przesuwiał się szybko za oknami. Szwy zostały zdjęte, zastąpione miękkim bandażem i szerokimi kawałkami plastra.

- Wracaj do Kanady - powiedział cicho Jason, przerywając milczenie.

- Wróć; mówiłam ci, że wrócę. Ale mam jeszcze kilka dni wolnych i chcę zobaczyć Paryż.

- Nie jesteś mi tam potrzebna. Słuchaj, zadzwonię do ciebie do Kanady. Sama na miejscu zasięgniesz informacji o Treadstone i powiadomisz mnie telefonicznie.

- Niedawno mówiłeś, że niewiele ci pomogą. Że nieważne, kto się kryje za Treadstone; znacznie ważniejsze jest to, dlaczego ktoś chce cię zlikwidować.

- Poradzę sobie. Ktoś z Paryża zna odpowiedź. Znajdę tego człowieka.

- Ale nawet nie wiesz, od czego zacząć. Czekanie na znak, słowo czy pudełko zapalek nic nie da. Możesz się ich wcale nie doczekać.

- Gdzieś muszą być jakieś wskazówki, jakiś trop.

- Z pewnością, ale ty ich nie dostrzeżesz. A ja tak. Wierz mi, naprawdę jestem ci potrzebna. Znam słowa, znam metody, o których ty nie masz najmniejszego pojęcia.

Spojrzał na jej twarz, po której przesuwały się cienie.

- Co masz na myśli?

- Banki. Treadstone musi mieć powiązania z bankami, i to nie tylko takie, o jakich myślisz.

Stary, zgarbiony człowiek w wyświechtanym płaszczu i z czarnym beretem w ręce szedł boczną nawą małego kościółka w wiosce Apajon, położonej szesnaście kilometrów na południe od Paryża.

Kiedy odgłos dzwonów bijących na Anioł Pański wypełnił echem wzniesioną z kamieni i belek budowlę, starzec zatrzymał się przy piątym rzędzie ław, czekając, aż znów nastanie cisza. Bicie w dzwon było sygnałem; starzec akceptował to wiedząc, że w tym czasie inny, młodszy mężczyzna, bezwzględny jak mało kto, okrąży kościółek, dokładnie

przypatrując się wszystkim w środku i na zewnątrz. Gdyby zobaczył coś, co odbiegałoby od normy, albo kogoś podejrzanego, stanowiącego zagrożenie, bez zbędnych pytań zabiłby posłańca. Tak działał Carlos; ci, którzy zgadzali się służyć mu za płatnych posłańców, dobrze wiedzieli, że mogą stracić życie, jeśli przyprowadzą za sobą ogon. Byli to bez wyjątku starcy, starcy pamiętający dawne czasy, którzy zmęczeni podeszłym wiekiem, chorobami, a często jednym i drugim, zbliżali się do kresu swoich dni.

Carlos nie pozwalał sobie na najmniejsze ryzyko; w tej sytuacji jedyną pociechę stanowiła świadomość, że jeśli się zginie będąc u niego na służbie - lub z jego ręki - pieniądze zawsze trafią do pozostałej przy życiu wdowy albo do jej dzieci, bądź dzieci jej dzieci. Praca dla Carlosa nie była pozbawiona swoistej godności, i płacił wyjątkowo hojnie. Mała armia złożona z niedołączonych starców chętnie akceptowała jego zasady; u schyłku swoich dni mieli dzięki niemu cel w życiu.

Ściskając w ręce beret posłaniec ruszył dalej nawą: kierował się do konfesjonałów po lewej stronie kościoła. Zbliżył się do piątego, odciągnął zasłonę i wszedł do środka; po chwili jego oczy przyzwyczyły się do nikłego blasku, jaki rzucała jedyna świeca płonąca za półprzeźroczystą zasłonką, która oddzielała kapłana od spowiadających się wiernych. Usiadłszy na małej drewnianej ławce, spoznał na niewyraźne zarysy postaci za przepierzeniem. Zobaczył to, co zwykle: zakapturzonego mężczyznę odzianego w habit mnicha. Nie zastanawiał się nad tym, jak wygląda zasłonięta kapturem twarz; tego typu spekulacje byłyby nie na miejscu.

- *Angelus Domini*.

- *Angelus Domini*, dziecię Boże - odparła szeptem zakapturzona postać. - Czy twoje dni upływają w dostatku?

- Zbliżają się do kresu - powiedział starzec recytując właściwą formułkę - ale uczyniono je dostatnimi.

- To dobrze - rzekł Carlos. - W twoim wieku ważna jest świadomość, że ma się zabezpieczony byt. A teraz przejdźmy do interesów. Czy masz wiadomości z Zurychu?

- Tak. Sowa nie żyje, dwaj inni również, przypuszczalnie i trzeci. Czwarty został ciężko ranny w rękę: nie może pracować. Kain znikł. Podejrzewają, że jest z nim ta kobieta:

- A więc sprawy przyjęły dość nieoczekiwany obrót.

- To jeszcze nie wszystko. Człowiek, któremu polecono ją zabić, dotychczas się nie zgłosił. Miał ją zawieźć do parku. Nie wiadomo, co się stało.

- Wiadomo, że zamiast niej zabito stróża. Hmm... możliwe, że kobieta wcale nie była zakładniczką, tylko spełniała rolę przynęty. Przynęty, która przeistoczyła się w kulę u nogi Kaina.

- Muszę się nad tym zastanowić, a na razie mam dla ciebie dalsze instrukcje.

Starzec wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej ołówek oraz skrawek papieru.

- Słucham.

- Zadzwoń do Zurychu. Chcę, żeby jutro przyjechał do Paryża ktoś, kto widział Kaina i potrafi go rozpoznać. Powiedz naszym w Zurychu, żeby porozumieli się z Koenigiem z Gemeinschaft Bank i kazali mu przesłać taśmę do Nowego Jorku. Do skrytki pocztowej w Greenwich Village.

- Proszę cię, troszkę wolniej - wtrącił sędziwy posłaniec. - Moje palce nie są już tak sprawne jak kiedyś.

- Wybacz mi - odparł szeptem Carlos. - Jestem zbyt zaferowany i nie pomyślałem o tym. Przepraszam.

- Ależ nie, nie ma za co. Mów dalej.

- Niech nasi ludzie wynajmą kilka pokoi w pobliżu banku na rue Madeleine. Tym razem pieniądze zgubią Kaina. Ujmiemy tego samozwańca w podobnych okolicznościach, w jakich objawiła się jego buta. Tak, to będzie prawdziwa gratka dostać go w swoje ręce...

Chyba że to ktoś inny.

Obserwował z odległości, jak Marie przechodzi przez kontrolę celno-paszportową na lotnisku berneńskim, a potem lustrował uważnie pasażerów zebranych w poczekalni Air France, sprawdzając, czy nikt jej nie rozpoznaje lub nie wykazuje nią zainteresowania. Była czwarta po południu, pora najbardziej wzmożonego ruchu na trasie do Paryża, kiedy to wszyscy uprzywilejowani biznesmeni śpieszyli z powrotem do „miasta świateł” po wypełnieniu żmudnych obowiązków w bankach berneńskich. Za ostatnią bramką Marie zerknęła przez ramię; Bourne skinął głową, odczekał, aż kobieta zniknie mu z oczu, po czym ruszył w stronę hali Swiss Air. George P. Washburn miał rezerwację na samolot o szesnastej trzydzieści lecący na Orly.

Uzgodnili, że spotkają się w kawiarni „Au Coin de Cluny”, którą Marie pamiętała jeszcze z czasów, gdy studiowała w Oksfordzie. Lokal mieścił się na bulwarze Saint-Michel, kilka przecznic od Sorbony. Gdyby przypadkiem już nie istniał, mieli się spotkać około dziewiątej wieczorem na schodach przed muzeum Cluny.

Bourne wiedział, że się spóźni; niewiele, ale jednak trochę. Sorbona bowiem miała jedną z najbogatszych bibliotek w Europie i w jej zbiorach musiały się znajdować stare roczniki gazet. W bibliotekach uniwersyteckich nie obowiązywały te same godziny urzędowania co w biurach administracji państwowej; studenci często korzystali z nich wieczorem, i właśnie tam, do biblioteki, Jason Bourne zamierzał skierować swoje pierwsze kroki po wylądowaniu w Paryżu. Musiał coś sprawdzić.

„Czytam codziennie gazety. W trzech językach. Pół roku temu zabito człowieka. O jego śmierci donosiły na pierwszych stronach wszystkie gazety”. Tak powiedział grubas w Zurychu.

Zostawiwszy walizkę w szatni bibliotecznej, Jason wszedł na pierwsze piętro i skręcił w lewo, w stronę wielkich, łukowatych drzwi prowadzących do olbrzymiej czytelnicy. Chambre de Journals znajdowała się w bocznym aneksie. Oprawione gazety stały na półkach w kolejności chronologicznej, od najświeższego numeru po najstarszy z datą dokładnie sprzed roku.

Bourne minął obojętnie te z ostatnich sześciu, miesięcy i dopiero z następnych półek zgarnął gruby plik zawierający numery z dziesięciu tygodni sprzed tego okresu. Zaniósł gazety do najbliższego wolnego stolika i zaczął je przerzucać na stojąco, sprawdzając tytuły z pierwszych stron.

Wielcy ludzie umierali, inni wydawali wiekopomne oświadczenia; wartość dolara spadała, cena złota rosła; liczba strajków malała, rządy oscylowały między aktywnością a niemocą. Ale nie zabito osoby, której śmierć zasługiwałaby na wzmiankę na pierwszej stronie. Nic podobnego się nie zdarzyło - żaden głośny zamach nie miał miejsca.

Wrócił do półek i sięgnął po jeszcze starsze numery - te sprzed dalszych dwóch, sześciu, dwunastu tygodni. Wciąż nic.

I nagle doznał olśnienia; wertował numery od szóstego miesiąca wstecz, a nie pomyślał o tym, żeby sprawdzić te z końca pierwszego półrocza. Grubas mógł się pomylić o kilka dni, nawet o tydzień czy dwa, również w drugą stronę. Odniósł na miejsce przejrzący plik i wyciągnął z półki gazety sprzed czterech i pięciu miesięcy.

Rozbiło się kilka samolotów i wybuchło kilka krwawych rewolucji; zabrało głos paru świątobliwych mężów, których potępili inni świątobliwi mężowie; odkryto nędzę i choroby tam, gdzie było powszechnie wiadomo, że panują, ale nie zgładzono żadnej ważnej osobistości.

Doszedł do ostatniej gazety. Chmury niepewności i wyrzutów sumienia, jakie wisiały

nad nim, przeredzały się wraz z każdą przekreśloną stroną. Może ociekający potem grubas z Zurychu kłamał? Może nie było żadnego morderstwa? Może wszystko było nieprawdą? Może za chwilę ocknie się ze straszliwego koszmaru, w jaki...

AMBASSADEUR LELAND EST MORT A MARSEILLES!

Duże drukowane litery wyraźnie odcinające się od reszty strony boleśnie raniły Jasona w oczy. Nie był to ból fikcyjny, wymyślony, lecz ostry i jak najprawdziwszy, który wdzierał się przez oczodoły i przeszywał na wylot głowę. Bourne stał nie oddychając, ze wzrokiem utkwionym w nazwisko LELAND. Znał je; potrafił nawet dopasować do niego twarz. Szerokie czoło, a niżej gęste brwi, krótki, prosty nos, dziwnie wąskie usta oraz okrywające górną wargę starannie przystrzyżone siwe wąsy. Tak, znał tę twarz; znał tego człowieka, i człowiek ten zginął od jednej kuli wystrzelonej z karabinu snajperskiego wycelowanego z okna domu na nabrzeżu. O piątej po południu ambasador Howard Leland szedł po molo w Marsylii. Kulka strzaskała mu czaszkę.

Nie musiał czytać drugiego akapitu, by wiedzieć, że Howard Leland był admirałem w marynarce Stanów Zjednoczonych, potem pełnił funkcję dyrektora wywiadu marynarki wojennej, aż wreszcie mianowano go ambasadorem amerykańskim w Paryżu. Nie musiał też czytać reszty artykułu, gdzie rozważano motywy zabójstwa; motywy też znał. Główne zadanie Lelanda w Paryżu polegało na tym, żeby odwieść rząd francuski od zamiaru podpisania zgody na sprzedaż olbrzymiej ilości broni - w szczególności odrzutowców typu „Mirage” - do Afryki i krajów Bliskiego Wschodu. Rzecz zdumiewająca, w znacznej mierze osiągnął sukces, czym rozgniewał wszystkich zainteresowanych transakcją kontrahentów znad Morza Śródziemnego. Podejrzewano, że został zabity za swoją ingerencję i że wymierzona kara miała być ostrzeżeniem dla innych. Handlarze śmiercią nie zamierzali pozwolić, aby ktokolwiek im przeszkodził.

Ten, który zabił Lelanda, niewątpliwie otrzymał pokaźną sumę pieniędzy; wypłaty dokonano z dala od miejsca zbrodni, a wszelkie ślady zatarto.

Zurych. Posłaniec na usługach beznogiego faceta, drugi na usługach grubasa w zatłoczonej restauracji nie opodal Falkenstrasse.

Zurych.

Marsylia.

Jason zamknął oczy, albowiem ból stał się nie do wytrzymania. Pięć miesięcy temu wyłowiono go z morza; prawdopodobnie wyruszył na statku z Marsylii. Jeśli tak, to trasa ucieczki wiodła na przystań, gdzie czekała wynajęta łódź, którą wypłynął na szerokie wody Morza Śródziemnego. Wszystko się zgadzało, fragmenty łamigłówek idealnie do siebie pasowały. Bo przecież gdyby nie był zamachowcem, który strzelał z okna w Marsylii, skąd by wiedział o tym, co się tam wówczas zdarzyło?

Otworzył oczy; dojmujący ból uniemożliwiał mu skupienie się i tylko jedna myśl, jedna niezłomna decyzja zaprzętała jego nadwątlony umysł. Nie pójdzie na umówione spotkanie z Marie St. Jacques.

Może kiedyś wyśle do niej list, w którym opíše to, czego dziś nie umiałby jej powiedzieć. O ile oczywiście będzie jeszcze żył i będzie w stanie pisać; teraz to absolutnie nie wchodziło w grę. A więc Marie nie otrzyma żadnych słów podziękowania czy miłości, żadnych wyjaśnień, po prostu będzie na niego czekała, a on się nie zjawi. Musi ją od siebie uwolnić, nie pozwolić, żeby cokolwiek wiązało ją z człowiekiem sprzedającym śmierć. Pomyliła się, a jego najgorsze obawy okazały się trafne.

O Boże. Widział przed oczami twarz Howarda Lelanda, chociaż gazeta, w którą się wpatrywał, nie zamieściła jego zdjęcia! Koszmarny nagłówek z tytułowej strony obudził w nim tyle zatartych wspomnień, potwierdził tyle przypuszczeń! Data. *Czwartek, 26 sierpnia, Marsylia*. Będzie pamiętał ten dzień do końca swojego przeklętego żywota, dopóki tylko starczy mu sił, żeby pamiętać.

Czwartek, 26 sierpnia.

Coś się nie zgadzało. Ale co? Co było nie tak? Czwartek?... Dzień tygodnia nic mu nie mówił. Dwudziestego szóstego sierpnia?... Dwudziestego szóstego? To nie mógł być dwudziesty szósty! Dwudziesty szósty nie pasował! Słyszał tę datę, powtarzano mu ją do znudzenia. Pamiętnik Washburna - dziennik, w którym lekarz notował stan zdrowia pacjenta! Ileż to razy starzec powracał do każdego zdarzenia i szczegółu z pierwszego okresu kuracji? Zbyt często, żeby to można było zliczyć! Zbyt często, żeby można było zapomnieć!

Przyniesiono cię pod moje drzwi we wtorek, dwudziestego czwartego sierpnia, dokładnie o ósmej dwadzieścia rano. Twój stan...

We wtorek, dwudziestego czwartego sierpnia.

Dwudziestego czwartego sierpnia.

A więc dwudziestego szóstego sierpnia nie był w Marsylii. Nie strzelał z karabinu wycelowanego z okna domu na nabrzeżu. Nie frymarczył śmiercią; nie zamordował Howarda Lelanda!

„Pół roku temu zabito człowieka...”, ale nie zabito go równo pół roku temu; od śmierci Lelanda minęło prawie sześć miesięcy. A on, Jason Bourne, nie pociągnął za spust, gdyż tego dnia sam leżał półmartwy w domu pijaka na Île de Port Noir.

Chmury, jakie nad nim wisiały, rozsunęły się; ból ustąpił. Jasona ogarnęła euforia: jedno kłamstwo wyszło na jaw! A skoro dopuszczono się jednego kłamstwa, może dopuszczono się wielu!

Zerknął na zegarek; było kwadrans po dziewiątej. Marie opuściła już kawiarnię i czekała teraz na schodach przed muzeum Cluny. Odłożył gazety na półki i czym prędzej ruszył w stronę drzwi, ogromnych jak w katedrze. Czas naglił.

Szedł bulwarem Saint-Michel, z każdym krokiem zwiększając tempo. Czuł się jak człowiek skazany na stryczek, któremu nagle zdjęto pętlę z szyi, i chciał się z kimś podzielić tym tak niecodziennym doświadczeniem. Na pewien czas wynurzył się z zatrwającego mroku oraz rozhukanych fal i - podobnie jak wtedy, w owym słonecznym wiejskim pensjonacie - znalazł moment prawdziwego wytchnienia. Spieszył więc do kobiety, która dała mu wiarę i nadzieję, żeby wziąć ją w ramiona i powiedzieć jej, że jeszcze nie wszystko stracone.

Zobaczył Marie na schodach; stała z rękami skrzyżowanymi na piersi dla osłony przed marcowym wiatrem, który dął od bulwaru. Z początku nie zauważyła Jasona; nerwowo wodziła wzrokiem po zadrzewionej ulicy. Sprawiała wrażenie osoby niespokojnej, zatroskanej, zniecierpliwionej, która boi się, że nie ujrzy tego, kogo pragnie ujrzeć, że nie spełnią się jej marzenia.

Jeszcze dziesięć minut temu jej obawy miały się ziścić.

Nagle go spostrzegła. Ożywiła się i radosny uśmiech rozpromienił jej twarz. Zaczęli biec sobie naprzeciw, ona w dół po schodach, on w górę, i spotkali się w pół drogi. Przez moment stali przytuleni, szczęśliwi, nie odzywając się, sami jedni na Saint-Michel.

- Czekałam i czekałam - powiedziała wreszcie szeptem Marie. - Martwiłam się o ciebie i bardzo się bałam. Czy coś się stało? Nic ci nie jest?

- Nie. Dawno nie czułem się tak świetnie.

- Słucham?

Położył ręce na jej ramionach.

- „Pół roku temu zabito człowieka”... pamiętasz? W oczach Marie zgasł błysk radości.

- Tak.

- Ja go nie zabiłem. Wiem to na pewno.

Znaleźli mały hotel w zatłoczonym centrum Montparnasse'u. Recepcja i pokoje przedstawiały dość opłakany widok, jednakże nastrój niegdysiejszej elegancji nadawał

wnętrzu ponadczasowy urok. Było to ciche, spokojne miejsce w samym sercu tętniącego życiem miasta; właśnie dzięki temu, że właściciele akceptowali postęp, jaki dokonywał się na zewnątrz, lecz nie ulegali jego wpływowi, hotel miał niepowtarzalny klimat.

Jason skinął głową siwemu portierowi, którego obojętność przeszła w pobłażliwość z chwilą, gdy otrzymał dwudziestofrankowy napiwek, i zamknął za nim drzwi.

- Pewnie bierze cię za diakona z prowincji, któremu ślinka cieknie na myśl o nocnych igraszkach - powiedziała Marie. - Zauważyłeś, że od razu poszłam w stronę łóżka?

- Nic się nie martw, portier Herve będzie bardzo ochoczo spełniał wszystkie nasze życzenia. Nie dopuści nikogo do gości, którzy dają tak sute napiwki. - Zbliżył się do kobiety i wziął ją w ramiona. - Dzięki za uratowanie mi życia.

- Drobnostka, kochany. - Podniosła ręce ujmując jego twarz w swoje dłonie. - Ale więcej nie każ mi na siebie tyle czekać. O mało nie zwariowałam ze strachu, że ktoś cię rozpoznał... i że stało się coś złego.

- Zapominasz o jednym: nikt nie wie, jak wyglądam.

- Nie licz na to; zresztą to nieprawda. Na Steppdeckstrasse było ich wtedy czterech, dochodzi jeszcze ten drań z parku. Oni żyją, Jasonie. I wszyscy cię widzieli.

- Niezupełnie. Widzieli ciemnowłosego, kulejącego mężczyznę z obandażowaną głową. Tylko dwóch miało okazję przyjrzeć mi się z bliska: ten facet z pierwszego piętra i tamten typ z parku. Pierwszy przez jakiś czas nie wyjedzie z Zurychu... nie może chodzić i ma strzaskaną rękę. A drugi był oślepiiony blaskiem latarki, więc niewiele zobaczył.

Opuściła ręce i zmarszczyła czoło; jej bystry umysł analizował to, co usłyszała.

- Nigdy nic nie wiadomo. Mogą cię rozpoznać.

Zmień kolor włosów... to zmienisz twarz. Słowa Geoffreya Washburna z *Île de Port Noir*.

- Powtarzam ci, że widzieli ciemnowłosego mężczyznę, a w dodatku była noc. Słuchaj, umiesz się posługiwać wodą utlenioną?

- Nigdy nie rozjaśniałam sobie włosów.

- W takim razie rano poszukam jakiegoś zakładu. Tu na Montparnassie powinno ich być pełno. Powiada się, że blondyni mają większe powodzenie...

Badala wzrokiem jego twarz.

- Próbuję sobie wyobrazić, jak będziesz wyglądał.

- Inaczej. Drobną różnicą, ale powinna wystarczyć.

- Może masz rację. Obyś się tylko nie mylił. - Pocałowała go w policzek: oznaczało to zmianę tematu. - A teraz wyjaśnij, co się stało? Gdzie byłeś? Czego dowiedziałeś się o tym... o tym wypadku sprzed pół roku?

- Że wydarzył się niecałe sześć miesięcy temu i właśnie dlatego nie jestem mordercą.

Opowiedział jej wszystko, pomijając jedynie decyzję, którą podjął, że więcej się już nie zobaczą. Jednakże to, co przemilczał, Marie sama odgadła.

- Gdyby ta data, dwudziestego czwartego sierpnia, nie wbita ci się tak mocno w pamięć, nie przyszedłbyś na spotkanie, prawda?

Skinął głową.

- Masz rację.

- Wiedziałam. Czulałam to. W drodze z kawiarni do muzeum przez chwilę ledwo mogłam oddychać. Miałam wrażenie, że się duszę. Wierzysz mi?

- Wolałbym nie wierzyć.

- Ale tak było.

Siedzieli blisko siebie, ona na łóżku, on na stojącym obok fotelu. Wyciągnął rękę po jej dłoń.

- Wciąż mam wątpliwości, czy słusznie zrobiłem, że tu przyszedłem... ja znałem tego człowieka, widziałem jego twarz, byłem w Marsylii jeszcze czterdzieści osiem godzin przed

zabójstwem!

- Ale go nie zabiłeś.

- Więc po co tam pojechałem? I dlaczego inni myślą, że to ja strzelałem? Istne szaleństwo! - Zerwał się z krzesła; w jego oczach znów odmalował się ból. - Ale zapominam, że nie jestem całkiem normalny... jestem człowiekiem, który nic nie pamięta, nie pamięta całego swojego życia.

- Z czasem znajdziesz odpowiedzi. - Marie mówiła tonem rzeczowym, pozbawionym współczucia. - Jak nie tu, to gdzie indziej, może w samym sobie.

- Oj, chyba nie. Washburn powiedział, że przy amnezji wszystko się przestawia, miesza... otwierają się inne tunele, inne okna... - Podeszedł do parapetu, oparł się o niego i spojrzał w dół na światła Montparnasse'u. - Nawet widoki są inne i nigdy nie będą takie jak dawniej. Gdzieś tam na zewnątrz żyją ludzie, których znam i którzy mnie znają. Tysiące kilometrów stąd żyją różni moi znajomi, tacy, których lubię, i tacy, których nie cierpię. Może mam żonę, dzieci, nie wiem. Czuję się tak, jakbym unosił się na wietrze, który targa mną we wszystkie strony; ilekroć próbuję opaść na ziemię, znów porywa mnie do góry.

- Wysoko?

- Tak.

- Skakałeś z samolotu. - Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

Odwrócił się.

- Skąd wiesz?

- Wczoraj mówiłeś o tym przez sen. Byłeś zlany potem, twarz miałaś rozgrzaną, czerwoną, musiałam ją przecierać zwilżonym ręcznikiem.

- Dlaczego rano nic nie wspomniałaś?

- Wspomniałam; spytałam, czy byłeś pilotem albo czy boisz się latania, zwłaszcza nocą.

- Nie wiedziałem, o co ci chodzi. Trzeba było mnie mocniej przycisnąć.

- Bałam się. Byłeś bliski hysterii, a ja nie mam w tych sprawach doświadczenia. Staram ci się pomóc w odzyskaniu pamięci, ale nie mogę badać twojej podświadomości. To może tylko lekarz.

- Lekarz? Spędziłem z lekarzem prawie sześć miesięcy.

- Po tym, co o nim opowiadałeś, jestem zdania, że warto zasięgnąć drugiej opinii.

- Nie! - krzyknął gniewnie, zdziwiony złością, jaka go ogarnęła. - Nie chcę!

- Dlaczego nie? - Marie podniosła się z łóżka. - Potrzebujesz pomocy, Jasonie. Może psychiatra...

- Nie! - krzyknął ponownie, nie potrafiąc się opanować, wściekły sam na siebie. - Nie pójdę do żadnego psychiatry. Nie mogę.

- Ale dlaczego? Wyjaśnij mi - poprosiła stając naprzeciw niego.

- Bo... bo po prostu nie mogę.

- Powiedz mi tylko dlaczego.

Popatrzył na nią, a potem odwrócił się i oparłszy rękę o parapet, znów spojrzał w dół:

- Dlatego, że się boję. Ktoś mnie okłamał i nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo jestem wdzięczny losowi za to, że prawda okazała się inna. Ale może to jedyne kłamstwo, może wszystko poza tym się zgadza? Co wtedy?

- A więc nie chcesz poznać prawdy?

- Chcę, ale bez pomocy psychiatry. - Wyprostował się i oparł o framugę, wciąż nie odrywając wzroku od światła w dole. - Zrozum, muszę dowiedzieć się o sobie kilku rzeczy... może nie wszystkiego, ale dostatecznie dużo, żeby podjąć decyzję. Nie mogę wykluczyć ewentualności, że postanowię nie wracać do tego, co minęło. Możliwe, że będę musiał spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć: to, co było, już nie istnieje, a ponieważ nic nie pamiętasz, może nigdy nie istniało. To, czego człowiek nie pamięta, nie zdarzyło się... przynajmniej dla

niego. - Odwrócił się. - Usiłuję ci wytłumaczyć, że może tak będzie lepiej.

- To znaczy, interesują cię poszlaki, a nie dowody, tak?

- Interesują mnie pewne... jakby drogowskazy mówiące, co mam robić, a czego nie, czy mam uciekać, czy...

- A co ze mną?

- To się okaże, kiedy trafimy na pierwszy wyraźny ślad. Sama o tym wiesz.

- No to do roboty.

- Tylko pamiętaj: może ci się nie spodobać to, co znajdziemy. Wcale nie żartuję.

- Ale ty mi się podobasz i też wcale nie żartuję. - Poglądziła go po twarzy. - Ruszajmy. W Ontario dopiero dochodzi piąta, powinnam jeszcze zastać Petera w biurze. Poproszę go, żeby od razu zabrał się za Treadstone... aha, i żeby podał nam nazwisko kogoś z ambasady, do kogo w razie konieczności możemy się zgłosić.

- Chcesz się przyznać, gdzie jesteś?

- I tak się dowie od telefonistki z centrali międzynarodowej. Ale nie zamierzam dzwonić z hotelu, a Paryż to duże miasto. Poza tym będę się zachowywać tak, jakby to była zwyczajna, towarzyska rozmowa. Powiem, że u krewnych w Lyonie nudziłam się jak mops, więc wpadłam na kilka dni do stolicy. Uwierzy.

- Myślisz, że zna kogoś w tutejszej ambasadzie?

- Peter wszędzie stara się mieć znajomych. To jedna z jego pożytecznych, choć mniej atrakcyjnych cech charakteru.

- Czyli pewnie i tu będzie miał. - Wziął płaszcze. - W porządku, więc chodźmy dzwonić, a potem wybierzemy się na kolację. Kieliszek alkoholu dobrze nam zrobi.

- Przejdźmy koło banku na rue Madeleine. Muszę coś sprawdzić.

- Czego chcesz szukać po nocy?

- Budki telefonicznej. Mam nadzieję, że jest jakaś w pobliżu. Była. Na drugiej stronie ulicy, po przekątnej od banku.

Wysoki blondyn w rogowych okularach, stojący w blasku popołudniowego słońca na rue Madeleine, zerknął na zegarek. Na chodniku było gęsto od przechodniów, na jezdni tłoczyły się samochody; jak prawie wszędzie w Paryżu, panował tu zawrotny ruch. Mężczyzna wszedł do budki telefonicznej i rozplatał sznur, na którego końcu zwisała słuchawka. Zawiązując wcześniej sznur na supeł miał nadzieję, że kolejne osoby chętne do skorzystania z telefonu odczytają to jako znak, że aparat nie działa, i nie zajmą budki. Udało się.

Znów spojrzął na zegarek; rozpoczęło się odmierzenie czasu. Marie była już w banku. Za parę minut miała zadzwonić. Wyjął z kieszeni kilka monet, położył je przed sobą na półce i oparł się o szybę, nie spuszczać oczu z banku po przeciwnej stronie ulicy. Chmura na moment przysłoniła słońce i ujrzał w szybie swoje odbicie. Popatrzył na nie z zadowoleniem, przypominając sobie zdziwienie fryzjerki w zagładzie na Montparnasse, która w końcu jednak zaprowadziła go do kabiny i za zasłoną przeobraziła w blondyna. Po chwili słońce wyjrzało zza chmury i zadzwonił telefon.

- To ty? - spytała Marie St. Jacques.

- Tak - odparł Bourne.

- Koniecznie postaraj się zdobyć nazwisko faceta i dowiedzieć się, gdzie mieści się jego gabinet. Tylko nie mów zbyt płynnie po francusku; zrób kilka błędów, żeby wiedział, że rozmawia z Amerykaninem. Powiedz mu, że nie jesteś przyzwyczajony do telefonów w Paryżu. A potem trzymaj się ustalonej kolejności. Zadzwonię do ciebie za pięć minut.

- Zaczęło się odliczanie.

- Słucham?

- Nic. Zaczynamy.

- Tak, zaczynamy. Powodzenia.

- Dzięki.

Jason przycisnął widelki, po czym nakręcił numer, który wcześniej zapamiętał.

- *La Banque de Valois. Bonjour.*

- Może mogłaby mi pani pomóc w takiej sprawie... Pewien bank szwajcarski miał przekazać na moje konto pokąźną sumę przesyłką kurierską. Chciałbym wiedzieć, czy pieniądze już dotarły - powiedział, stosując się do wskazówek udzielonych mu przez Marie.

- Momencik. Połączę pana z działem zagranicznym. Rozległ się dzwonek, a po chwili żeński głos oznajmił:

- Dział zagraniczny. Słucham.

Jason powtórzył prośbę.

- Pana nazwisko?

- Wolałbym porozmawiać z którymś z dyrektorów banku. Zapadło krótkie milczenie.

- Dobrze. Połączę pana z gabinetem wiceprezesa, pana d'Amacourta.

Sekretarka pana d'Amacourta okazała się mniej pomocna; broniła dostępu do swojego szefa, tak jak to przewidziała Marie. Bourne ponownie skorzystał z jej fachowych rad.

- Proszę pani, chodzi mi o przekaz z Gemeinschaft Bank na Bahnhofstrasse, o wielocyfrową sumę. A teraz gdyby była pani łaskawa połączyć mnie z panem d'Amacourtem... bardzo się spieszę.

Decyzja o tym, czy zbyć tak poważnego klienta, nie leżała w kompetencjach sekretarki. Na drugim końcu linii odezwał się głos zaskoczzonego prezesa.

- W czym mogę panu pomóc?

- Czy pan d'Amacourt?

- Tak, Antoine d'Amacourt przy telefonie. Z kim mam przyjemność, jeśli wolno spytać?

- No nareszcie! Powinni mi byli podać pana nazwisko w Zurychu. Nareszcie! Następnym razem przypilnuję, żeby następnym razem wiedzieć. - Mówił z akcentem amerykańskim specjalnie powtarzając słowa.

- Nie rozumiem, monsieur. Może wolałby pan przejść na angielski?

- Chętnie. Nie jestem przyzwyczajony do tych cholernych telefonów we Francji. - Spojrzał na zegarek: zostały mu niecałe dwie minuty. - Nazywam się Bourne; Jason Bourne. Osiem dni temu przekazałem na moje konto cztery miliony franków z banku Gemeinschaft w Zurychu. Zapewniono mnie, że operacja będzie miała charakter tajny...

- Wszystkie operacje bankowe są tajne.

- Świetnie. Bardzo dobrze. Chciałbym się dowiedzieć, czy pieniądze są już do podjęcia.

- Proszę pana, tajność operacji polega między innymi na tym, że bank nie udziela informacji przez telefon, zwłaszcza osobom nieznanym.

A więc Marie miała rację; coraz bardziej doceniał podstęp, jaki obmyśliła.

- Tego by brakowało! Ale tak jak mówiłem pańskiej sekretarce, bardzo się spieszę, bo za kilka godzin opuszczam Paryż, a mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

- Proponuję, żeby wpadł pan do banku.

- Właśnie zamierzam - odparł Bourne, zadowolony, że rozmowa przybiera taki obrót, jaki Marie przewidziała. - Chciałbym jednak, żeby wszystko było gotowe, kiedy tam dotrę. Gdzie się mieści pański gabinet?

- W głębi głównego holu. Za barierką. Środkowe drzwi. Trzeba minąć recepcjonistkę.

- I z panem osobiście będę miał do czynienia?

- Jeśli tak pan sobie życzy, chociaż każdy...

- Panie! - ryknął Bourne, udając nieokrzesanego prostaka z za oceanu. - Tu chodzi o miliony franków!

- Ze mną osobiście, Monsieur Bourne.
- Doskonale. - Przyłożył palec do widełek. Zostało zaledwie piętnaście sekund. - Jest teraz druga trzydzieści pięć... - Nacisnął dwukrotnie na widełki, zakłócając połączenie, lecz nie przerywając go. - Halo! Halo!
- Jestem, monsieur.
- Co za przekłęty telefon! - Ponownie nacisnął widełki, trzy razy w krótkich odstępach czasu. - Halo! Halo!
- Monsieur, proszę mi podać pański numer.
- Halo! Halo!
- Monsieur Bourne, proszę...
- Nic nie słyszę! - Cztery sekundy, trzy, dwie... - Zadzwoń jeszcze raz. - Wyłączył się; po upływie trzech sekund zabrzączał telefon. Bourne podniósł słuchawkę. - Facet nazywa się d'Amacourt. Środkowe drzwi, w głębi głównego holu.
- W porządku - powiedziała Marie i rozłączyła się. Nakręcił numer banku i wsunął w otwór monety.
- *Je parlais avec Monsieur d'Amacourt quand le téléphone coupe...*
- *Je regrette, monsieur.*
- Monsieur Bourne?
- To pan, panie d'Amacourt?
- Tak, przykro mi, że te nasze telefony sprawiają panu tyle kłopotu. Ale wracając do naszej rozmowy, o której pan...
- No właśnie. Minęła druga trzydzieści. Wpadnę do pana o trzeciej.
- Będę pana oczekiwał, monsieur.

Jason ponownie zasupłał sznur i zwiesił na nim słuchawkę, zamiast normalnie ją odłożyć na widełki, po czym wyszedł z budki, przecisnął się szybko przez tłum i skrył w cieniu markizy. Stał tyłem do sklepowej witryny, z oczami utkwionymi w bank po drugiej stronie ulicy, i czekał. Przypomniawszy sobie bank w Zurychu i ryk syren na Bahnhofstrasse. W ciągu najbliższych dwudziestu minut miało się wyjaśnić, czy Marie myli się, czy nie. Jeśli jej podejrzenia okażą się słuszne, na rue Madeleine nie rozlegnie się ryk syren.

Szczupła kobieta w kapeluszu z szerokim rondem częściowo zasłaniającym twarz odłożyła słuchawkę - telefon, z którego korzystała, wisiał na ścianie w banku, na prawo od wejścia. Następnie otworzyła torebkę, wyjęła puderniczkę i udając, że poprawia makijaż, przechylała niewielkie lustro to w jedną, to w drugą stronę. Zadowolona, schowała z powrotem puderniczkę, zamknęła torebkę i minawszy okienka kasowe, skierowała się w głąb holu. Stała przy umieszczonej pośrodku sali ladzie, sięgnęła po umocowany na łańcuszku długopis i zaczęła pisać byle jakie cyfry na pustym blankiecie, który ktoś zostawił na marmurowym blacie. Niecałe cztery metry dalej znajdowała się biegnąca przez całą szerokość holu niska, drewniana barierka z małą, mosiężną bramką pośrodku. Za nią mieściły się biurka personelu niższego szczebla, a tuż przy samej ścianie, przed drzwiami do pięciu gabinetów, biurka pięciu sekretarek. Na środkowych drzwiach widniał pozłacany napis:

M. A. R. D'AMACOURT, AFFAIRES ÉTRANGÈRES
PREMIER VICE-PRÉSIDENT

Marie zdawała sobie sprawę, że jeśli trafnie wszystko odgadła, jej podejrzenia za chwilę się potwierdzą. A jeżeli się potwierdzą, wówczas musi zobaczyć owego M. A. R. d'Amacourta, żeby wiedzieć, jak gość wygląda. Z nim to bowiem Jason powinien się skontaktować, z nim musi porozmawiać, ale nie tu, nie w banku.

Miała rację. Nastąpiło wyraźne ożywienie. Sekretarka urzędująca pod drzwiami d'Amacourta zgarnęła notes, wpadła do gabinetu szefa, pół minuty później wybiegła i chwyciła za telefon. Nakręciła trzycyfrowy numer, łącząc się z kimś wewnątrz budynku, i powiedziała coś do słuchawki czytając z notesu.

Po dwóch minutach drzwi gabinetu otworzyły się i w progu stanął d'Amacourt, zniecierpliwiony przedłużającą się zwłoką. Był to mężczyzna w średnim wieku o przedwcześnie postarzałej twarzy, który wyraźnie starał się odmłodzić o kilka lat. Jego rzadkie, ciemne włosy były modnie przystrzyżone i zaczesane tak, żeby zasłonić łysinę; nic jednak nie mogło ukryć obrzęków pod oczami świadczących o tym, że zbyt wiele godzin spędza przy dobrym winie. Zimne, świdrujące spojrzenie zdradzało człowieka o wymagającym usposobieniu, który nieustannie ma się na baczności. Szorstkim tonem spytał o coś sekretarkę; kobieta odwróciła się od niego, żeby ukryć swoją reakcję.

D'Amacourt wrócił do gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi - był jak dzikie zwierzę w otwartej klatce. Minęła kolejna minuta; sekretarka co rusz zerkała w prawo czekając na coś, na kogoś. Wreszcie odetchnęła głęboko, z ulgą, na moment przymykając oczy.

Na ścianie po lewej stronie od wejścia, tuż nad dwuskrzydłowymi drzwiami z ciemnego drewna, nagle zapaliło się zielone światło: znak, że ktoś wszedł do windy. Po kilku sekundach drzwi rozsunęły się i z kabiny wyszedł starszawy, elegancki jegomość z małą czarną kasetką, niewiele większą od dłoni. Marie patrzyła przed siebie z uczuciem satysfakcji, a zarazem i strachu; nie pomyliła się. Czarną kasetkę przechowywano w strzeżonym pokoju zawierającym tajne dokumenty; aby móc ją stamtąd wynieść, swój podpis na odpowiednim blankiecie złożył człowiek o nieskazitelnej reputacji, uczciwy, nie przekupny, który właśnie mijiał ustawione w holu biurka, kierując się w stronę otwartych drzwi.

Na widok zbliżającego się mężczyzny sekretarka poderwała się z miejsca; skinęła mu głową na powitanie, a następnie wprowadziła go do gabinetu swojego szefa. Po chwili zamknęła drzwi i wróciła do biurka.

Marie spojrzała na zegarek, na wskazówkę sekundnika. Chciała zdobyć jeszcze jeden dowód; żeby tego dokonać, musiała jednak wejść za balustradę i rzucić okiem na biurko sekretarki. Wiedziała, że jeśli nastąpi to, czego się spodziewa, to nastąpi już za chwilę i będzie trwało krótko.

Podeszła do bramki i grzebiąc w torebce uśmiechnęła się obojętnie do recepcjonistki, która rozmawiała przez telefon. Bezgłośnie wymówiła nazwisko d'Amacourta i minawszy zaskoczona kobietę, schyliła się i otworzyła sobie bramkę. Pośpiesznie ruszyła przed siebie; sprawiała wrażenie zdeterminowanej, choć niezbyt rozgarniętej klientki banku Valois.

- *Pardon, madame!* - zawołała recepcjonistka, przysłaniając ręką słuchawkę. - Słucham, czym mogę pani służyć?

Marie powtórzyła nazwisko wiceprezesa:

- Monsieur d'Amacourt.

Teraz z kolei sprawiała wrażenie miłej, uprzejmej klientki spóźnionej na umówione spotkanie, która nie chce kłopotać swoją osobą pochłoniętej obowiązkami pracownicy banku.

- Obawiam się, że jestem już spóźniona. Pomówię tylko z jego sekretarką - powiedziała ruszając w stronę biurka pod ścianą.

- Halo, madame! Muszę panią zapowiedzieć...

Szum elektrycznych maszyn do pisania oraz przytłumiony odgłos rozbrzmiewających wokół rozmów zagłuszył jej słowa. Marie zbliżyła się do srogo wyglądającej sekretarki, która podniosła głowę i popatrzyła na nią równie zaskoczona jak recepcjonistka.

- Słucham panią? W czym mogę pomóc?

- Ja do pana d'Amacourta.

- Niestety, odbywa naradę. Czy jest pani umówiona?

- Tak, oczywiście - odparła Marie, szukając czegoś w torebce. Sekretarka spojrzała na terminarz, który leżał przed nią na biurku.

- Obawiam się, że nie mam nikogo wyznaczonego na tę godzinę.

- Och, ależ ze mnie gapa! - zawołała zakłopotana klientka. - Dopiero teraz się zorientowałam! Jestem umówiona na jutro, nie na dzisiaj! Najmocniej przepraszam.

Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem. Sprawdziła to, co chciała, i zdobyła kolejny dowód. W aparacie na biurku sekretarki paliło się pojedyncze światełko; d'Amacourt, nie korzystając z pośrednictwa sekretarki, osobiście nakręcił jakiś numer i połączył się z kimś na mieście. Konto Jamesa Bourne'a zawierało ściśle określone, poufne instrukcje, których nie wolno było zdradzić posiadaczowi.

Czekając w cieniu markizy Bourne zerknął na zegarek: za jedenaście trzecia. Marie powinna już być z powrotem przy telefonie nie opodal wejścia i śledzić wszystko, co się wewnątrz dzieje. Za kilka minut poznają prawdę; może Marie już ją zna.

Spacerował wolno wzdłuż wystawy sklepowej, cały czas bacznie obserwując wejście do banku. Kiedy sprzedawca uśmiechnął się do niego, przypomniał sobie, że powinien unikać zwracania na siebie uwagi. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, zapalił jednego i znów spojrzął na zegarek. Do trzeciej brakowało ośmiu minut.

I nagle ich dojrzał. Jednego wręcz rozpoznał! Trzej porządnie ubrani mężczyźni szli pośpiesznie rue Madeleine - byli pochłonięci rozmową, ale oczy mieli zwrócone przed siebie. Wyprzedzali wolniejszych przechodniów, przepraszając ich z uprzejmością nietypową dla rodowitych paryżan. Jason skupił się na człowieku idącym pośrodku. Nie ulegało wątpliwości: to był on. Mężczyzna zwany Johannem!

„Daj sygnał Johannowi, żeby szedł tam do budynku. Wrócimy po nich później”. Słowa te wypowiedział na Steppdeckstrasse wysoki, chudy mężczyzna w okularach o złotych oprawkach. Johann. Przysłali go z Zurychu, ponieważ widział Jasona Bourne'a. A to oznaczało jedno: nie mają żadnych jego zdjęć.

Trzej mężczyźni byli już przy wejściu do banku. Dwóch znikło wewnątrz, trzeci został przy drzwiach. Bourne ruszył w stronę budki: odczeka jeszcze cztery minuty, a potem nakręci numer Antoine'a d'Amacourta.

Rzucił na ziemię papierosa, przydeptał go butem i otworzył oszklone drzwi.

- *Regardez!* - usłyszał za plecami czyjś głos.

Wstrzymując oddech, odwrócił się na pięcie. Nie ogolony, ale poza tym niczym się nie wyróżniający przechodzień wskazywał ręką na budkę.

- *Pardon?*

- *Le téléphone. Il n'opère pas. La corde est en noeud.*

- *Oh? Merci. Maintenant, j'essayerais. Merci bien.*

Mężczyzna wzruszył ramionami i oddalił się. Bourne wszedł do budki; cztery minuty już minęły. Wyciągnął z kieszeni kilka monet, żeby starczyło na dwie rozmowy, i wykręcił pierwszy numer.

- *La Banque de Valois. Bonjour.*

Nie upłynęło dziesięć sekund, d'Amacourt podniósł słuchawkę. W jego głosie słychać było napięcie.

- To pan, Monsieur Bourne? Myślałem, że jest pan w drodze do banku.

- Obawiam się, że nastąpiła nagła zmiana planów. Zadzwoń do pana jutro.

Patrząc przez szybę dojrzał samochód, który zatrzymał się przy krawężniku po drugiej stronie ulicy, dokładnie na wprost wejścia do banku. Mężczyzna, który pozostał na zewnątrz, skinął głową kierowcy.

- ...pomóc? - spytał d'Amacourt.

- Słucham?

- Pytałem, czy mogę panu w czymś pomóc. Mam potwierdzenie pańskiego przekazu. Wszystko jest przygotowane do wypłaty.

Nie wątpię, pomyślał Bourne, i zastosował drobny podstęp.

- Niestety, muszę wieczorem być w Londynie. Niedługo mam samolot, ale jutro wrócę do Paryża. Proszę zatrzymać papiery u siebie, dobrze?

- Leci pan do Londynu, monsieur?

- Zadzwoń do pana jutro. A teraz muszę złapać taksówkę i pędzić na Orly.

Odwiesił słuchawkę i przez chwilę obserwował wejście. Niecałe pół minuty później Johann z kompanem wybiegli z banku, zamienili słowo z facetem przy drzwiach i wszyscy trzej wsiedli do czekającego samochodu.

Samochód, który miał im służyć do ucieczki po zabójstwie Bourne'a, ruszył pędem w stronę lotniska. Jason zapamiętał numery rejestracyjne, po czym wykonał drugi telefon. Był pewien, że jeśli nikt inny nie korzysta z płatnego aparatu w banku, Marie podniesie słuchawkę przy pierwszym dzwonku. Tak też się stało.

- Halo?

- Widziałaś coś?

- Pewnie. Trzeba przycisnąć d'Amacourta.

Chodzili po sklepie, krążąc między stoiskami. Marie jednak nie oddalała się od szerokiego okna wychodzącego na ulicę; cały czas obserwowała wejście do banku po przeciwnej stronie rue Madeleine.

- Wybrałem ci dwie apaszki - powiedział Bourne.

- Nie trzeba było. Strasznie tu drogo.

- Słuchaj, zbliża się czwarta. Skoro jeszcze nie opuścił banku, to pewnie nie wyjdzie przed końcem pracy.

- Chyba nie; gdyby się z kimś umówił, już dawno by wyszedł. Ale musieliśmy sprawdzić.

- Zapewniam cię, ci jego kumple są teraz na Orly i ganiają po wszystkich salach odpraw. Nawet nie mogą pytać, czy jestem na liście pasażerów, bo nie wiedzą, jakim posługuję się nazwiskiem.

- Liczą, że ten facet z Zurychu cię rozpozna.

- Tak, ale on będzie szukał kuśtykającego bruneta, a nie mnie. Chodźmy do banku. Pokażesz mi d'Amacourta.

- Nie, Jasonie. - Marie potrząsnęła głową. - Pod sufitem zainstalowane są kamery z szerokokątnymi obiektywami. Jeszcze ktoś obejrzy taśmy i zauważy cię.

- Najwyżej zauważą blondyna w okularach.

- No to mnie skojarzą. Kręciłam się po holu. Rozmawiałam z recepcjonistką i sekretarką.

- Myślisz, że wszyscy są w zмовie? Wątpię.

- Wystarczy wymyślić byle jaki pretekst, żeby bank udostępnił... - Nagle zamilkła i chwyciła Jasona za ramię; patrzyła przez szybę na wejście do banku. - To on! D'Amacourt! Ten w płaszczu z czarnym aksamitnym kołnierzem!

- Ten, co właśnie obciąga sobie rękawy?

- Tak.

- W porządku. Spotkamy się w hotelu.

- Bądź ostrożny. Uważaj na siebie.

- Zapłać za apaszki. Leżą tam z tyłu, na kontuarze.

Wybiegł ze sklepu i stanąwszy przy krawężniku, gdzie nie padał już cień markizy, zmrużył oczy przed słońcem wypatrując jakiejś luki między samochodami, żeby przejść na drugą stronę ulicy, ale ruch był zawrotny. D'Amacourt skręcił w prawo i wolnym krokiem zaczął się oddalać; nie sprawiał wrażenia człowieka, który śpieszy się na umówione spotkanie. Miał w sobie coś z napuszonego pawia, któremu ktoś oskubał nieco ogon.

Bourne dotarł do skrzyżowania, przeszedł przez ulicę na zielonym świetle i podążył za bankierem. Kiedy d'Amacourt zatrzymał się przy kiosku, żeby kupić wieczorne wydanie gazety, Jason przystanął przed sklepem sportowym; kiedy d'Amacourt ruszył dalej, Jason uczynił to samo.

Na wprost dojrzał kawiarnię o ciemnych szybach i ciężkich drewnianych drzwiach z solidnymi okuciami. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, żeby odgadnąć, co to za lokal; odwiedzali go mężczyźni, którzy przychodzili się napić, często przyprowadzając ze sobą kobiety, o jakich inni mężczyźni milczą w towarzystwie. W każdym razie miejsce świetnie nadawało się do tego, żeby odbyć tu rozmowę z Antoine'em d'Amacourtem. Jason przyśpieszył kroku i zrównał się z bankierem. Odezwał się do niego tą samą łamaną francuszczyzną z wyraźnym amerykańskim akcentem co przez telefon.

- *Bonjour, monsieur. Je... pense que vous... êtes Monsieur d'Amacourt.* Nie myślę się, prawda?

Bankier stanął jak wryty. Przypomniawszy sobie głos i w jego zimnym spojrzeniu odmalował się strach. D'Amacourt jakby się skurczył i do reszty zwinął przeredzony ogon.

- Bourne? - upewnił się szeptem.

- Pańscy przyjaciele są chyba mocno zaniepokojeni. Latają po całym lotnisku i pewnie się zastanawiają, czy przypadkiem nie wprowadził ich pan w błąd... i to świadomie.

- Co takiego? - D'Amacourt z przerażenia wytrzeszczył oczy.

- Wejźmy tu do środka - powiedział Jason, stanowczym ruchem przytrzymując bankiera za łokieć. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

- Ja nic nie wiem! Wykonywałem tylko polecenia, które przyszły wraz z przekazem! Nie mam z tym nic wspólnego!

- Czyżby? Kiedy zadzwoniłem do pana po raz pierwszy, oznajmił pan, że nie może mi udzielić żadnych informacji przez telefon; nie chciał pan mówić o operacjach bankowych z nie znaną sobie osobą. Ale kiedy zadzwoniłem po raz drugi, dwadzieścia minut później, oświadczył pan, że wszystko jest gotowe do wypłaty. A to już konkretna informacja, nie sądzi pan? Wejźmy do środka.

Kawiarnia stanowiła jakby zminiaturyzowaną wersję „Drei Alpenhäuser” w Zurychu - stoliki pod ścianą, oddzielone od siebie wysokimi przepierzeniami, przyćmione światła. Ale na tym kończyły się podobieństwa: lokal na rue Madeleine był przecież w samym sercu Paryża, a więc zamiast kufli piwa wszędzie stały karafki z winem. Jason poprosił kelnera o stół w rogu i przy takim usiedli.

- Napije się pan? - spytał d'Amacourta. - Przyda się panu łyk czegoś mocnego.

- Czyżby? - odparł chłodno bankier, ale zamówił whisky.

W czasie krótkiej przerwy, zanim na stole pojawiły się drinki, d'Amacourt wsunął nerwowo rękę pod obcisły płaszcz i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Bourne potarł zapalniczkę i podetknął bankierowi pod nos. Prawie pod sam nos.

- *Merci*. - D'Amacourt zaciągnął się głęboko, po czym wyjął z ust papierosa i jednym haustem opróżnił do połowy zawartość niewielkiej szklanki. - To nie ze mną powinien pan rozmawiać.

- A z kim?

- Nie wiem, może z jednym z właścicieli banku, ale na pewno nie ze mną.

- Proszę wyjaśnić, dlaczego nie z panem.

- Poczyniono pewne zastrzeżenia. Banki prywatne mają nieco bardziej elastyczne przepisy niż banki akcyjne.

- To znaczy?

- Mamy, że tak powiem, większą swobodę działania, jeśli chcemy iść na rękę niektórym klientom lub zaprzyjaźnionym bankom. Wobec banków, których akcje każdy może kupić na giełdzie, stosuje się znacznie ostrzejsze zasady postępowania. Ale zurycki *Gemeinschaft*, podobnie jak Valois, jest bankiem prywatnym.

- A więc *Gemeinschaft* przekazał wam jakieś instrukcje?

- Instrukcje... zastrzeżenia... tak.

- Kto jest właścicielem Valois?

- Kto? Konsorcjum. Dziesięciu lub dwunastu ludzi i ich rodziny.

- W takim razie muszę się zadowolić rozmową z panem, prawda? Trudno, żeby mi uganiał się za nimi wszystkimi po całym Paryżu.

- Ależ ja jestem tylko pracownikiem!

D'Amacourt wypił do końca whisky, zgniótł niedopałek i sięgnął po kolejnego papierosa, i po zapalniczkę.

- Co to za zastrzeżenia? - spytał Bourne.

- Monsieur, mógłbym stracić pracę!

- Może pan stracić życie - odparł Jason zdumiony łatwością, z jaką przyszło mu

wymówić te słowa.

- Naprawdę nie mam tak uprzywilejowanej pozycji, jak się panu wydaje.

- Ani tak małego rozumku, jak usiłuje mi pan wmówić. - Jason zmierzył bankiera wzrokiem. - Wiem, co z pana za typ, panie d'Amacourt. Widać to po pańskim ubiorze, fryzurze, nawet po pańskim, jakże dumnym, chodzie. Nie wierzę, że taki człowiek jak pan zostaje wiceprezesem Valois i nie zadaje pytań; pan się zawsze dobrze zabezpiecza. Nie tyka się pan żadnej śmierdzącej sprawy, dopóki nie jest pan pewien, że nic się panu nie stanie. Ale mnie się pan nie wymknie, jasne? Więc mów pan, co to za zastrzeżenia!

D'Amacourt zapalił zapalkę i nie spuszczać oczu z Jasona, przytknął ją do papierosa.

- Nie powinien mi pan grozić, Monsieur Bourne. Jest pan bardzo bogatym człowiekiem. Wystarczy mi zapłacić. - Uśmiechnął się nerwowo. - Swoją drogą, nie myli się pan. Rzeczywiście zadałem kilka pytań. Paryż to nie Zurych. Tu człowiek na moim stanowisku musi mieć uszy otwarte... nawet jeśli nie otrzymuje odpowiedzi.

Bourne odsunął się nieco, obracając szklankę w dłoni; odgłos brzęczących kostek lodu wyraźnie irytował bankiera.

- Niech pan poda rozsądną cenę, to pogadamy - oznajmił wreszcie.

- Jestem rozsądnym człowiekiem, Monsieur Bourne. Umówmy się, że to pan ustali cenę w zależności do wagi informacji. Na całym świecie istnieje zwyczaj, że klienci odwdzięczają się bankierom za udzielanie porad. Chciałbym widzieć w panu swojego klienta.

- Nie wątpię. - Bourne uśmiechnął się i pokręcił głową, zdumiony tupetem rozmówcy.

- I w ten sposób przeszliśmy od łapówki do miłego upominku za poradę i inne usługi.

D'Amacourt wzruszył ramionami.

- Akceptuję pańską definicję; gdyby ktoś pytał, właśnie tak odpowiem.

- Te zastrzeżenia...

- Wraz z przekazem otrzymaliśmy z Zurychu *une fiche plus confidentielle*...

- *Une fiche*? - wtrącił Jason; przypomniał sobie, że kiedy Koenig wszedł do gabinetu Apfela w banku Gemeinschaft, użył tego samego słowa. - Już kiedyś słyszałem to określenie...

- Właściwie jest ono mocno przestarzałe. Wywodzi się z połowy dziewiętnastego wieku, kiedy to wielkie banki, zwłaszcza Rothschildów, starały się panować nad międzynarodowym przepływem pieniądza.

- No świetnie. A co to oznacza w tym wypadku?

- Oddzielne, zapieczętowane instrukcje, które należy otworzyć i wykonać, kiedy ma miejsce jakaś operacja.

- Operacja?

- Wpłata lub wypłata.

- A gdybym podszedł do okienka, podał blankiet i poprosił o pieniądze?

- Na komputerze pojawiłyby się dwie gwiazdki i skierowano by pana do mnie.

- I tak skierowano mnie do pana. Telefonistka z centrali połączyła mnie z pańską sekretarką.

- Ot, zwykły zbieg okoliczności. W dziale zagranicznym poza mną jest dwóch wyższych urzędników. Równie dobrze mogłaby połączyć pana z nimi, ale oni, zerknąwszy na *fiche*, skierowaliby pana do mnie jako do wiceprezesa.

- Rozumiem - odparł Jason, choć wcale nie był pewien, czy rzeczywiście wszystko rozumie; istniała drobna luka, którą bankier musiał uzupełnić. - Chwileczkę. Przecież kiedy kazał pan przynieść sobie do gabinetu papiery dotyczące przekazu, nie wiedział pan o istnieniu żadnych instrukcji, prawda?

- Dlaczego kazałem je przynieść, tak? - D'Amacourt najwyraźniej spodziewał się tego pytania. - Niech pan będzie rozsądny, monsieur, i postawi się w mojej sytuacji. Dzwoni

człowiek, przedstawia się, mówi, że chodzi o miliony franków. O miliony, monsieur. Czy na moim miejscu nie chciałby mu pan wyświadczyć przysługi? Ominąć tego czy tamtego przepisu?

Patrząc na podstarzałego eleganta, Jason zdał sobie sprawę, że takie wytłumaczenie absolutnie nie powinno go dziwić.

- No dobrze - rzekł. - A te instrukcje. Jak brzmiały?

- Należało zadzwonić pod podany numer telefonu, oczywiście zastrzeżony, i wykonać otrzymane tą drogą polecenia.

- Pamięta go pan?

- Staram się nie zapominać takich rzeczy, monsieur.

- Jasne. A więc?

- Najpierw muszę się zabezpieczyć, monsieur. Co pan powie, gdyby ktoś się interesował, skąd pan ma ten numer? Moje pytanie jest jak to się mówi, czysto retoryczne.

- Czyli że zna pan odpowiedź, tak? No dobrze, co mam mówić, gdyby się ktoś interesował?

- Że pewna osoba w Zurychu, za bardzo dużą opłatą, złamała nie tylko surowy regulamin banku na Bahnhofstrasse, ale również prawo szwajcarskie.

- Nawet znam takiego człowieka - powiedział Bourne, któremu znów stanęła przed oczami twarz Koeniga. - Istotnie złamał regulamin.

- Pracownik banku Gemeinschaft? Pan chyba żartuje!

- Bynajmniej. Nazywa się Koenig. Urzęduje na pierwszym piętrze.

- Zapamiętam to sobie.

- Nie wątpię. A teraz numer...

D'Amacourt podyktował numer telefonu, który Jason zapisał na serwetce.

- Skąd mogę mieć pewność, że się zgadza?

- Jeszcze mi pan nie zapłacił. To chyba wystarczająca gwarancja - odparł bankier.

- W porządku.

- Skoro jednak cena zależy od wagi informacji, zdradzę panu, że jest to drugi numer; pierwszy został usunięty.

- Nie rozumiem. D'Amacourt pochylił się.

- Kurier przywiózł fotostat oryginalnej *fiche*. Zamknięty w czarnej, zapieczętowanej kasetce. Starszy rangą pracownik banku, któremu podlega archiwum, poświadczył jej otrzymanie. Znajdujące się w środku instrukcje zaopatrzone są w podpis jednego z właścicieli banku Gemeinschaft uwierzytelniony przez szwajcarskiego notariusza. Ich treść jest jasna i prosta. We wszystkich sprawach dotyczących konta Jasona C. Bourne'a należy bezzwłocznie dzwonić do Stanów Zjednoczonych po dalsze szczegółowe polecenia... W tym miejscu pierwotna wersja dokumentu została zmieniona - numer nowojorski usunięto, a zamiast niego wstawiono numer paryski; zmianę paraflowano.

- Nowojorski? - spytał Bourne. - Skąd pan to wie, że to był numer nowojorski?

- W nawiasie przed właściwym numerem widniał nietknięty kod: dwieście dwanaście.

Jako wiceprezes działu zagranicznego codziennie go nakręcam.

- Trochę niechlujna robota.

- Tak. Może ktoś się spieszył albo nie do końca rozumiał, co robi. Gdyby zmieniono tekst instrukcji, potrzebny byłby nowy podpis notariusza. Zresztą, zważywszy na ilość telefonów w Nowym Jorku, sam kod na niewiele może się przydać. W każdym razie uznałem, że zmiana numeru daje mi prawo do postawienia kilku pytań. Bankierzy nie cierpią poprawek w dokumentach.

D'Amacourt dotknął pustej szklanki.

- Napije się pan jeszcze? - spytał Jason.

- Nie, dziękuję. Nie chcę przeciągać naszej rozmowy.

- Więc proszę mówić dalej.

- Zastanawiam się, monsieur, że może powinien pan choć w przybliżeniu określić sumę, zanim podejmę wątek.

Bourne popatrzył na niego uważnie.

- W granicach pięciu - rzekł.

- Pięciu czego?

- Pięciu cyfr.

- Dobrze, będę kontynuował. Telefon odebrała kobieta...

- Kobieta? Co pan jej powiedział?

- Prawdę. Że jestem wiceprezesem Valois i postępuję według instrukcji zurskiego banku Gemeinschaft. Co innego miałem mówić?

- Proszę dalej.

- Oznajmiłem, że zadzwonił do mnie człowiek, który przedstawił się jako Jason Bourne. Spytała kiedy; odparłem, że przed kilkoma minutami. Zaczęła się dopytywać o treść naszej rozmowy. Wówczas wyłuszczyłem jej swoje wątpliwości. Powiedziałem, że zgodnie z oryginalną instrukcją powinienem dzwonić do Nowego Jorku, a nie do Paryża. Ona na to, że to nie mój interes, że zmianę numeru parafowano i czy chcę, żeby poinformowała Gemeinschaft, że urzędnik Valois odmawia wykonania ich poleceń?

- Chwileczkę. Kim była ta kobieta?

- Nie mam pojęcia.

- Nie przedstawiła się? Nie spytał jej pan o nazwisko?

- W przypadku *fiche* obowiązują takie zasady. Jeżeli rozmówca poda nazwisko, to dobrze; jeśli nie, nie należy pytać.

- Ale o zmianę numeru pan zapytał?

- Tak, był to drobny wybieg, żeby zdobyć więcej informacji. Dokonał pan transferu znacznej sumy pieniędzy, czterech milionów franków; był pan więc poważnym klientem, a zatem może i kimś bardzo wpływowym... W takiej sytuacji człowiek się waha, potem ustępuje, potem znów się waha, potem znów ustępuje, a w trakcie dowiaduje się różnych rzeczy. Zwłaszcza jeśli osoba, z którą rozmawia, zdradza coraz większy niepokój. A zapewniam pana, że moja rozmówczyni, była wyraźnie zdenerwowana.

- Czego się pan dowiedział?

- Że jest pan niebezpiecznym człowiekiem.

- Pod jakim względem?

- Nie powiedziała mi. Ponieważ jednak użyła tego sformułowania, zapytałem, czy przypadkiem nie jest to sprawa dla Sûreté. Otrzymałem bardzo dziwną odpowiedź. „On jest poza zasięgiem Sûreté, poza zasięgiem Interpolu”.

- I co pan z tego wywnioskował?

- Że cała sprawa jest mocno skomplikowana, że nie wiadomo, co się za nią kryje, i lepiej się do niej nie mieszać. Ale odkąd pana poznałem, doszedłem do jeszcze jednego wniosku.

- Mianowicie?

- Że należy mi się bardzo godziwe wynagrodzenie, bo jednak muszę się mieć na baczności. Kto wie, może ci, którzy pana szukają, też są poza zasięgiem Sûreté i Interpolu.

- Pomówimy o tym później. Powiedział pan tej kobiecie, że jestem w drodze do banku?

- Tak, że umówiliśmy się za kwadrans. Poprosiła, abym zczekał przy telefonie, że za moment wróci. Nie ulega wątpliwości, że w tym czasie gdzieś dzwoniła. Po chwili poinformowała mnie, co mam robić. A więc przetrzymać pana u siebie w gabinecie, dopóki u mojej sekretarki nie zjawi się wysłannik, który spyta o pewną operację związaną z bankiem w Zurychu. Dopiero wtedy miałem pana wypuścić i ruchem głowy wskazać temu człowiekowi.

Chodziło o to, żeby uniknąć pomyłki. Wysłannik oczywiście przyszedł... właściwie było ich dwóch, stanęli przy kasach, żeby na pana zaczekać, a pan się nie pojawił. Po drugim pańskim telefonie, kiedy oznajmił mi pan, że leci do Londynu, wyszedłem z gabinetu, żeby przekazać wysłannikowi tę wiadomość. Sekretarka wskazała mi dwóch mężczyzn. Powiedziałem im o rozmowie z panem. Resztę pan zna.

- Nie zdziwiło pana, że nie wiedzą, jak wyglądam?

- Nie tyle zdziwiło, co dało mi do myślenia. Zresztą powiedziałem tej kobiecie, że wykonanie poleceń z *fiche*, czyli nakręcenie jakiegoś numeru i przeprowadzenie anonimowej rozmowy telefonicznej, to zupełnie co innego niż jawne, bezpośrednie angażowanie się w cudze sprawy.

- Jak zareagowała?

D'Amacourt odchrząknął.

- Dała mi wyraźnie do zrozumienia, że strona, jaką reprezentuje... poważni klienci, których prestiż potwierdza owa *fiche*, odwdzięczą się za pomoc. Jak pan widzi, niczego przed panem nie ukrywam... Chyba rzeczywiście nie wiedzą, jak pan wygląda.

- Jeden z tych dwóch facetów, którzy przyszli do banku, widział mnie w Zurychu.

- W takim razie inni nie dowierzają jego oczom. Albo nie są pewni, czy faktycznie pana rozpozna.

- Dlaczego tak pan uważa?

- Dlatego, monsieur, że ta kobieta bardzo nalegała, żebym im pomógł. Proszę mi wierzyć, absolutnie nie chciałem się zgodzić na jakąkolwiek współpracę, upierałem się, że to wbrew zasadom, i wtedy ona powiedziała, że nie istnieje ani jedno pańskie zdjęcie. Co jest wierutnym kłamstwem.

- Czyżby?

- Oczywiście. Każdy paszport zawiera zdjęcie. Proszę mi pokazać choć jednego urzędnika imigracyjnego, którego nie dałoby się albo przekupić, albo oszukać. Wystarczy dziesięć sekund, żeby zrobić odbitkę fotografii... prosta sprawa. Ci ludzie przeoczyli dobrą okazję.

- Istotnie.

- Z pańskiej reakcji wynika coś bardzo ciekawego - ciągnął d'Amacourt. - Oj, drogo ta rozmowa będzie pana kosztować.

- Co wynika?

- Że ma pan paszport na inne nazwisko. Kim pan jest, Monsieur Bourne?

Jason milczał obracając w rękę szklanę.

- Kimś, kto może panu dobrze zapłacić.

- Zadowolająca odpowiedź. Po prostu jest pan moim klientem, Jasonem Bourne'em. Muszę jednak uważać na siebie.

- Chcę mieć ten nowojorski numer. Może pan go zdobyć? Dostałby pan sporą sumkę ekstra.

- Przykro mi, ale nie widzę sposobu.

- Mógłby go pan odczytać z *fiche*. Pod mikroskopem.

- Monsieur, kiedy powiedziałem, że numer usunięto, nie miałem na myśli, że jest wykreślony. On nie istnieje, został wycięty.

- Więc ktoś w Zurychu go ma.

- Wycięty skrawek mogli zniszczyć.

- Ostatnie pytanie. - Jason pragnął już zakończyć rozmowę. - Dotyczy zresztą i pana. Bez odpowiedzi nie będzie zapłaty.

- Zamieniam się w słuch. O co chodzi?

- Gdybym zjawił się w Valois, nie umawiając się z panem wcześniej, czy wtedy również zadzwoniłby pan pod wskazany numer telefonu?

- Naturalnie; nie wolno mi lekceważyć instrukcji zawartych w *fiche*. Pochodzą od ważnych i wpływowych osób. Groziłoby to wyrzuceniem z pracy.

- Więc w jaki sposób możemy, pan i ja, wycofać pieniądze z konta?

D'Amacourt zacisnął usta.

- Istnieje metoda. Podjęcie *in absentia*. Wypełnia się blankiety i przesyła wraz z pisemnym zleceniem, z tym że podpis musi być poświadczony przez renomowanego notariusza. Nie byłbym wówczas w stanie czemukolwiek przeszkodzić.

- Ale i tak musiałby pan powiadomić kogo trzeba.

- To kwestia odpowiedniego zgrania w czasie. Gdyby na przykład zadzwonił do mnie prawnik, z którym bank Valois miewa częste kontakty, i poprosił, żebym przygotował pewną ilość czeków bankierskich w celu dokonania nimi wypłaty potwierdzonego przekazu z zagranicy, na pewno bym się zgodził. Ustalilibyśmy, że wkrótce prześle mi wypełnione blankiety; чеки oczywiście powinny być wystawione na okaziciela, co jest powszechnie stosowanym zwyczajem przy obecnych wysokich podatkach. Goniec zjawiłby się w banku w porze największego ruchu i zostawił blankiety wraz z pisemnym zleceniem mojej sekretarce, osobie godnej zaufania, pracującej u nas od wielu lat; ona zaś przyniosłaby mi wszystko do podpisania.

- Wraz z plikiem innych dokumentów, które wymagają pańskiego podpisu.

- Dokładnie tak. I nakręcając podany w *fiche* numer telefonu, patrzyłbym, jak goniec opuszcza z czekami bank.

- A czy przypadkiem nie zna pan jakiejś renomowanej firmy adwokackiej w Paryżu? Albo może mógłby mi pan polecić konkretnego prawnika?

- Owszem, właśnie ktoś taki przyszedł mi do głowy.

- Ile będzie mnie kosztował?

- Dziesięć tysięcy franków.

- Drogo.

- Bynajmniej. Jest to człowiek powszechnie szanowany, z długoletnią praktyką sędziowską.

- A pana wynagrodzenie? Może je ustalmy.

- Tak jak mówiłem: jestem człowiekiem rozsądnym i decyzja powinna należeć do pana. Skoro jednak wspomniał pan o sumie pięciocyfrowej, idźmy tym tropem... może więc pięciocyfrowa suma rozpoczynająca się od cyfry pięć. Pięćdziesiąt tysięcy franków.

- To rozbój!

- Podobnie jak to, czego pan się dopuścił, Monsieur Bourne.

- *Une fiche plus confidentielle* - powtórzyła Marie; siedziała na krześle przy oknie, za którym chylące się ku zachodowi słońce wciąż oświetlało swoim blaskiem ornamentalne budowle Montparnasse'u. - A więc tym się posłużyli...

- Zdziwię cię; nawet wiem, skąd pochodzi nazwa. - Z butelki na biurku nalał sobie drinka i przeszedł ze szklanką do łóżka; usiadł twarzą do kobiety. - Powiedzieć ci?

- Nie musisz - odparła, w zamyśleniu spoglądając przez okno. - Wiem dokładnie, skąd pochodzi i co znaczy. Ale jestem wstrząśnięta.

- Dlaczego? Chyba spodziewałaś się czegoś podobnego?

- Skutków tak, ale nie metody. *Fiche* to przeżytek, stosowany obecnie niemal wyłącznie przez prywatne banki na kontynencie europejskim. W Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Wielkiej Brytanii tego typu praktyki są wręcz zakazane.

Bourne przypomniał sobie słowa bankiera.

- Instrukcje pochodzą od ważnych i wpływowych osób, tak powiedział d'Amacourt.

- I nie mylił się. - Popatrzyła na Jasona. - Słuchaj, wiedziałam, że jest jakiś haczyk, ale myślałam, że po prostu przekupiono faceta, żeby przekazywał dalej informacje. To się często

zdarza; bankierzy nie znajdują się w czołówce kandydatów do kanonizacji. Ale okazuje się, że mamy do czynienia z czymś całkiem innym. W momencie kiedy otwarto ci konto w Zurychu, dołączono do niego ową tajną *fiche*. Może nawet za twoją wiedzą i zgodą.

- Treadstone-71?

- Tak. Właściciele banku poszli Treadstone na rękę. Zważywszy na swobodę, z jaką mogłeś dysponować pieniędzmi, przypuszczalnie wiedziałeś o tym.

- Ale kogoś jednak przekupiono. Koeniga. Żeby zmienił numer telefonu.

- Zapewniam cię, że otrzymał za to kupę forsy. Za takie przestępstwo grozi dziesięć lat więzienia.

- Aż dziesięć? Dość surowa kara.

- Bo i prawo szwajcarskie jest dość surowe. Podejrzewam, że ten twój Koenig zbił niezły majątek.

- Carlos... jestem pewien, że to jego sprawka. Ale dlaczego? Czym mu się naraziłem? Ciągłe zadaję sobie to pytanie. Do znudzenia powtarzam jego imię! Ale nic mi nie przychodzi do głowy, nic a nic, może tylko... nie, nic nie pamiętam. Pustka.

- Jasonie, coś ci się przypomniało, prawda? - Marie pochyliła się do przodu. - O co chodzi? O czym teraz myślisz?

- O niczym... w ogóle nie myślę.

- W takim razie coś czujesz. Co? Powiedz mi.

- Nie wiem. Może strach... złość, zdenerwowanie. Nie wiem.

- Skup się!

- A co ja robię, do jasnej cholery? Cały czas wysilam mózg! Psiakrew, nie rozumiesz, co się ze mną dzieje? - Po chwili opanował się, speszony własnym wybuchem. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Nigdy nie przepraszaj. Zrozum, musisz szukać śladów, wskazówek... oboje musimy ich szukać. Ten lekarz z Port Noir miał rację: jedne skojarzenia nasuwają następne. Sam mówiłeś, że czasem wystarczy pudełko zapalek, czyjaś twarz, widok jakiejś restauracji. Zresztą przekonaliśmy się o tym nieraz. A teraz chodzi o imię... imię, którego unikałeś przez prawie cały tydzień, kiedy w najdrobniejszych szczegółach opowiadałeś mi o wszystkim, co ci się zdarzyło w ciągu ostatnich pięciu miesięcy. Nie wspomniałeś ani słowem o Carlosie. Powinieneś być mi o nim powiedzieć, ale wolałeś go przemilczeć. To imię coś dla ciebie znaczy, nie rozumiesz tego? Coś w tobie porusza, nasuwa jakieś skojarzenia, które usiłują wydostać się na zewnątrz.

- Wiem - rzekł, pociągając łyk ze szklanki.

- Najdroższy, na bulwarze Saint-Germain jest taka znana księgarnia prowadzona przez faceta, który ma bzika na punkcie czasopism. Całe piętro jest zavalone stosami starych numerów. Facet je nawet kataloguje, tematycznie, alfabetycznie... jak bibliotekarz. Możliwe, że w którymś ze spisów figuruje Carlos. Mógłbyś to sprawdzić?

Ostry ból ścisnął Jasona za serce, ból zrodzony ze strachu, nie mający związku z ranami na ciele. Marie widziała go i poniekąd rozumiała, skąd się bierze; Jason czuł go, ale nie rozumiał.

- Na Sorbonie też mają stare roczniki czasopism - powiedział, spoglądając na kobietę.

- Po jednym artykule przez pewien czas byłem w siódmym niebie. Dopóki nie zacząłem się nad nim głębiej zastanawiać.

- Wyszło na jaw kłamstwo, i to jest najważniejsze.

- Ale teraz nie szukamy kłamstw.

- Nie, szukamy prawdy. Nie bój się jej, kochany. Ja się nie boję.

Wstał.

- W porządku; pójdę na Saint-Germain. A teraz zadzwoń do tego faceta z ambasady. - Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął serwetkę z numerem telefonu; zanotował na niej numery rejestracyjne samochodu, który z piskiem opon ruszył spod banku na rue Madeleine. - Tu

masz numer podany mi przez d'Amacourta oraz numery rejestracyjne samochodu. Może facet się czegoś dowie.

- Dobrze.

Marie wzięła serwetkę i podeszła do telefonu.. Obok leżał niewielki kołonoatnik; przerzuciła kilka stron.

- Mam. Dennis Corbelier. Peter obiecał, że zadzwoni do niego dziś przed południem czasu miejscowego. Mówił, że mogę na nim polegać, że to najlepiej zorientowany attaché w całej ambasadzie.

- Zna go osobiście, prawda? Nie podał ci nazwiska pierwszego z brzegu pracownika?

- Studiowali razem na uniwersytecie w Toronto. Mogę zadzwonić z pokoju?

- Tak, tylko nie zdradzaj swojego adresu.

- W razie czego powiem mu to samo co Peterowi. - Podniosła słuchawkę. - Że przeprowadzam się do innego hotelu, ale jeszcze nie wiem do którego.

Poprosiła recepcjonistkę o połączenie z miastem i nakręciła numer Ambasady Kanadyjskiej na alei Montaigne. Piętnaście sekund później usłyszała głos attaché Dennisa Corbeliera.

Od razu przeszła do sedna.

- Mam nadzieję, że Peter uprzedził pana, że może będę potrzebowała pomocy?

- Tak, wyjaśnił mi również, co pani robiła w Zurychu. Prawdę mówiąc, nie bardzo mogłem się w tym wszystkim połapać, ale mam ogólne pojęcie. Chodzi o jakieś manipulacje w świecie wielkich finansów?

- Tak, i to większe niż zazwyczaj. Kłopot w tym, że nikt nie chce powiedzieć, kto kim manipuluje. Sama muszę to rozgryźć.

- W czym mógłbym pomóc?

- Mam tu przed sobą kartkę z dwoma numerami: telefonicznym i rejestracyjnym, oba są paryskie. Numer telefonu jest zastrzeżony, więc byłoby trochę dziwne, gdybym tam zadzwoniła.

- Proszę mi podać. Podyktowała oba numery.

- Mam cennych przyjaciół w najróżniejszych miejscach. *A mari usque ad mari* - powiedział Corbelier, cytując napis na godle Kanady. - Często wyświadczamy sobie koleżeńskie przysługi, głównie jeśli chodzi o walkę z handlem narkotykami, ale nie tylko. Może umówilibyśmy się jutro na obiad? Opowiedziałbym pani czego zdołałem się dowiedzieć.

- Chętnie, ale jutro niestety nie mogę. Spędzam cały dzień ze starym przyjacielem. Może innym razem.

- Peter powiedział, że byłbym głupcem, gdybym nie spróbował. Twierdzi, że jest pani wspaniałą kobietą.

- Obaj jesteście kochani... odezwę się jutro, dobrze?

- Świetnie. Biorę się do roboty.

- A więc do jutra i jeszcze raz dziękuję. - Odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. - Za trzy godziny mam zadzwonić do Petera. Przypomnij mi.

- Naprawdę myślisz, że już coś dla nas będzie miał?

- Na pewno. Obiecał, że od razu zadzwoni do Waszyngtonu. Tak jak powiedział Corbelier: wszyscy wyświadczamy sobie przysługi. Informacja za informację, nazwisko za nazwisko.

- Trochę mi to pachnie międzynarodową zмовą.

- Wprost przeciwnie, Jasonie. Tu chodzi o pieniądze, nie o rakiety. O nielegalny obrót pieniędzmi, o naruszanie przepisów prawnych, które służą interesom nas wszystkich. Chciałbyś, żeby szejkowie arabscy przejęli korporację Grumman Aircraft? Wtedy zacniemy mówić o raketach... ale będzie już za późno.

- W porządku, cofam oskarżenie.
- Jutro z samego rana musimy spotkać się z tym prawnikiem d'Amacourta. Zastanów się, ile chcesz podjąć.
- Wszystko.
- Wszystko?
- Tak. Co byś zrobiła na miejscu dyrektorów Treadstone, gdybyś się dowiedziała, że z konta korporacji podjęto cztery miliony franków szwajcarskich?
- Rozumiem.
- D'Amacourt proponuje czeki bankierskie na okaziciela.
- Czeki bankierskie? Tak powiedział?
- Tak. Uważasz, że to zły pomysł?
- Fatalny! Ktoś mógłby wciągnąć ich numery na rozsylaną po całym świecie listę fałszywych czeków! Żeby podjąć pieniądze, musiałbyś pójść do banku, a tam mogłoby się okazać, że realizacja posiadanych przez ciebie czeków została wstrzymana.
- Dowcipniś, cholera! Gra na dwie strony. To co robimy?
- Zostajemy przy okazicielu, ale rezygnujemy z czeków. To muszą być obligacje. Obligacje na okaziciela, o różnych nominałach. Znacznie łatwiej się je spienięża.
- Zasłużyłaś na dobrą kolację. Wyciągnął rękę i pogładził Marie po twarzy.
- Staram się jak mogę, mój panie - odparła, przytrzymując jego dłoń przy swoim policzku. - A więc najpierw kolacja, potem telefon do Petera... a później księgarnia na Saint-Germain.
- Księgarnia na Saint-Germain - powtórzył Jason i znów poczuł, jak ból ściska go za serce.

O co chodziło? Dlaczego tak bardzo się bał?

Wyszli z lokalu na bulwarze Raspail i udali się do centrum telefonicznego na rue de Vaugirard. W dużej sali, wzdłuż ścian, ciągnęły się oszklone kabiny, na środku zaś znajdował się wielki okrągły kontuar, przy którym pracowały urzędniczki; wypełniały druki i kierowały zamawiających rozmowy do właściwych kabin.

- Mało osób dzwoni dziś do Kanady - oznajmiła panienska za kontuarem. - Czeką się najwyżej kilka minut. Kabina dwunasta, madame.

- Dziękuję. Dwunasta, tak?

- Tak, madame. O tam, na wprost.

Ruszyli pod rękę przez zatłoczoną salę w stronę wyznaczonej kabiny.

- Teraz rozumiem, dlaczego ludzie wolą dzwonić stąd niż z hotelu - powiedział Jason.

- Trwa to sto razy szybciej.

- To tylko jeden z powodów.

Stanęli przy kabinie i zanim nawet zdążyli wypalić po papierosie, wewnątrz rozległy się dwa krótkie dzwonki. Marie otworzyła drzwi i weszła do środka. W jednej ręce trzymała kołnотatnik i ołówek, drugą podniosła słuchawkę.

Minutę później Bourne spostrzegł ze zdumieniem, jak krew odpływa Marie z twarzy: kobieta stała blada jak kreda, wpatrując się tępo w ścianę, a po chwili zaczęła krzyżeć. Torebka spadła jej na ziemię - cała zawartość rozsypała się po ciasnej kabinie; kołnотatnik zsunął się na półkę pod aparatem, zaciśnięty w dłoni ołówek pękł na pół. Kiedy Jason wbiegł do środka, Marie była bliska omdlenia.

- Dzień dobry, Liso. Mówi Marie St. Jacques. Dzwonię z Paryża. Peter oczekuje mojego telefonu.

- Marie? O mój Boże... - Głos sekretarki umilkł, a jego miejsce zajęły inne głosy, podniecone, choć lekko stłumione, jakby czyjaś dłoń zakrywała mikrofon; po chwili Marie

usłyszała cichy szmer, jakby przekazywano słuchawkę z ręki do ręki.

- Marie, mówi Alan - oznajmił wicedyrektor wydziału. - Jesteśmy wszyscy w gabinecie Petera.

- Co się stało, Alan? Trochę się spieszę, więc gdybyś mógł poprosić Petera...

Na moment zapadło milczenie.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć... Strasznie mi przykro, Marie, ale Peter nie żyje.

- Co takiego?!

- Kilka minut temu dzwonili z komisariatu, policja zaraz tu będzie.

- Jaka policja? Co się stało? Nie żyje? Peter nie żyje? Co się stało?

- Usiłujemy do tego dojść, Marie. Przeglądamy jego terminarz, ale nie wolno nam dotykać niczego na biurku.

- Na biurku?

- Notatek, zapisków, innych rzeczy.

- Alan, powiedz, co się stało!

- O to chodzi, że nie wiemy. Nikomu nic nie mówił. Wiemy tylko, że rano były do niego dwa telefony ze Stanów, jeden z Waszyngtonu, drugi z Nowego Jorku. Koło południa oznajmił Lisie, że jedzie odebrać kogoś z lotniska. Nie powiedział kogo. Policja znalazła ciało w jednym z podziemnych magazynów. To straszne. Został zastrzelony. Kula trafiła w gardło... Marie? Marie!

Starzec o głęboko osadzonych oczach i parodniowym siwym zaroście wszedł kuśtykając do ciemnego konfesjonau i kilka razy zamrugnął, usiłując dojrzeć zakapturzoną postać, która czekała za grubą zasłoną. Osiemdziesięcioletni posłaniec wzrok miał słaby, lecz umysł wciąż bystry, a tylko to się liczyło.

- *Angelus Domini* - powiedział starzec.

- *Angelus Domini*, dziecię Boże - odparła szeptem zakapturzona postać. - Czy twoje dni upływają w dostatku?

- Zbliżają się do kresu, ale uczyniono je dostatnimi.

- To dobrze... Co słyhać w Zurychu?

- Mają faceta z parku. Był ranny, znaleźli go poprzez lekarza znanego w całym *Verbrechterwelt*. W trakcie przesłuchania przyznał się, że próbował zgwałcić kobietę. Kain po nią wrócił i go postrzelił.

- A więc zmówili się, Kain i ta kobieta.

- Facet uważa, że nie. Był jednym z dwóch, którzy zatrzymali ją na Löwenstrasse.

- Skończony dureń... to on zabił stróża?

- Tak. Tłumaczy się, że musiał, bo inaczej nie zdołałby uciec.

- Niech się nie tłumaczy, może to najmądrzejsza rzecz, jaką zrobił. Wciąż ma broń, z której strzelał?

- Twoi ludzie mają.

- Dobrze. Trzeba ją przekazać pewnemu komisarzowi z policji zuryskiej. Kain jest trudno uchwytany, ale ta kobieta... ma współpracowników w Kanadzie, będzie z nimi w kontakcie. Jeśli ją złapiemy, Kain nam nie umknie. Masz kartkę i ołówek?

- Tak, Carlosie.

Bourne delikatnie podtrzymał Marie, pomagając jej usiąść na ławeczce przymocowanej do wąskiej ściany tuż obok przeszklonej budki telefonicznej. Dziewczyna trzęsła się i łkała, ciężko oddychając. Kiedy podniosła na niego wzrok, jej szkliste spojrzenie nabrało ostrości.

- Oni go zabili. Zabili! Boże, co ja zrobiłam? Peter.

- To nie ty! Jeżeli już, to ja. Zrozum to wreszcie.

- Jasonie, boję się. Był na drugim końcu świata... i zabili go!
- Treadstone?
- A któż by inny? Były dwa telefony. Z Waszyngtonu... Nowego Jorku. Pojechał na lotnisko, żeby się z kimś zobaczyć i został zabity.

- Jak?
- Och, Jezu Chryste... - W jej oczach pojawiły się łzy. - Zastrzelili go. Dostał w gardło
- wyszeptwała.

Nagle Bourne poczuł tępy ból. Nie mógł go zlokalizować, czuł tylko, że brakuje mu powietrza.

- Carlos - powiedział machinalnie.
- Co? - Marie utkwiała w nim nieruchome spojrzenie. - Co powiedziałeś?
- Carlos - powtórzył cicho. - Kula w gardło. Carlos.
- Co chcesz mi powiedzieć?
- Nie wiem. - Wziął ją za ramię. - Chodźmy stąd. Dobrze się czujesz? Możesz iść? Skinęła głową. Na chwilę zamknęła oczy, oddychając głęboko.
- Tak.
- Wstąpimy teraz na drinka. Przyda nam się obojgu. A potem ją znajdziemy.
- Co znajdziemy?
- Księgarnię na Saint-Germain.

Pod hasłem „Carlos” widniały trzy numery tygodników: międzynarodowe wydanie „Time’a” sprzed czterech lat i dwa numery paryskiego „Le Globe”. Nie czytali artykułów na miejscu; zamiast tego kupili wszystkie trzy egzemplarze, wrócili taksówką do hotelu na Montparnassie i zabrali się do lektury. Marie czytała na łóżku, Jason na krześle przy oknie. Po kilku minutach Marie drgnęła.

- Mam - powiedziała. W jej oczach i głosie pojawił się strach.
- Czytaj.
- „Jest to szczególnie brutalna forma kary wymierzanej, jak się zdaje; przez Carlosa lub małą grupkę jego żołnierzy. Śmierć następuje w wyniku postrzału w gardło. Ofiara często zostaje porzucona, by umrzeć w straszliwych męczarniach. Ten rodzaj kary jest zarezerwowany dla tych, którzy złamali nakaz milczenia lub lojalności wymaganych przez tego zabójcę oraz dla tych, którzy odmówili udzielenia informacji...” - Marie przerwała. Dalej nie mogła czytać. Rzuciła się plecami na łóżko i zamknęła oczy. - Nie chciał im powiedzieć i za to go zabili. Och, mój Boże...

- Nie mógł im powiedzieć tego, czego nie wiedział - odparł Bourne.
- Ale ty przecież wiedziałeś! - Marie znów usiadła i otworzyła oczy. - Wiedziałeś o tym postrzale w gardło! Powiedziałeś o tym!

- Tak. Wiedziałem. To wszystko, co mogę powiedzieć.
- Ale skąd?
- Chciałbym znać odpowiedź na to pytanie. Nie znam.
- Możesz zrobić mi drinka?
- Oczywiście. - Jason wstał i podszedł do biurka. Do dwóch szklanek nalał whisky i spojrzał na Marie. - Mam zadzwonić po lód? Herve szybko przyniesie.
- Nie. Nie przyniesie wystarczająco szybko. - Trzasnęła tygodnikiem o łóżko i rzuciła Bourne’owi gniewne spojrzenie. - Zaraz zwariuję!

- To będzie nas dwoje.
- Chciałabym ci wierzyć. Wierzę ci. Ale ja... ja...
- Nie masz pewności - dokończył Bourne. - Ja też nie. - Podał jej szklanę. - Czego chcesz się ode mnie dowiedzieć? Co mogę powiedzieć? Czy jestem jednym z żołnierzy Carlosa? Czy złamałem nakaz milczenia lub lojalności i dlatego znam metodę egzekucji?

- Przestań!

- Często tak sobie mówię. „Dość tego. Przestań”. Nie myśl, próbuj sobie przypomnieć, ale jak już będziesz blisko, naciśnij pedał hamulca. Nie posuwaj się zbyt daleko, zbyt głęboko. Zdemaskujesz jedno kłamstwo, tylko po to, by pojawiło się dziesięć kolejnych pytań w nim zawartych. Może to jest jak przebudzenie po długim pijaństwie, kiedy nie jesteś pewny, z kim się biłeś lub spałeś lub... do diabła z tym... kogo zabiłeś.

- Nie!... Ty jesteś sobą - Marie położyła nacisk na ostatnie słowo. - Nie zabieraj mi tego.

- Nie chcę. Sobie też nie chcę tego odebrać. - Jason wrócił do krzesła i usiadł na nim z twarzą zwróconą do okna. - Przeczytałaś o... metodzie egzekucji.. Ja natomiast przeczytałem o czymś innym. Wiedziałem o tym tak jak o Howardzie Lelandzie. Nawet nie musiałem tego czytać.

- Czego?

Bourne sięgnął po egzemplarz „Time’a” sprzed czterech lat. Złożony na pół tygodnik otwarty był na stronie, na której widniał rysunek brodatego mężczyzny. Szkic był toporny, nieprzekonywający, tak jakby rysownik korzystał z mętnego opisu. Podał magazyn Marie.

- Przeczytaj - powiedział. - Zaczyna się po lewej stronie, pod nagłówkiem „Postać z bajki czy potwór?”. A potem chcę się zabrać w pewną grę.

- Grę?

- Tak. Przeczytałem tylko dwa pierwsze ustępy; musisz mi uwierzyć na słowo.

- W porządku. - Marie przyglądała mu się ze zdziwieniem. Opuściła tygodnik, tak by padało na niego światło i zaczęła czytać.

POSTAĆ Z BAJKI CZY POTWÓR?

Przez ponad dekadę imię Carlosa wymieniano szeptem w zaułkach tak różniących się między sobą miast, jak Paryż, Teheran, Bejrut, Londyn, Kair, Amsterdam. Jest uważany za terrorystę doskonałego, przez co należy rozumieć, że dla niego morderstwo i zabójstwo jest celem samym w sobie, pozbawionym jakiegokolwiek politycznego podłoża. Istnieją jednak konkretne dowody, że organizował on egzekucje dla takich grup ekstremalnych radykałów, jak OWP i Baader-Meinhof, czerpiąc z tego duże zyski. Występował w tych przypadkach zarówno w roli instruktora, jak i wykonawcy wyroków pobierającego wygórowane honoraria. W wyniku jego sporadycznych kontaktów z tymi organizacjami, a także wewnętrznych konfliktów w ich łonie, zaczyna wyłaniać się coraz bardziej wyraźny obraz Carlosa. Pojawiają się bowiem powodowani pragnieniem zemsty informatorzy.

Choć opowieści o jego wspaniałych wyczynach ukazują świat przemocy i konspiracji, materiałów wybuchowych i jeszcze bardziej wybuchowych spisków, szybkich samochodów i jeszcze szybszych kobiet - jednak fakty wydają się wskazywać na interesujące połączenie teorii ekonomicznych Adama Smitha i sensacyjnej prozy Iana Fleminga. Carlos zostaje zredukowany do ludzkich wymiarów i z tej kondensacji wyłania się prawdziwie przerażający człowiek. Romantyczno-sadystyczna postać z bajki zmienia się w błyskotliwego, ociekającego krwią potwora, który handluje zabójstwami z precyzją znawcy rynku potrafiącego właściwie oszacować płace, wydatki i podział pracy w podziemnym świecie. To skomplikowany interes, a Carlos jest mistrzem w wycenianiu jego wartości w dolarach.

Szkic do portretu Carlosa rozpoczyna się od jego domniemanego nazwiska, równie dziwnego jak sama profesja właściciela, Iljicz Ramirez Sanchez. Powiadają, że jest Wenezuelczykiem, synem niezbyt wybitnego, ale fanatycznie oddanego sprawie marksistowskiego adwokata (Iljicz jest wyrazem hołdu dla Włodzimierza Iljicza Lenina, co poniekąd tłumaczy okazjonalne ciągoty Carlosa w stronę lewackiego terroryzmu), który wysłał młodego chłopca do Rosji, by tam zdobył podstawy wykształcenia, między innymi w dziedzinie szpiegostwa w radzieckim ośrodku w Nowogrodzie. Jego obraz z tego okresu jest nieco mniej wyraźny; na pierwszy plan wysuwają się pogłoski i spekulacje. Według nich jedna z komórek Kremla, która z myślą o przyszłej infiltracji bezustannie zajmuje się obserwacją zagranicznych studentów, rozpracowała go. Wyniki tej obserwacji nie wprawiły ich w zachwyt. Carlos był paranoikiem, dla którego dobrze ułożona bomba lub kula rozwiązywała wszystkie problemy. Komórka poleciła odesłać młodego człowieka do Caracas i zerwać wszelkie kontakty z jego rodziną. W rezultacie - odrzucony przez Moskwę i wrogo nastawiony do zachodnich społeczności - Sanchez zabrał się do budowy własnego świata, w którym był niekwestionowanym przywódcą. Czy istnieje lepsza droga, by zostać apolitycznym zabójcą, z którego płatnych usług mogą korzystać klienci wszelkiej politycznej i ideologicznej maści?

W owym czasie wizerunek znów nabiera ostrzejszych konturów. Sanchez, biegle władający wieloma

świat.

W tej postaci z bajki jest zbyt wiele treści; Carlos równie dobrze może być potworem z krwi (przelanej w olbrzymich ilościach) i kości.

Marie odłożyła tygodnik.

- Co to za gra?

- Skończyłaś? - Jason odwrócił się od okna.

- Tak.

- Wnioskuje, że znalazłaś tam wiele informacji: teorie, domniemania, równania.

- Równania?

- Jeżeli coś dzieje się w jednym miejscu, a efekt pojawia się w innym, musi to się jakoś bilansować.

- Masz na myśli powiązania - powiedziała Marie.

- W porządku, powiązania. To wszystko tam jest, prawda?

- Do pewnego stopnia. Trudno to nazwać oficjalnym oświadczeniem; zbyt wiele jest tam spekulacji, pogłosek i informacji z drugiej ręki.

- Ale jednak są tam fakty.

- Przesłanki.

- Dobrze. Przesłanki. To świetnie.

- Co to za gra? - powtórzyła pytanie Marie.

- Nosi prostą nazwę: „Pułapka”.

- Pułapka na kogo?

- Na mnie. - Bourne pochylił się do przodu. - Chcę, żebyś zadawała mi pytania dotyczące wszystkiego, co tam wyczytałaś. Zwroty, nazwy miast, pogłoski, fragmenty... przesłanek. Cokolwiek. Zobaczymy, jak zareaguję. Będę strzelał na oślep.

- Kochanie, nie ma żadnego dowodu...

- Zrób to! - rozkazał Jason.

- W porządku. - Marie podniosła egzemplarz „Time’a”. - Bejrut - powiedziała.

- Ambasada - odparł. - Szef placówki CIA udający attaché. Zastrzelony na ulicy.

Trzysta tysięcy dolarów.

Marie spojrzała na niego.

- Pamiętam... - zaczęła.

- Ja nie! - przerwał. - Dalej.

Wytrzymała jego spojrzenie i wróciła do tygodnika.

- Baader-Meinhof.

- Stuttgart. Regensburg. Monachium. Dwa zabójstwa i porwanie przypisane Baaderowi. Pieniądze z... - Bourne przerwał na chwilę i zdumiony wyszeptał: - ...ze Stanów Zjednoczonych. Detroit... Wilmington, Delaware.

- Jason, co chcesz...?

- Dalej, proszę.

- Nazwisko. Sanchez.

- Pełne nazwisko brzmi: Iljicz Ramirez Sanchez - odpowiedział. - To... Carlos.

- Dlaczego Iljicz?

Bourne przerwał, błędząc wokół spojrzeniem.

- Nie wiem.

- To rosyjskie imię, nie hiszpańskie. Czy jego matką była Rosjanka?

- Nie... tak. Jego matka. To z powodu matki. Tak myślę. Nie jestem pewny.

- Nowogród.

- Ośrodek wywiadu. Obsługa radiostacji, szyfry, sposoby łączności. Sanchez jest absolwentem.

- Jason, ty to czytałeś!

- Nie, nie czytałem. Proszę, pytaj dalej!
Oczy Marie wróciły na początkowe wiersze artykułu.
- Teheran.
- Osiem zabójstw, przypisywanych po części Chomeiniemu i po części OWP. Wyplata
- dwa miliony. Źródło - południowo-zachodni rejon ZSRR.
- Paryż - rzuciła Marie.
- Wszystkie kontrakty będą szły przez Paryż.
- Jakie kontrakty?
- Kontrakty... zabójstwa.
- Czyje zabójstwa? Czyje kontrakty?
- Sancheza... Carlosa.
- Carlos! A więc to jego kontrakty, jego zabójstwa. Nie masz z nimi nic wspólnego.
- Kontrakty Carlosa - powiedział jakby w oszłomieniu Bourne. - To nie ma nic
wspólnego... ze mną - powiedział głosem nieco tylko wznoszącym się ponad poziom szeptu.
- Właśnie to powiedziałaś, Jasonie. To ciebie nie dotyczy!
- Nie! To nieprawda! - krzyknął, zrywając się z krzesła i patrząc na nią z góry. -
N a s z e kontrakty - dodał cicho.
- Nie wiesz, o czym mówisz!
- Po prostu odpowiadam! Na ośle! To dlatego musiałem przyjechać do Paryża! -
obrócił się, podszedł do okna i chwycił ramę okienną. - Temu ma służyć ta cała gra - ciągnął.
- Nie szukamy kłamstwa, szukamy prawdy, pamiętasz? Może do niej dotarliśmy, może gra ją
ujawniła.
- Ten test niczego nie udowodnił. To pełna bólu gra przypadkowych wspomnień.
Jeżeli taki tygodnik jak „Time” to wydrukował, to tę informację mogła za nim podać połowa
gazet na świecie. Mogłeś to przeczytać gdziekolwiek!
- Jednak faktem jest, że to zapamiętałem.
- Nie do końca. Nie wiesz, skąd pochodzi imię Iljicz ani że ojciec Carlosa był
komunistycznym adwokatem w Wenezueli. Sądzę, że to istotne szczegóły... Nawet nie
wspomniałeś o Kubańczykach. Gdybyś to zrobił, doszlibyśmy do najbardziej szokującego
przypuszczenia zawartego w tym artykule. Ale ty nie wspomniałeś o tym ani słowem!
- O czym ty mówisz?
- Dallas - powiedziała. - Listopad 1963 roku.
- Kennedy - odparł Bourne.
- To wszystko? Kennedy?
- A więc to się stało. - Jason znieruchomiał.
- Stało się, ale nie to chciałam wiedzieć.
- Wiem - powiedział bezbarwnym głosem Bourne, tak jakby mówił w próżni. -
Trawiasty pagórek... „Płótniak” Billy.
- Czytałeś to!
- Nie.
- A więc czytałeś o tym wcześniej albo ktoś ci powiedział!
- Możliwe, ale nie ma to znaczenia, prawda?
- Przestań, Jasonie!
- Znów te słowa. Chciałbym.
- Co próbujesz mi powiedzieć? Jesteś Carlosem?
- Na Boga, nie. Carlos chce mnie zabić. Poza tym jestem pewien, że nie mówię po
rosyjsku.
- A więc co?
- To, o czym powiedziałem na początku. Gra, która nazywa się „złap-w-pułapkę-
żołnierza”.

- Żołnierza?

- Tak. Tego, który zdradził Carlosa. To jedyne wytłumaczenie, jedyny powód, że wiem to, co wiem. O wszystkim.

- Dlaczego powiedziałaś „zdradził”?

- Bo on naprawdę chce mnie zabić. Musi, ponieważ sądzi, że wiem o nim więcej niż ktokolwiek na świecie.

Marie siedziała skulona na łóżku. Podkurczyła nogi, a ręce ułożyła wzdłuż boków.

- To jest skutek zdrady. A jaka jest przyczyna? Jeśli to prawda, że to zrobiłaś, stałaś się... stałaś się... - Przerwała.

- Wziąwszy wszystko pod uwagę, jest trochę zbyt późno, żeby szukać przyczyn w sferze moralności - powiedział Bourne, widząc ból na twarzy ukochanej kobiety, która właśnie coś zrozumiała. - Przychodzi mi do głowy kilka powodów, stereotypowych sytuacji. Może doszło do walki między złodziejami... zabójcami.

- Bzdura! - krzyknęła Marie. - Nie ma nawet strzępka dowodu!

- Jest cała sterta i ty dobrze o tym wiesz. Mogłem zdradzić go dla kogoś, kto lepiej zapłacił, lub ukraść duże pieniądze. Oba te rozwiązania tłumaczyłyby konto w Zurychu. - Przerwał na chwilę, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w ścianę nad łóżkiem, wsłuchując się w swoje wnętrze. - To wyjaśniałoby też Howarda Lelanda, Marsylię, Bejrut, Stuttgart... Monachium. Wszystko. Fakty, których nie pamiętam, a które chcą wyjść na jaw. A zwłaszcza jeden: dlaczego unikam jego imienia. Dlaczego nigdy o nim nie wspominałem. Boję się. Jego się boję.

Zapadła cisza; powiedziano więcej niż te kilka słów o strachu. Marie skinęła głową.

- Jestem pewna, że w to wierzysz - powiedziała - i w pewnym sensie chciałabym, żeby to była prawda. Ale chyba tak nie jest. Chcesz w to wierzyć, bo w ten sposób podtrzymujesz swoją wersję. To daje ci odpowiedź... tożsamość. Może nie taką, której byś chciała, ale Bóg mi świadkiem, chyba lepsze to niż codzienne błądzenie po omacku po tym ohydny labiryncie. Myślę, że wszystko jest od tego lepsze. - Przerwała. - I chciałabym, żeby to okazało się prawdą, bo wówczas nie byłibyśmy tutaj.

- Co?

- W tym właśnie jest sprzeczność, kochanie. Liczba albo znak, które nie pasują do twojego równania. Gdybyś rzeczywiście był tym, za kogo się uważasz, i gdybyś bał się Carlosa - a Bóg widzi, że powinieneś - Paryż byłby ostatnim miejscem na ziemi, gdzie by cię ciągnęło. Znajdowalibyśmy się gdzie indziej - sam tak powiedziałaś. Uciekałbyś. Odebrałbyś pieniądze z Zurychu i zniknął. A ty wracasz wprost do jaskini Carlosa. Tak nie postępuje człowiek, który się boi lub czuje się winny.

- Nie ma innych powodów. Przyjechałem do Paryża, żeby dowiedzieć się prawdy, to proste.

- A więc uciekaj. Jutro rano będziemy mieli pieniądze. Nic ciebie... nas nie zatrzymuje. To też proste. - Marie przyglądała mu się uważnie.

Jason spojrział na nią i odwrócił wzrok. Podeszedł do biurka i nalał sobie drinka.

- Pozostaje jeszcze Treadstone - powiedział bez przekonania.

- Dlaczego ma znaczyć więcej niż Carlos? To jest właśnie twoje prawdziwe równanie. Carlos i Treadstone. Człowiek, którego kiedyś bardzo kochałam, został zabity przez Treadstone. To dla nas jeszcze jeden powód do ucieczki, do przetrwania.

- A ja sądziłem, że chcesz, by złapano ludzi, którzy go zabili - powiedział Bourne. - Żeby za to zapłacili.

- Chcę. Nawet bardzo. Ale tym mogą się zająć inni. Mam pewien układ wartości i zemsta nie figuruje na czele tej listy. My jesteśmy na pierwszym miejscu. Ty i ja. Chyba że to tylko moje zdanie? Moje odczucia.

- Wiesz doskonale. - Mocniej ścisnął szklanekę w dłoni i spojrział na Marie. - Kocham

cię - wyszeptał.

- Więc uciekajmy! - powiedziała, bezwiednie podnosząc głos. Postąpiła krok w jego stronę. - Zapomnijmy o tym wszystkim, naprawdę zapomnijmy. Uciekajmy jak najszybciej i jak najdalej! Uciekajmy!

- Ja... ja... - zająknął się Jason. Mgła, która pojawiła mu się przed oczami, utrudniała widzenie, doprowadzała do wściekłości. - Są... pewne sprawy.

- Jakie sprawy? Kochamy się, odnaleźliśmy się! Możemy wyjechać gdziekolwiek, być kimkolwiek. Nic nie jest w stanie nas zatrzymać, prawda?

Bourne czuł, jak pot występuje mu na czoło, czuł suchość w gardle.

- Nic nas nie zatrzyma. - Ledwo słyszał własny głos. - Muszę pomyśleć.

- O czym tu myśleć? - naciskała Marie. Zrobiła jeszcze jeden krok, zmuszając go, by na nią spojrział. - Istniejemy tylko ty i ja, prawda?

- Tylko ty i ja - powtórzył cicho. Dusząca mgła przed oczami gęstniała, otaczała go ze wszystkich stron. - Wiem, wiem. Ale muszę pomyśleć. Jeszcze tyle muszę się dowiedzieć, tyle jeszcze musi wyjść na jaw.

- Dlaczego to takie ważne?

- Po prostu... jest.

- Nie wiesz?

- Tak... Nie, nie jestem pewien. Nie pytaj mnie o to teraz.

- Jeżeli nie teraz, to kiedy? Kiedy mogę o to zapytać? Kiedy to minie? I czy w ogóle minie?

- Przestań! - ryknął nagle, z trzaskiem odstawiając szklanekę na drewnianą tacę. - Nie mogę uciekać! Nie będę! Zostanę tu! Muszę wiedzieć!

Marie podbiegła do niego. Położyła dłonie na jego ramionach, potem wytarła mu pot z twarzy.

- Wreszcie to powiedziałeś. Czy słyszysz siebie, kochanie? Nie możesz uciekać, bo im bardziej zbliżasz się do prawdy, tym bliższy jesteś obłędu. A jeśli byś uciekał, tym gorzej dla ciebie. To nie byłoby życie, lecz koszmar. Wiem o tym.

Spojrzał na nią i dotknął jej twarzy wyciągniętą dłonią.

- Wiesz?

- Oczywiście. Ale to ty musiałeś o tym powiedzieć, nie ja. - Przytuliła się do niego, kładąc mu głowę na piersi. - Musiałam cię zmusić do... To zabawne, ale ja naprawdę mogłabym uciec. Dziś w nocy mogłabym wsiąść do samolotu i odlecieć dokądkolwiek byś chciał; zniknąć i nie oglądać się za siebie. Byłabym szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Ale ty nie mógłbyś tego zrobić. To co jest - o ile jest - w Paryżu, tak by cię prześladowało, że po pewnym czasie nie mógłbyś już wytrzymać. Jest w tym jakaś obłąkana ironia losu, kochanie. Ja mogłabym z tym żyć, ale nie ty.

- Zniknęłabyś? Tak po prostu? - zapytał Jason. - A co z twoją rodziną, pracą, wszystkimi znajomymi?

- Nie jestem dzieckiem ani głuptasem - odparła pośpiesznie. - Musiałabym jakoś zatrzeć za sobą ślady ale nie przeżywałabym tego zbyt ciężko. Poprosiłabym o długi urlop z powodów zdrowotnych i osobistych. Stres, załamanie nerwowe; zawsze mogłabym wrócić - wydział by to zrozumiał.

- Peter?

- Tak. - Przez chwilę milczała. - Nasze stosunki przeszły w inną fazę, chyba bardziej ważną dla nas obojga. Był jakby niedoskonałym bratem, któremu - mimo jego wad - życzy się wszystkiego najlepszego, bo jest uczciwy.

- Przykro mi. Naprawdę. Spojrzała na niego.

- Ty też jesteś uczciwy. W mojej pracy uczciwość jest bardzo ważna. Pokorni nie odziedziczają tej Ziemi, Jasonie - przejmą ją skorumpowani. Sadzę, że granica między korupcją

a zabijaniem jest bardzo krucha.

- Treadstone-71?

- Tak. Oboje mieliśmy rację. Naprawdę chcę, żeby ich wykryto, żeby zapłacili za swoje uczynki... A ty nie możesz uciec.

Musnął ustami jej policzek, potem włosy i przytulił do siebie.

- Powiniennem cię przepędzić - powiedział. - Powiniennem kazać ci wynosić się z mojego życia. Jednak nie jestem w stanie, chociaż cholernie dobrze wiem, że powiniennem.

- Nawet gdybyś tak postąpił, nie miałyby to znaczenia. Nie odeszłabym od ciebie, kochanie.

Kancelaria mieściła się przy bulwarze de la Chapelle. Zastawione książkami ściany pokoju konferencyjnego bardziej przypominały scenę teatru niż biuro - wszystko było tu doskonałą inscenizacją. W tym pokoju nie podpisywano kontraktów, lecz zawierano umowy. Jeżeli chodzi o samego prawnika, to ani dostojny wygląd, ani biała hiszpańska bródka, ani srebrne *pince-nez* na orlim nosie nie zdołały zamaskować absolutnego braku uczciwości. Upierał się nawet, żeby rozmowa prowadzona była w łamanym angielskim, by później mieć możliwość twierdzenia, że został źle zrozumiany.

Rozmowę głównie zajmowała się Marie. Bourne ustąpił jej pola, jak przystało klientowi wobec doradcy prawnego. Zwięźle wyluszczała swoje racje prosząc o zmianę czeków płatnych z funduszu banku i podpisywanych przez kasjera na poręczone obligacje, płatne w banknotach o nominałach od pięciu do dwudziestu tysięcy dolarów. Poinstruowała prawnika, by powiadomił bank, że wszystkie serie mają być podzielone według numeracji na trzy części a co piąty pakiet ma być gwarantowany przez międzynarodowe banki. Cała ta procedura była jasna dla adwokata: tak skomplikowany sposób wystawienia obligacji uniemożliwiał wyśledzenie ich obiegu przez większość banków i biur maklerskich. Żaden z banków ani maklerów nie miał ochoty na dodatkowe wydatki i kłopoty - ostatecznie płatności były zagwarantowane.

Kiedy poirytowany prawnik z hiszpańską bródką zbliżał się do końca telefonicznej rozmowy z równie podenerwowanym Antoine'em d'Amacourtem, Marie powstrzymała go gestem dłoni.

- Bardzo przepraszam, ale Monsieur Bourne nalega, żeby Monsieur d'Amacourt dołączył do zlecenia dwieście tysięcy franków w gotówce, z czego sto tysięcy ma być przekazane razem z obligacjami. Pozostałe sto ma pozostać u Monsieur d'Amacourta. Monsieur Bourne sugeruje, żeby te pieniądze zostały podzielone w następujący sposób: siedemdziesiąt pięć tysięcy dla Monsieur d'Amacourta, a dwadzieścia pięć dla pana. On zdaje sobie sprawę, jak wiele panom zawdzięcza za porady i dodatkowe kłopoty, na które panów naraził. Nie ma potrzeby wspominać, że nie wymaga on żadnego formalnego zapisu tej operacji.

Na dźwięk tych słów irytacja i podenerwowanie zniknęły, zastąpione przez przesadną uprzejmość nie widzianą od czasów Wersalu. Umowa została zawarta zgodnie z niezwykłymi - aczkolwiek całkowicie zrozumiałymi - żądaniami Monsieur Bourne'a i jego damskiego doradcy.

Monsieur Bourne przyniósł skórzany neseser na obligacje i pieniądze. Ustalono, że dostarczy go uzbrojony kurier, który o czternastej trzydzieści wyjdzie z banku i o godzinie piętnastej spotka Monsieur Bourne'a na Pont Neuf. Szacowny klient dokona identyfikacji dopasowując mały skrawek wyciętej z boku neseseru skóry do miejsca po wycięciu. Obowiązywać również będzie hasło: „Herr Koenig przesyła pozdrowienia z Zurychu”.

Tyle jeśli chodzi o szczegóły. Z wyjątkiem jednego, który precyzyjnie przedstawiła pełnomocnik Monsieur Bourne'a.

- Chcemy, żeby zdawał pan sobie sprawę z tego, że polecenia zawarte w *fiche* mają

być wypełnione co do joty i spodziewamy się, że Monsieur d'Amacourt tak właśnie uczyni - powiedziała Marie St. Jacques. - Jednocześnie chcemy zaznaczyć, że czynnik czasu jest istotny dla Monsieur Bourne'a i spodziewa się on dokładnego wypełnienia wszystkich ustaleń. Jeżeli stałoby się inaczej, obawiam się, że jako - występujący teraz anonimowo - członek Międzynarodowej Komisji Bankowej, będę czuła się zmuszona zgłosić konkretne przypadki nieprawidłowości w operacjach bankowych i procedurze prawniczej, których to zdarzeń byłam świadkiem. Jestem pewna, że nie będzie to konieczne: wszyscy zostaliśmy bardzo dobrze opłaceni, *n'est-ce pas, monsieur?*

- *C'est vrai, madame!* W bankowości i w prawie... Tak jak w życiu... czas liczy się najbardziej. Nie ma pani powodów do obaw.

- Wiem - powiedziała Marie.

Bourne sprawdził gwint tłumika, zadowolony, że oczyścił go z kurzu i paprochów, które zgromadziły się tam przez okres nieużywania. Wykonał ostatni, dociskający obrót, zwolnił zacisk magazynka i zajrzał do środka. Zostało sześć pocisków; był gotów. Wsunął broń za pasek i zapiął marynarkę.

Marie nie widziała tego. Siedziała na łóżku odwrócona do niego plecami i rozmawiała przez telefon z Dennisem Corbelierem - attaché Ambasady Kanadyjskiej. Obok jej notesu, w którym zapisywała informacje przekazywane przez Corbeliera, stała popielniczka, z której unosiła się spirala papierosowego dymu. Kiedy attaché skończył, podziękowała mu i odłożyła słuchawkę. Przez dwie lub trzy sekundy siedziała w bezruchu, wciąż trzymając w dłoni ołówkę.

- On nie wie o Peterze - powiedziała, odwracając się do Jasona. - To dziwne.

- Bardzo - zgodził się Bourne. - Sądziłem, że dowie się o tym jako jeden z pierwszych. Powiedziałaś, że przejrzeni notes i spis telefonów Petera. Była tam zanotowana rozmowa z Corbelierem w Paryżu. Ktoś powinien był pójść tym tropem.

- Nawet o tym nie pomyślałam. Chodziło mi o prasę i doniesienia agencyjne. Petera znaleziono... znaleziono osiemnaście godzin temu i bez względu na to, jak niedbale się o nim wyrażałam, był grubą rybą w rządzie kanadyjskim. Już sama wiadomość o jego śmierci powinna była trafić do serwisów agencyjnych, a to, że został zamordowany, stanowiłoby dodatkową sensację. A nikt nie pisał ani słówka.

- Zadzwoń wieczorem do Ottawy. Dowiedz się dlaczego.

- Tak zrobię.

- Co powiedział ci Corbelier?

- Ach, tak - Marie zerknęła do notesu. - Tablice rejestracyjne, które widziałeś na rue Madeleine, były lipne, a samochód wypożyczono na lotnisku De Gaulle'a na nazwisko Jean-Pierre Larousse...

- John Smith - wtrącił Jason.

- Dokładnie. Lepiej powiodło mi się z numerem telefonu, który dał ci d'Amacourt, ale Corbelier nie ma pojęcia, do czego to może pasować. Szczerze mówiąc, ja też.

- Aż tak dziwny?

- Tak myślę. To prywatna linia należąca do domu mody przy Saint-Honoré, „Les Classiques”.

- Dom mody? Masz na myśli pracownię krawiecką?

- Pewna jestem, że też tam jest, ale to raczej bardzo elegancki sklep z kreacjami. Jak Dior czy Givenchy. *Haute couture*. W branży, jak powiedział Corbelier, mówi się o nim jako o „Domu René”. Chodzi o Bergerona.

- Kogo?

- René Bergerona, projektanta. Słyszało się o nim już od lat; zawsze balansował na krawędzi prawdziwego sukcesu. Znam to nazwisko, bo moja pani gospoia w domu kopiuje

jego wzory.

- Masz adres?

Marie skinęła głową.

- Dlaczego Corbelier nie wiedział o Peterze? Dlaczego nikt o nim nie wiedział?

- Może dowiesz się tego po rozmowie telefonicznej. Prawdopodobnie ma to związek ze strefami czasu; do Paryża wiadomość nadeszła zbyt późno, by ukazać się w porannych wydaniach. Kupię popołudniówkę. - Bourne podszedł do szafy z ubraniami po płaszcz, czując ukryty za paskiem ciężar. - Wracam do banku. Pojadę za kurierem do Pont Neuf. - Włożył płaszcz, uświadamiając sobie, że Marie go nie słucha. - Chciałem cię zapytać, czy ci faceci noszą mundury?

- Kto?

- Kurierzy z banku.

- To by tłumaczyło sprawę gazet, ale nie dalekopisu.

- Przepraszam?

- Różnica czasu. Gazety miały prawo tego nie zamieścić, ale w depezach agencyjnych powinno było się znaleźć. Ambasadory są wyposażone w dalekopisy; wiedzieliby o tym. To nie zostało w ogóle podane do wiadomości, Jasonie.

- Zadzwoń wieczorem - odparł. - Wychodzę.

- Pytałeś o kurierów. Czy noszą mundury?

- Byłem ciekaw.

- Najczęściej tak. Poruszają się opancerzonymi furgonetkami, ale w tej sprawie wydałam wyraźne instrukcje. Jeżeli będą jechać furgonetką, ma być zaparkowana przeciętnie przed mostem, a kurier ma dalej iść pieszo.

- Słyszałem to, ale nie jestem pewien, co miałas na myśli? Dlaczego?

- Sam kurier jest już wystarczająco kłopotliwy, ale to konieczne; jego obecności wymagają towarzystwa ubezpieczające banki. Po prostu furgonetka zbyt łatwo rzuca się w oczy, zbyt łatwo ją śledzić. Może zmienisz zdanie i pozwolisz mi pójść z tobą?

- Nie.

- Uwierz mi, wszystko będzie w porządku. Już tych dwóch złodziei tego dopilnuje.

- W takim razie nie ma sensu, żebyś tam szła.

- Doprowadzasz się do oblędu.

- Śpieszę się.

- Wiem. A beze mnie poruszasz się szybciej. - Marie wstała i podeszła do niego. - Naprawdę cię rozumiem. - Przysunęła się do niego, pocałowała go w usta i nagle poczuła broń wsuniętą za pasek u jego spodni. Zajrzała mu w oczy. - Denerwujesz się, prawda?

- Po prostu jestem ostrożny. - Uśmiechnął się, dotykając jej podbródka. - To straszna kupa pieniędzy. Możemy się za nie utrzymać przez długi czas.

- Podoba mi się to.

- Pieniądze?

- Nie. „My”. - Marie zmarszczyła brwi. - Skrytka bankowa.

- Mówisz *non-sequiturs*.

- W Paryżu nie można zostawić obligacji wartych ponad milion dolarów w jakimś pokoju hotelowym. Trzeba wynająć sejf.

- Zrobimy to jutro. - Wypuścił ją z objęć i ruszył w stronę drzwi. - Podczas mojej nieobecności znajdź „Les Classiques” w książce telefonicznej i zadzwoń pod ich miejski numer. Dowiedz się, o której zamykają. - Wyszedł szybko z pokoju.

Usadowiony na tylnym siedzeniu stojącej taksówki, Bourne obserwował przez przednią szybę wejście do banku. Kierowca nucił pod nosem nie dającą się zidentyfikować melodię i czytał gazetę, zadowolony z pięćdziesięciofrankowej zaliczki. Jednak silnik pracował na jałowym biegu; pasażer upierał się co do tego.

- Taxi! Taxi!

Gerneinschaft i Treadstone, i Apfel pojawili się w ogóle w tej historii z gazety.

- Mówiłem ci. Oni chcą dostać mnie, a wiedzą, że jesteśmy razem. Carlos wie. Kiedy znajdzie ciebie, znajdzie i mnie.

- Nie. Jasonie, to musi być coś więcej niż Carlos. Ty doprawdy nie znasz szwajcarskiego prawa. Nawet Carlos nie mógłby skłonić ich do tego, żeby sobie kpili z prawa w ten sposób. - Patrzyła na Jasona nie widząc go, jakby spoglądała przez mgłę. - To nie jest jedna historia, to dwie różne historie. Obie zbudowane z kłamstw, pierwsza połączona z drugą cienką nicią spekulacji... publicznej spekulacji o kryzysie bankowym. O czymś takim nigdy nie informuje się opinii publicznej. Można to zrobić dopiero wtedy, jeśli dokładne - i prywatne - dochodzenie potwierdzi wszystkie fakty. A drugą historię, tego całkowicie fałszywego oświadczenia o kradzieży milionów z Gerneinschaft, przyczepiono do równie fałszywej informacji, że jestem poszukiwana za zabicie trzech osób w Zurychu. Została dodana. Rozmyślnie.

- Wyjaśnij mi to, proszę.

- Wyjaśnienie jest tutaj, Jasonie. Wierz mi, kiedy ci to mówię. Mamy je przed sobą.

- Co?

- Ktoś próbuje przesłać nam wiadomość.

eleganckiej bibliotece. Dawid Abbott skulony w fotelu, ze spojrzeniem otwartych oczu zdradzających szok; w pobliżu jego stóp Elliot Stevens; Żeglarz rozwalony na przenośnym stoliku z przewróconą butelką whisky w ręce; Gordon Webb wyciągnięty na podłodze, przyciskający kurczowo do ciała teczkę. Ułożenie ciał sugerowało, że akt przemocy, jaki rozegrał się w tym pokoju, nastąpił zupełnie nieoczekiwanie - nagła strzelanina przerwała swobodną rozmowę.

Europejczyk w zamszowych rękawiczkach przechadzał się, podziwiając swoją sztukę. Tak, w istocie była to sztuka. Odesłał szofera, wyczyścił każdą klamkę, każdy przełącznik, wszystkie lśniące drewniane powierzchnie. Teraz nadeszła pora na najważniejsze pociągnięcie. Mężczyzna zbliżył się do stołu, gdzie na srebrnej tacy stały kieliszki do brandy, wziął jeden z nich i podniósł w górę do światła; tak jak przewidywał, nie było na nim najmniejszego śladu. Odstawił kieliszek, a z kieszeni wyjął małe, płaskie pudełeczko z plastiku. Otworzył je i wydobył ze środka pasek przezroczystej taśmy, któremu również przyjrzał się pod światło. Były. Wyraziste jak portret - do pewnego stopnia były przecież portretem.

Zostały zdjęte ze szklanki z wodą mineralną, zabranej z biura Gemeinschaft Bank w Zurychu - odciski palców prawej ręki Jasona Bourne'a.

Europejczyk wziął do ręki kieliszek i z cierpliwością artysty przylepił taśmę na dolnej części naczynia, po czym oderwał ją. Jeszcze raz podniósł kieliszek do światła - odciski rysowały się w blasku lampy z matową doskonałością.

Mężczyzna zaniósł kieliszek w róg biblioteki i upuścił na parkiet. Przyklęknął, przyglądając się odłamkom szkła; kilka z nich usunął, a resztę zmiótł pod zasłonę.

Nie wątpił, że dobrze wykonał zadanie.

- Byłeś dostatecznie blisko. Dzięki. - Jason położył na stoliku kilka banknotów i zaczął zbierać się do wyjścia.

- Jest jeszcze jedno - powiedział d'Anjou. - Nie wiem, czy ma to jeszcze jakieś znaczenie, ale oni wiedza, że nie nazywasz się Jason Bourne.

- Co takiego?

- Dwudziestego piątego marca. Czyżbyś zapomniał, Delta? To już za dwa dni, a ta data jest okropnie ważna dla Carlosa. Wydał odpowiednie rozkazy. Dwudziestego piątego chce mieć twoje zwłoki. Tego samego dnia zamierza dostarczyć je Amerykanom.

- O czym ty mówisz?

- 25 marca 1968 roku został stracony w Tam Quan Jason Bourne. Ty to zrobiłeś.

- Nie - odparł. - Odczuwałem strach przy każdym kolejnym kroku; przerażało mnie to, czego się dowiadywałem. A teraz, zbliżając się do końca, boję się, jak jeszcze nigdy do tej pory. Skoro nie jestem Jasonem Bourne'em, to kim jestem? Co ja zostawiłem za sobą? Nie pomyślałaś nigdy o tym?

- Wielokrotnie, kochanie. Na swój sposób jestem przerażona bardziej od ciebie. Ale przecież nie zatrzymamy się. Modlę się o to do Boga, wiedząc jednocześnie, że nic już nas nie powstrzyma.

Attaché Ambasady Amerykańskiej przy Avenue Gabriel wszedł do biura pierwszego sekretarza i starannie zamknął drzwi. Mężczyzna siedzący za biurkiem uniósł wzrok.

- Czy pan jest pewien, że to on?

- Jestem pewien tylko tego, że użył właściwego szyfru - stwierdził attaché i zbliżył się do biurka trzymając obramowaną na czerwono tekturkę. - Oto identyfikator - powiedział podając ją pierwszemu sekretarzowi. - Sprawdziłem wszystkie podane przez niego słowa i jeśli mamy się na tym opierać, musimy uznać jego autentyczność.

Mężczyzna za biurkiem przyjrzał się tekturce.

- Kiedy powołał się na Treadstone?

- Jak mu oświadczyłem, że to ja decyduję o tym, czy i kiedy zostanie skontaktowany z kimś z wywiadu amerykańskiego. Najwyraźniej sądził, że spadnę z krzesła słysząc, że nazywa się Jason Bourne. Kiedy spytałem, czym mogę mu służyć, miał minę, jakby chciał się na mnie rzucić.

- I nie powiedział, żeby sprawdzić jego identyfikator?

- Czekałem na to, lecz daremnie. Ktoś, czyja krótka charakterystyka brzmi: „Doświadczony oficer liniowy. Niewykluczona dezercja lub przetrzymanie przez wroga”, powinien użyć słowa „identyfikator” i wszystko byłoby w porządku. Ale nie użył.

- Więc może nie jest autentyczny?

- Cała reszta się jednak zgadza. Powiedział, że od sześciu miesięcy jest poszukiwany przez D. C. Wtedy to właśnie wymienił Treadstone. Oświadczył, że należy do Treadstone, jakby sprawdzał, jakie wrażenie to wywrze. Prosił, żebym przekazał słowa szyfrowe „Delta”, „Kain” i „Meduza”. Dwa pierwsze występują w identyfikatorze, sprawdziłem... nie wiem, co oznacza „Meduza”.

- Ja w ogóle nie wiem o niczym - rzekł pierwszy sekretarz ambasady - oprócz tego, że mam to natychmiast puścić w obieg, przeczyścić łączność z Langley i przygotować sterylny kanał dla niejakiego Conklina. Słyszałem już o nim: mówią, że to kawał drania, któremu dziesięć albo dwanaście lat temu odstrzelili w Wietnamie stopę. Naciska różne guziki w Firmie. A że przetrzymał wszystkie czystki, z pewnością woleliby, żeby nie latał po ulicach i nie wrzeszczał, że rozgląda się za pracą. Albo za dziennikarzem.

- Jak pan myśli, kim jest ten Bourne? - spytał attaché. - Przez osiem lat od wyjazdu ze Stanów nie widziałem, żeby polowali na kogoś tak zawzięcie i chaotycznie jednocześnie.

- Ktoś, na kim szalenie im zależy. - Pierwszy sekretarz wstał od biurka. - Dziękuję panu za to. Powtórzę D. C., jak dobrze pan sobie ze wszystkim poradził. Jaki jest plan? Sądzę, że nie podał mu pan numeru telefonu?

- W żadnym wypadku. Chciał się zgłosić ponownie za piętnaście minut, ale zachowałem się jak prawdziwy urzędas. Kazałem mu przyjść za jakąś godzinę. To wypada po piątej, a ponieważ zamierzam wyjść wówczas na obiad, zyskamy jeszcze do dwóch godzin.

- Sam nie wiem... nie wolno nam go zgubić. Najlepiej niech Conklin zadecyduje. On to rozgrywa. Bez jego upoważnienia do Bourne'a nie wolno się nikomu zbliżyć.

Aleksander Conklin siedział przy biurku w swym pomalowanym na biało biurze w Langley, w stanie Wirginia i słuchał relacji pracownika ambasady w Paryżu. To był Delta,

bez wątplenia. Powołanie się na „Meduzę” było dowodem, bo nikt poza Delta nie mógł znać tej nazwy. Drań! Udawał agenta w tarapatkach, jego szefowie z Treadstone nie reagowali na hasło - wszystko jedno jakie - bo martwi nie mówią. Chciał to wykorzystać, żeby się zerwać z haka rzeźniczego. Ale drań ma nerwy! Wstrętny drań!

Wykończyć swych szefów po to, żeby odwołać akcję! Wszelkie akcje. Czy ktoś już kiedyś postąpił podobnie?, zastanawiał się Conklin. Tak, on sam. Było to na wzgórzach Houg Khe. Mieli dowódcę, kompletnego idiotę, który wydając idiotyczne rozkazy, wysyłał na idiotyczne akcje całe oddziały „meduzyjczyków” skazując ich na pewną śmierć. Młody oficer wywiadu o nazwisku Conklin zakradł się do obozu-bazy Kilo z rosyjskim karabinem zdobytym na północnym Wietnamczyku i wpakował dwie kule w łeb idioty. Strasznie po nim płakano, wprowadzono specjalne środki bezpieczeństwa... ale akcje zostały odwołane.

Jednakże na ścieżce prowadzącej do obozu-bazy Kilo w dżungli znaleziono odłamki szkła z odciskami palców. Odłamki szkła z odciskami palców, które w niezbyt sposób świadczyły o tym, że snajperem był zachodni żołnierz z „Meduzy”. Podobne odłamki znaleziono na Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy, o czym jednak zabójca - czyli Delta - nie wiedział.

- W pewnej chwili poważnie zwątpiliśmy w jego autentyczność - powiedział pierwszy sekretarz ambasady, zaniepokojony nagłą ciszą od strony Waszyngtonu. - Doświadczony oficer liniowy poleciłby attaché, żeby sprawdził jego identyfikator, a nasz obiekt tego nie uczynił.

- Przeoczył - odrzekł Conklin, wracając znowu myślami do ponurej zagadki, jaką był Delta-Kain. - Jakie są plany?

- Początkowo Bourne upierał się, że wróci za piętnaście minut, ale zastosowałem taktykę wymijającą. Pomyślałem też sobie, czyby się nie wykręcić porą obiadową... - Teraz pracownik ambasady zamierzał pochwalić się przed funkcjonariuszem Firmy w Waszyngtonie, jak chytrze postąpił. Miało to potrwać dobrą minutę; Conklin znał te gadki we wszystkich ich odmianach.

Delta. Dlaczego przeszedł na drugą stronę? Oszalał, stracił rozum, pozostał mu tylko instynkt samozachowawczy? Ale zbyt długo w tym tkwił, by nie zdawać sobie sprawy, że prędzej czy później dostaną go i zabiją. Od początku nie miał szans; musiał o tym wiedzieć już w chwili, gdy przechodził na drugą stronę czy też zrywał kontrakt. Na całym świecie nie było dla niego schronienia, wszędzie mierzono do niego z pistoletów. W każdej chwili ktoś mógł wyłonić się z cienia i położyć kres jego życiu. To groziło każdemu z nich, stanowiąc zasadniczy argument przeciw zdradzie. Chcąc przetrwać, należało rozejrzeć się za jakimś innym rozwiązaniem. Biblijny Kain jako pierwszy dopuścił się bratobójstwa. Czy owo mityczne imię mogło nasunąć mu ten odrażający pomysł? To zbyt proste. Bóg wszakże uznał to za idealne rozwiązanie. Zabij ich, zabij swego brata!

Nie ma Webba, Mnicha, Żeglarza i jego żony... tych, którzy przekazywali Delcie instrukcje, kto więc mógł stwierdzić, jakie polecenia otrzymał? Podjął miliony i rozporządził nimi, jak mu kazano. Sposób dokonywania wpłat na konto stanowił w jego przekonaniu nieodłączny element strategii Mnicha. Czy Delta mógłby kwestionować postępowanie Mnicha? Twórca „Meduzy”, geniusza, który zwerbował go - Kaina - i w ogóle wymyślił.

Idealne rozwiązanie. Śmierć brata, potem głęboki żal, by wyglądało to przekonywująco. Niby że to Carlos dokonał infiltracji i wdarł się do Treadstone. Terrorysta zwyciężył, Treadstone upadł. Drań!

- ...tak więc zasadniczo uważam, że plan powinien wyjść od pana. - Pierwszy sekretarz ambasady w Paryżu doszedł do końca. Był osłem, ale Conklin go potrzebował; można było mówić jedno, a robić ie.

- Postąpił pan słusznie - stwierdził zwierzchnik w Langley. - Powtórzę moim ludziom tutaj, jak świetnie sobie pan poradził. Miał pan a rację; potrzebujemy czasu, z czego Bourne

nie zdaje sobie sprawy. Nie możemy też mu nic powiedzieć, co czyni sprawę jeszcze trudniejszą... ściany nie mają uszu? Mogę mówić otwarcie?

- Oczywiście.

- Bourne działa pod presją. Był... przetrzymywany... dłuższy czas. Czy wyrażam się jasno?

- Przez Sowietów?

- Wprost na Łubiance. Aby się wyrwać, zgodził się zostać podwójnym agentem. Zna pan to określenie?

- Znam. Moskwa sądzi, że on pracuje teraz dla nich.

- Tak im się wydaje. - Conklin przerwał. - Co do nas, to nie mamy pewności. Dziwne rzeczy dzieją się z ludźmi na tej Łubiance.

Pierwszy sekretarz gwizdnął cicho.

- To ci pasztet. Jak pan zamierza się o tym przekonać?

- Z pana pomocą. Sprawa wprawdzie jest tak tajna, że nie wolno wtajemniczać w nią ambasady, ba, nawet samego ambasadora, ale pan znalazł się na scenie; do pana się zwrócono. Do pana więc należy decyzja. Jeśli pan się tego podejmie, to może się pan spodziewać pochwały z biura prezydenta.

Conklin usłyszał, jak w Paryżu wciągnięto głęboko powietrze.

- Oczywiście, uczynię, co w mojej mocy. Proszę powiedzieć, co mam robić.

- To co do tej pory. Chcemy go unieruchomić. Kiedy się znowu zgłosi, niech pan sam z nim porozmawia...

- Naturalnie - przerwał pracownik ambasady.

- ...i powie mu, że przekazał pan hasło. Niech mu pan powie, że Waszyngton wojskowym transportem wysłał oficera z Treadstone. Proszę powiedzieć, że D.C. chce, by trzymał się gdzieś na uboczu i z dala od ambasady, bo każdy jego krok jest śledzony. Następnie niech go pan spyta, czy potrzebna mu jest obstawa; jeśli tak, to gdzie chce ją mieć. Ale niech pan nikogo nie posyła; do czasu naszej następnej rozmowy skontaktuję się z kimś. Wtedy podam panu nazwisko osoby i jakiś szczegół, który przekaże pan tamtemu.

- Szczegół?

- Chodzi o identyfikację wzrokową. O coś lub kogoś, kogo on będzie mógł rozpoznać.

- Jednego z pańskich ludzi?

- Tak, naszym zdaniem tak będzie najlepiej. Pomijając pana nie należy mieszać w to ambasady. Wręcz nie wolno, więc żadna pana rozmowa nie powinna być rejestrowana.

- Dopilnuję tego - obiecał pierwszy sekretarz. - Nie rozumiem tylko, jak rozmowa, którą mam z nim przeprowadzić, pomoże panu rozstrzygnąć, czy on jest podwójnym agentem?

- Nie będzie to jedna rozmowa, a raczej dziesięć.

- Dziesięć?

- Właśnie. Nasza instrukcja dla Bourne'a przekazana mu przez pana będzie brzmiała następująco: niech co godzinę melduje się u pana te telefonicznie w celu potwierdzenia, że znajduje się w bezpiecznym miejscu. A za ostatnim razem powie mu pan, że przybył do Paryża oficer Treadstone, by się z nim spotkać.

- Co to ma dać? - spytał pracownik ambasady.

- Będzie się kręcił... jeśli nie jest nasz. W Paryżu przebywa z pół tuzina znanych nam tajnych sowieckich agentów; wszyscy mają telefony na podsłuchu. Jeśli pracuje dla Moskwy, istnieje możliwość, że skorzysta z jednego z nich. Będziemy go obserwować. Gdyby sprawy potoczyły się w ten właśnie sposób, to do końca życia nie zapomni pan tej spędzonej w ambasadzie nocy. Uznanie prezydenta zazwyczaj wyraża się w prędkim awansie. Rzecz jasna, w pana przypadku nie zostało już wiele do osiągnięcia...

- Zostało jeszcze bardzo wiele, panie Conklin - przerwał mu pierwszy sekretarz.

Rozmowa dobiegła końca; pracownik ambasady miał ponownie zadzwonić po zgłoszeniu się Bourne'a. Conklin wstał z krzesła i pokuśtykał ku stojącej pod ścianą szarej szafie z aktami. Otworzył zamek górnej szuflady. Wewnątrz znajdowała się spięta klamrą teczka, a w niej zalakowana koperta z nazwiskami i adresami ludzi, którymi można było się posłużyć w nieprzewidzianych wypadkach. W swoim czasie uważano ich za dobrych, lojalnych współpracowników, potem z tych czy innych względów skreślono z listy płac Waszyngtonu. Za każdym razem wiązało się to z usunięciem ich z oficjalnej sceny, przeniesieniem za granicę z nowymi dokumentami. Tym, którzy posługiwali się biegle językami, załatwiano dzięki współpracy z rządami innych państw nowe obywatelstwa. Znikali.

Byli wśród nich banici, ludzie, którzy służąc ojczyźnie przekroczyli prawo, którzy często zabijali w imieniu swego kraju. Ich kraj nie mógł jednak oficjalnie ich tolerować, bo zostali zdemaskowani, ich postęпки ujawnione. Ale w dalszym ciągu można było na nich polegać. Na zasadzie cichej zmywy forsa bezustannie zasilala konta poza oficjalną kontrolą.

Conklin przeniósł kopertę na biurko i zerwał z niej taśmę; potem zapieczętuje ją ponownie i oznakuje. W Paryżu przebywał ktoś, kto przeszedł wszystkie szczeble wywiadu wojskowego i awansował na podpułkownika w wieku trzydziestu pięciu lat. Na niego można było liczyć, ojczyźnie dawał pierwszeństwo. Dwanaście lat wcześniej w wiosce niedaleko Hue zabił lewicującego fotoreportera.

Trzy minuty potem Conklin miał go na linii; ich rozmowa pozostała nie zarejestrowana i nie nagrana. Poinformował byłego oficera o fakcie dezercji i tajnym przyjeździe dezercera do Stanów Zjednoczonych, podczas którego wyeliminował on z gry swych zwierzchników.

- Podwójny agent? - spytał ten w Paryżu. - Moskwa?
- Nie, nie Sowiet - odrzekł Conklin świadom, że jeśli Delta zażąda obstawy, między tymi dwoma dojdzie do rozmowy.
- Było to długoterminowe tajne zadanie mające na celu zwabienie Carlosa.
- Tego terrorysty?
- Właśnie.
- Może pan mówić, że za tym nie stoi Moskwa, ale mnie pan nie przekonasz. Carlos przeszedł szkolenie w Nowogrodzie i z tego, co wiem, dalej wykonuje dla KGB najbrudniejszą robotę.
- Być może. Nie miejsce tu na omawianie szczegółów, wystarczy tylko powiedzieć, że mamy pewność, iż nasz człowiek został kupiony; zgarnął parę milionów, a teraz potrzebuje czystego paszportu.
- Sprzątnął więc swoich szefów, a ponieważ wszyscy myślą, że zrobił to Carlos, on może dalej zabijać.
- Dokładnie. Chcemy rozegrać to tak, żeby mu się wydawało, iż może wracać do kraju. Dobrze by było, gdybyśmy mogli jeszcze się czegoś dowiedzieć i dlatego tam się wybieram. Ale to sprawa drugorzędna. Najważniejsze, żeby go schwytać. Wielu ludzi jest już w to zaangażowanych. Czy pomogłby pan? Będzie premia.
- Cała przyjemność po mojej stronie. A premię niech pan sobie zatrzyma. Nienawidzę takich skurwysynów. Rozwalają całą siatkę wywiadowczą.
- Ale musi to być robota na medal; to jeden z najlepszych. Sugerowałbym kogoś do pomocy. Przynajmniej jednego.
- Znam faceta z St-Gervais wartego z pięciu. Jest do wynajęcia.
- Niech go pan wynajmie. A oto szczegóły. W Paryżu akcją kieruje pewien ciemniak z ambasady; nie ma o niczym pojęcia, ale jest w kontakcie z Bourne'em i niewykłuczone, że poprosi o obstawę dla niego.
- Kupię to - powiedział były oficer wywiadu. - Co dalej?

- To wszystko na razie. W Andréws złapię samolot, który przybędzie do Paryża gdzieś między dziesiątą a pierwszą waszego czasu. Zaraz potem chciałbym zobaczyć się z Bourne'em, żeby jutro być z powrotem w Waszyngtonie. To trochę na styk, ale inaczej się nie da.

- Niech będzie.

- Ten ciemniak w ambasadzie to pierwszy sekretarz. Nazywa się...

Conklin podał mu resztę informacji, po czym ustalili kod ich pierwszego kontaktu w Paryżu. Zaszyfrowane słowa, które powiedzą mu, czy od czasu ich rozmowy zaistniały jakieś problemy. Conklin odłożył słuchawkę. Machina ruszyła dokładnie tak, jak mógł przewidzieć to Delta. Spadkobiercy Treadstone postępowali ściśle według instrukcji, ta zaś była bardzo szczegółowa, gdy odnosiła się do dowódców nieudanych akcji. Należało ich usunąć, odciąć, nie wolno było zachowywać z nimi kontaktów, przyznawać się do nich. Spalone akcje i ich szefowie byli kłopotliwi dla Waszyngtonu. Od swych niejasnych początków Treadstone-71 posługiwał się, wykorzystywał i wtrącał swe pięć groszy do każdej komórki wywiadu Stanów Zjednoczonych, a nawet do innych wywiadów. Potrzebne były długie macki, żeby osiągnąć tych, którzy przeżyli.

Delta o tym wiedział, a ponieważ sam zniszczył Treadstone, na pewno oczekiwał podjęcia właśnie takich środków ostrożności. Będzie więc zaskoczony, gdy ich nie stwierdzi. Powiadomiony o tym, co zdarzyło się na Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy, zareaguje udawanym gniewem, fałszywym cierpieniem. Aleksander Conklin wysłucha go, usiłując wyłowić z tego nutkę prawdy, jakieś wyjaśnienie pomiędzy wierszami, ale nic takiego nie będzie. Odłamki szkła nie mogły przecież przefrunąć nad Atlantykiem i ukryć się za zasłoną w willi na Manhattanie; odciski palców na nich były pewniejszym dowodem obecności tego człowieka niż jakakolwiek fotografia. Niemożliwe, żeby zostały spreparowane.

Conklin podaruje Delcie dwie minuty, żeby mógł wypowiedzieć swe brednie. Wysłucha ich, a potem pociągnie za spust.

- Dlaczego oni to robią? - spytał Jason siadając koło Marie w zatłoczonej kafejce. Po raz piąty zadzwonił do ambasady i już pięć godzin upłynęło, odkąd nawiązał z nią kontakt. - Chcą trzymać mnie w ciągłym ruchu. Zmuszają mnie do ruchu, a ja nie wiem dlaczego.

- Sam się zmuszasz - powiedziała Marie. - Mogłeś zadzwonić z pokoju.

- Nie mogłem. Z jakiegoś powodu chcą, żeby to wiedział. Za każdym razem, kiedy dzwonię, ten sukinsyn pyta, gdzie jestem i czy na „bezpiecznym terenie”. Durny zwrot: „bezpieczny teren”. Ale jemu chodzi jeszcze o coś. Mam za każdym razem kontaktować się z innego miejsca, żeby nikt z zewnątrz lub wewnątrz nie odkrył mojego numeru telefonu i adresu. Nie chcą mnie zamknąć pod strażą, ale trzymają na sznurku. Chcą mnie, ale się mnie boją - to nie ma sensu.

- Może tylko ci się wydaje. Przecież nikt nic takiego nie powiedział.

- Nie muszą mówić. Rzecz w tym, czego nie powiedzieli. Dlaczego nie polecili mi przyjść do ambasady? Nie rozkazali? Nikt by mnie tam nie tknął, to terytorium Stanów. A jednak nie wezwali mnie.

- Powiedzieli ci, że ulice są pod obserwacją.

- I ślepo w to uwierzyłem, ale przed chwilą uderzyła mnie myśl. Kto niby? Kto ma pod obserwacją te ulice?

- Carlos, oczywiście. Jego ludzie.

- To oczywiste dla ciebie i dla mnie, przynajmniej tak się domyślały, ale oni nie mają o tym pojęcia. Może i nie wiem, kim, do cholery, jestem czy skąd się wziąłem, ale wiem, co mi się przydarzyło w ciągu ostatniej doby. A oni nie.

- Może też się domyślają. Mogli zauważyć jakichś podejrzanych ludzi w samochodzie lub dziwnie długo kręcących się w pobliżu.

- Carlos jest na to za sprytny. Poza tym istnieje mnóstwo sposobów na szybkie wprowadzenie na teren ambasady konkretnego pojazdu. Oddziały piechoty morskiej są w tym przeszkolone.

- Wierzę ci.

- Ale nie zrobili tego, nawet nie zaproponowali. Tylko zwodzą mnie i zmuszają do dziwnych zagrywek. Niech to szlag, po co?

- Sam powiedziałaś, że nie dawałeś znaku życia przez pół roku. Teraz są ostrożni.

- Ale dlaczego w ten sposób? Gdybym był w ambasadzie, mogliby zrobić, co zechcą, mając mnie w garści. Wyprawić dla mnie bal albo zamknąć w piwnicy. A oni nie chcą mnie tknąć, ale zgubić mnie też nie chcą.

- Czekają na tego faceta z Waszyngtonu.

- A gdzie lepiej byłoby czekać niż w ambasadzie? - Bourne odepchnął krzesło. - Coś tu nie gra. Zmywamy się stąd.

Aleksandrowi Conklinowi, który odziedziczył Treadstone, przelecenie Atlantyku zajęło sześć godzin i dwanaście minut. Wracać miał pierwszym rannym concordem z Paryża, dotrzeć do Dulles o siódmej trzydzieści czasu waszyngtońskiego i być w Langley o dziewiątej. Gdyby ktoś chciał telefonować do niego lub dopytywać się, gdzie był, usłużny major z Pentagonu udzieliłby kłamiwej odpowiedzi. A pierwszy sekretarz ambasady w Paryżu miał zapowiedziane, że gdyby kiedykolwiek wspomniał o chociaż jednej rozmowie z człowiekiem z Langley, zostanie zdegradowany do najniższego attaché i wysłany na placówkę na Ziemi Ognistej. To miał zagwarantowane.

Conklin podszedł prosto do rzędu automatów telefonicznych na murze i zadzwonił do ambasady. Pierwszy ambasador miał pełne poczucie sukcesu.

- Wszystko idzie według planu, Conklin - powiedział pracownik ambasady, przy czym ominięcie uprzedniego „Mister” było oznaką poczucia równości. Jego szef był w Paryżu, a poza tym czuł się tu na własnych śmieciach. - Bourne jest niespokojny. Podczas ostatniego kontaktu ciągle pytał, dlaczego nie wzywamy go do przyjsia.

- Naprawdę? - początkowo Conklin zdziwił się, ale szybko zrozumiał. Delta gra człowieka, który nic nie wie o wypadkach na Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy. Gdyby mu kazano przyjsć do ambasady, zbuntowałby się. Wie, co robi - żadnych oficjalnych powiazań. Treadstone był anatema, skompromitowaną strategią, pełnym fiaskiem.

- Czy odparował pan, że ulice są pod obserwacją?

- Oczywiście. Wtedy on spytał, pod czyją obserwacją. Wyobraża pan sobie?

- Wyobrażam. Co mu pan powiedział?

- Że wie równie dobrze jak ja i że zważywszy na okoliczności uważam rozpatrywanie tego przez telefon za niecelowe.

- Bardzo dobrze.

- Też tak pomyślałem.

- Co on na to? Zgodził się?

- Na swój sposób, tak. Powiedział tylko „rozumiem”.

- Czy zmienił zamiar i poprosił o ochronę?

- Wciąż odmawia. Nawet, kiedy nalegam. - Pierwszy sekretarz zamilkł na chwilę. - Nie chce być śledzony, co? - spytał poufnym tonem.

- Nie chce. Kiedy ma znowu dzwonić?

- Mniej więcej za kwadrans.

- Niech pan mu powie, że przybył oficer z Treadstone. - Conklin wyjął z kieszeni mapę złożoną już na odpowiednim fragmencie, z trasą zaznaczoną niebieskim atramentem. - Proszę go zawiadomić, że spotkanie wyznaczono na pierwszą trzydzieści na drodze między Chevreuse i Rambouillet, jednaście kilometrów na południe od Wersalu, na cmentarzu Noblesse.

- Pierwsza trzydzieści, droga między Chevreuse i Rambouillet... cmentarz. Czy on wie, jak tam dotrzeć?

- Był tam kiedyś. Jeśli powie, że chce jechać taksówką, niech pan mu każe zachować normalne środki ostrożności i odesłać taksówkę.

- Czy to się nie wyda dziwne? Chodzi mi o taksówkarza. To dość szczególna godzina na żałobę.

- Mówię tylko, żeby tak mu pan polecił, a on oczywiście i tak nie weźmie taksówki.

- Oczywiście - pośpiesznie od parł pierwszy sekretarz i odzyskując rezon zaoferował zbędną przysługę. - Jeszcze nie dzwoniłem do pana człowieka tutaj. Czy mam zatelefonować teraz i zawiadomić o pańskim przybyciu?

- Sam się tym zajmę, Ma pan jeszcze jego numer?

- Naturalnie.

- To proszę go spalić, zanim pana sparzy - rozkazał Conklin. - Oddzwonię za dwadzieścia minut.

Rozległ się huk pociągu w dolnym tunelu metra; na peronie można było odczuć drganie. Bourne odwiesił słuchawkę automatu zainstalowanego na betonowej ścianie i chwilę wpatrywał się w mikrofon. W jego mózgu jakby otworzyły się następne drzwi, ukazując gdzieś w oddali światelko, za daleko i zbyt nikłe, żeby wnikać do środka. Mignęły jednak jakieś obrazy. Droga do Rambouillet... pod łukiem z metalowej kratki... łagodny stok, biały marmur. Krzyże - coraz większe, mauzolea... i wszędzie rzeźby. La Cimetière de Noblesse. Cmentarz, ale nie tylko miejsce spoczynku zmarłych. Wzgórze, ale i coś więcej. Miejsce rozmów... wśród pogrzebów i opuszczania w ziemię trumien. Dwóch ludzi ubranych na

ciemno, bo i tłum był ubrany na ciemno, przesuających się między żałobnikami, aż się spotkali i wymienili te parę słów, które mieli sobie przekazać.

Była jakaś twarz, ale zamazana, nieostra - zobaczył tylko oczy. Ta niewyraźna twarz i te oczy miały nazwisko. Dawid... Abbott. Mnich. Człowiek, którego znał i nie znał. Twórca „Meduzy” i Kaina. Sam teraz martwy, stanowiący część jakiegoś cmentarza.

Jason zamrugał oczami i potrząsnął głową, jakby chciał odegnać mgliste wizje. Spojrzał na Marie, która stała kilka metrów dalej, po lewej, oparta o ścianę, pozornie obserwując tłum na peronie, wypatrując kogoś, kto by go śledził. Ale nie wypatrywała nikogo; przyglądała się Jasonowi z wyrazem troski na twarzy. Skinął głową, by dodać jej otuchy, że nieźle mu idzie. Ale przyszyły te wizje. Już kiedyś był na tym cmentarzu, skądś go zna. Podszedł do Marie, która odwróciła się i zrównała z nim krok, kiedy skierowali się do wyjścia.

- Jest tu - powiedział Bourne. - Przyjechał człowiek z Treadstone. Mam go spotkać koło Rambouillet. Na cmentarzu.

- Trochę upiornie. Dlaczego na cmentarzu?

- Żeby mi dodać pewności siebie.

- Jak, na Boga?

- Byłem tam kiedyś. Spotkałem się z kimś... z pewnym facetem. Wyznaczając to miejsce na rendez-vous - niezwykle rendez-vous - ten z Treadstone daje do zrozumienia, że jest autentyczny.

Gdy szli schodami prowadzącymi na ulicę, wzięła go pod ramię.

- Chcę iść z tobą.

- Niestety.

- Nie możesz mnie z tego wyłączyć!

- Muszę, bo nie wiem, co tam zastanę. Jeśli zastanę nie to, czego się spodziewam, to potrzebuję kogoś, kto opowiedziałby się po mojej stronie.

- Kochanie, to nie ma sensu! Mnie ściga policja. Jeśli mnie znajdą, natychmiast odeślą do Zurychu najbliższym samolotem - sam tak mówiłeś. A na co ci się przydam w Zurychu?

- Nie ty. Villiers. On nam ufa, tobie ufa. Możesz się z nim skontaktować, jeśli nie wrócę przed świtem i nie zadzwonię z wytłumaczeniem. On może narobić szumu, a wyraźnie ma na to ochotę. Jest jedynym naszym wsparciem, jedynym jedynym. Konkretnie, jego żona - za jego pośrednictwem.

Marie przytaknęła, uznając jego argumenty.

- Tak, on ma ochotę - zgodziła się. - Jak dostaniesz się do Rambouillet?

- Mamy samochód, nie pamiętasz? Odprowadzę cię do hotelu i pojedę do garażu.

Wszedł do windy w kompleksie garaży na Montmartrze i nacisnął guzik trzeciego piętra. Jego myśli błądziły po cmentarzu gdzieś między Chevreuse i Rambouillet, po drodze, którą kiedyś jechał, ale teraz nie pamiętał kiedy i po co.

Dlatego właśnie chciał tam jechać natychmiast, nie czekając, aż zbliży się godzina umówionego spotkania. Jeśli obrazy jawiące się w jego umyśle nie były całkowicie przekłamane, to cmentarz musiał być ogromny. Gdzie pośród tych wszystkich grobów i pomników znajdowało się miejsce spotkania? Dotrze tam przed pierwszą, co da mu pół godziny na przechadzkę po alejkach i odszukanie świateł samochodu lub jakiegoś sygnału. Przypomną mu się inne fakty.

Drzwi otwały się ze zgrzytem. Na parkingu zapełnionym w trzech czwartych samochodami nie było nikogo. Jason usiłował sobie przypomnieć, gdzie postawił renault: pamiętał, że daleko w rogu - ale po lewej czy po prawej? Na próbę ruszył w lewo; przecież winda była po lewej, kiedy wjechał tu samochodem przed kilkunastoma dniami. Nagle zatrzymał się, próbując logicznie ustalić położenie. Windę miał po lewej, kiedy wjeżdżał, a

nie po zaparkowaniu samochodu - teraz więc należało iść na skos w prawo. Odwrócił się energicznie, nadal myśląc o drodze między Chevreuse i Rambouillet.

Czy stało się to za sprawą tej gwałtownej zmiany kierunku, czy niewprawnego śledzenia go - tego Bourne się nie dowiedział i nie troszczył się o to. W każdym razie pewien był, że ten moment uratował mu życie. Głowa jakiegoś mężczyzny gwałtownie znikła za maską samochodu dwa rzędy dalej, po lewej; ten człowiek go śledził. Ktoś bardziej doświadczony stanąłby teraz wyprostowany, trzymając w ręku kluczyki, które niby to podniósł z podłogi, lub sprawdziłby wycieraczki i odszedł. Ale ten człowiek zrobił jedyną rzecz, jakiej powinien był uniknąć - chowając się gwałtownie za samochody, zaryzykował, że zostanie zauważony.

Jason szedł równym krokiem, zastanawiając się nad tym najnowszym odkryciem. Kim jest ten człowiek? Jak go odnaleźli? Odpowiedź na te pytania stała się tak oczywista, że poczuł się jak dureń. Recepcjonista z „Auberge du Coin”!

Carlos i tym razem - jak zawsze zresztą - okazał się skrupulatny, więc zbadał dokładnie każdy szczegół swej porażki. A jednym z takich szczegółów był ów recepcjonista na nocnym dyżurze podczas tamtej wpadki. Ten człowiek został przyciśnięty, a potem przepytany, co nie było trudne. Pokazanie mu noża lub pistoletu załatwiło sprawę. Potok informacji popłynął z drżących ust nocnego portiera, a potem armia ludzi Carlosa przeczesła miasto, podzielone na sektory, szukając pewnego czarnego renault. Poszukiwania żmudne, ale nie beznadziejne, tym bardziej że ułatwione przez kierowcę, który nie zadał sobie trudu zmiany tablic rejestracyjnych. Od ilu godzin ten parking jest pod ścisłą obserwacją? Ilu ich jest? W środku i na zewnątrz? Kiedy zjawią się następni? Czy Carlos tu przyjedzie?

Te pytania nie były teraz najważniejsze. Musi się stąd wydostać. Dałby sobie radę bez samochodu, ale to go uzależni od nieprzewidzianych okoliczności; potrzebuje środka transportu i to zaraz. Żaden taksówkarz nie zawiezie nieznajomego na cmentarz na obrzeżach Rambouillet o pierwszej w nocy, a pozostało zbyt mało czasu, by liczyć, że uda mu się ukraść jakiś samochód z ulicy.

Zatrzymał się, wyjął papierosy i zapaliki z kieszeni; zapalił jedną i otoczył ją dłońmi, przekrzywiając głowę, żeby ochronić płomień. Kątem oka dostrzegł cień, masywny, potężny - tamten znowu schylił się za samochodem, tym razem bliżej.

Jason ukucnął, obrócił się w lewo i rzucił między dwa samochody, amortyzując upadek dłońmi, w zupełnej ciszy. Czołgając się, okrążył tylne koła samochodu po prawej; gwałtownie poruszając rękami i nogami, bezszelestnie przesuwając się między rzędami samochodów, jak pająk spieszący przemierzający pajęczynę. Teraz zaszedł mężczyznę od tyłu, podkradł się do przejścia między rzędami samochodów, ukląkł i powolutku przesuwając twarz po gładkim metalu, wyjrzał znad przednich świateł. Potężnie zbudowany mężczyzna stał wyprostowany, nie kryjąc się. Był najwidoczniej zaskoczony, bo z wahaniem ruszył w stronę renault, znowu pochylając się i zmrużonymi oczami próbując coś wypatrzeć przez przednią szybę. To, co zobaczył, przestraszyło go jeszcze bardziej: nie było tam nikogo. Jego głęboki wdech stanowił wstęp do ucieczki. Przechytrzone go; wiedział o tym i nie miał zamiaru czekać na skutki - co dało Bourne'owi wiele do myślenia. Ten człowiek wiedział, kim jest kierowca renault, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Rzucił się więc do ucieczki w stronę rampy wyjazdowej. Teraz! Jason nagle wyprostował się i pomknął przed siebie, minął jeden rząd samochodów, potem następny i dopadając uciekającego, runął na niego od tyłu i powalił na betonową podłogę. Przygwoździł grubą szyję tamtego i zaczął tłuc jego nadmiernie dużą czaszką o podłogę, jednocześnie wbijając mu palce lewej ręki w oczy.

- Masz równo pięć sekund, żeby mi powiedzieć, kto jest na zewnątrz - odezwał się po francusku, przypomniawszy sobie wykrzywioną twarz innego Francuza w Zurychu. Wtedy czekali ludzie na zewnątrz, na Bahnhofstrasse, ludzie, którzy chcieli go zabić. - Gadaj! Już!

- Jeden człowiek, tylko jeden!

lakierowanych drzwi i błyszczącej tabliczki z mosiądzu, zaglądając w grube, ołowiowe szyby, tworzące szeroki, mieniący się na purpurowo i niebiesko pionowy rząd i podkreślając ozdobną wspaniałość szkła, ale nie jego odporność na strzał z karabinu o dużej mocy rażenia lub ciężkiej broni automatycznej. Był na miejscu - ten fakt usprawiedliwiał łyzy, które pojawiły mu się w oczach, i ucisk w gardle. Nie potrafił określić emocji, których doznawał. Odczuwał niesamowite wrażenie powrotu do miejsca, z którym był równie silnie związany jak z własnym ciałem i tym, co pozostało mu w pamięci. Nie chodziło o sam dom - spoglądając na ten elegancki budynek na górnym Manhattanie, nie miał poczucia ulgi ani rozluźnienia. Było to przytłaczające wrażenie powrotu do źródła; początku zarówno rozstania, jak i stworzenia, czarnej nocy i wybuchającego świtu. Działo się z nim coś dziwnego. Mocniej zacisnął dłoń na nadgarstku, desperacko walcząc z nieodpartym impulsem, by wyskoczyć z taksówki i pobiec przez ulicę do tego tajemniczego, spokojnego budynku o ciemnoniebieskich szybach i elewacji z piaskowca. Chciał wbiec po schodach przeskakując stopnie i pięściami załomotać w ciężkie czarne drzwi.

Wpuśćcie mnie! Jestem tu! Musicie mnie wpuścić! Czy tego nie rozumiecie?

JESTEM JEDNYM Z WAS!

Przed oczami pojawiły mu się obrazy z przeszłości; zgrzytliwy dźwięk zaatakował jego uszy, w skroniach eksplodował dudniący, pulsujący ból. Znajdował się w zaciemnionym pokoju - w tamtym pokoju - wpatrując się w ekran, na którym pojawiały się i znikwały w oślepiającym pośpiechu inne, jego własne obrazy.

Kto to? Szybko. Spóźniłeś się! Już jesteś trupem! Gdzie jest ta ulica? Z czym ci się ona kojarzy? Kogo tam spotkałeś? Co? Dobrze. Mów prostym językiem; najmniej jak się da. Masz tu listę; osiem nazwisk. Które mają kontakt? Szybko! A to inna lista. Sposoby zabijania. Który byś wybrał? Nie, nie, nie. Tak zrobiłby Delta, ale nie Kain! Nie jesteś Delta, nie jesteś tym, za kogo się uważasz! Jesteś Kainem! Nazywasz się Bourne! Jason Bourne! Pomyliłeś się. Spróbuj jeszcze raz. Skoncentruj się! Wymaż wszystko inne! Zetrzyj przeszłość. Dla ciebie nie istnieje. Jesteś tylko tym, kim jesteś tutaj, kim stałeś się tutaj!

Och, Boże. To powiedziała Marie.

Może pamiętasz tylko to, co ci bez przerwy powtarzano. W kółko, w kółko i w kółko. Aż nie zostało nic innego... Rzeczy, które powtarzano ci bez końca... ale nie możesz ich przeżyć na nowo... bo nie należą do ciebie.

Po twarzy spływał mu szczypiący w oczy pot. Palcami wpił się w nadgarstek, starając się wyprzeć z umysłu ból, dźwięki i rozbłyski światła. Napisał do Carlosa, że wraca po ukryte dokumenty, stanowiące jego „ostateczne zabezpieczenie”. Wtedy to wyrażenie wydało mu się mało przekonujące; o mało go nie wykreślił, chcąc znaleźć istotniejszy powód do powrotu do Nowego Jorku. Jednak instynkt podpowiedział mu, żeby zostawić to tak, jak jest, bo to należało do jego przeszłości... nie wiadomo dlaczego. Teraz już wiedział. Swoją tożsamość mógł odnaleźć wewnątrz tego domu. Jego tożsamość, i bez względu na to, czy Carlos będzie go ścigać, czy nie, musi ją odzyskać. Musi!

Wszystko zaczęło nagle przybierać znamiona obłędu! Gwałtownie potrząsnął głową w przód i w tył, starając się stłumić nieodparty nakaz, uciszyć krzyki dobiegające ze wszystkich stron - jego własne krzyki, jego głos. Nie myśl o Carlosie. Nie myśl o pułapce. Wejść do domu! To stało się tam; tam jest początek!

Przestań!

Była w tym jakaś makabryczna ironia. W tym domu nie znajdzie ostatecznego zabezpieczenia, lecz ostateczne wyjaśnienie własnej zagadki - a bez Carlosa nie miało ono znaczenia. Ci, którzy na niego polowali, wiedzieli o tym i nie przykładali do tego wagi; to był powód, dla którego chcieli go zabić. Ale znalazł się tak blisko... musiał znaleźć rozwiązanie. Było tam.

Bourne podniósł wzrok; długowłosa kierowca przyglądał mu się w lusterku.

Po drugiej stronie dostrzegł delikatesy z małym prostokątnym napisem „Telefon” nad drzwiami. Zeskoczył z krawężnika i znów zaczął biec, lawirując między kołyszającymi się samochodami. Któryś z nich mógł niechcący wykonać robotę, którą zarezerwował dla siebie Carlos. W tym też była jakaś makabryczna ironia.

- Sir, Centralna Agencja Wywiadowcza jest instytucją zajmującą się głównie gromadzeniem danych - odpowiedział protekcyjnie mężczyzna w słuchawce. - Takim rodzajem działalności, o której pan mówi, zajmujemy się niezmiernie rzadko i szczerze mówiąc, została ona rozdmuchana przez filmy oraz źle poinformowanych pisarzy.

- Do jasnej cholery, posłuchaj mnie! - krzyknął Jason, osłaniając dłonią mikrofon słuchawki; w zatłoczonych delikatesach panował gwar. - Powiedz mi tylko, gdzie jest Conklin. To sprawa życia lub śmierci!

- Otrzymał już pan odpowiedź z jego biura, sir. Pan Conklin wyjechał wczoraj po południu i wróci prawdopodobnie pod koniec tygodnia. Skoro utrzymuje pan, że zna pana Conklina, powinien pan wiedzieć, że w związku z odniesioną podczas służby kontuzją często wyjeżdża na zabiegi rehabilitacyjne...

- Przystaniesz wreszcie?! Dwa dni temu widziałem go w Paryżu, pod Paryżem. Przyleciał tam z Waszyngtonu na spotkanie ze mną.

- Jeżeli o to chodzi - przerwał mu rozmówca z Langley - to w czasie, kiedy łączono pana z tym wydziałem, już to sprawdziliśmy. Nie ma żadnych informacji o tym, że pan Conklin w ciągu ostatniego roku wyjeżdżał z kraju.

- W takim razie zostało to usunięte z rejestru! Był tam! Czekacie na jakieś hasła - powiedział zdesperowany Bourne. - Nie znam ich. Ale ktoś, kto pracuje z Conklinem, rozpozna te słowa. Meduza, Delta, Kain... Treadstone! Ktoś musi je znać!

- Nikt nie zna. Już panu o tym powiedziano.

- Powiedział ktoś, kto nie zna. Ale są tacy, co znają. Uwierz mi!

- Bardzo mi przykro, ale naprawdę...

- Nie odkładaj słuchawki! - Pozostawał jeszcze jeden sposób; sposób o wątpliwej skuteczności, ale nie było innego wyjścia. - Pięć lub sześć minut temu wysiadłem z taksówki przy Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy. Dostrzeżono mnie i ktoś chciał mnie sprzątnąć.

- Sprzątnąć?

- Tak. Taksówkarz powiedział coś do mnie i nachyliłem się, żeby lepiej słyszeć. Ten ruch ocalił mi życie, ale kierowca nie żyje. Pocisk trafił go w głowę. Mówię prawdę i wiem, że macie sposoby, aby to sprawdzić. Jest tam już pewnie z pół tuzina radiowozów policyjnych. Niech pan to sprawdzi. To najlepsza wskazówka, jakiej mogę panu udzielić.

Rozmówca w Waszyngtonie na chwilę zamilkł.

- Tylko dlatego, że chciał pan rozmawiać z panem Conklinem - a przynajmniej wymienił pan jego nazwisko - sprawdzę to. Jak mogę się z panem skontaktować?

- Będę czekał przy telefonie. Ta rozmowa opłacana jest międzynarodową kartą kredytową. Wydano ją we Francji na nazwisko Chambord.

- Chambord? Powiedział pan...

- Proszę.

- Zaraz wrócę.

Oczekiwanie było nieznośne. A ciężkie spojrzenie Żyda z zaniedbaną, zmierzwioną brodą pełną okruczeń, trzymającego w jednej dłoni bułkę, a w drugiej obracającego monety - czyniło je jeszcze gorszym. W minutę później mężczyzna w Langley wrócił do telefonu. W jego głosie ugodowy ton zastąpił gniew.

- Sądzę, że na tym zakończy się nasza rozmowa, panie Bourne, Chambord lub jak tam jeszcze pan się zwie. Nawiazaliśmy kontakt z nowojorską policją. Na Siedemdziesiątej Pierwszej ulicy nie było żadnego zajścia, o którym pan mówił, i nie mylił się pan. Naprawdę mamy sposoby, żeby to sprawdzić. Informuję pana, że w kodeksie istnieją przepisy

